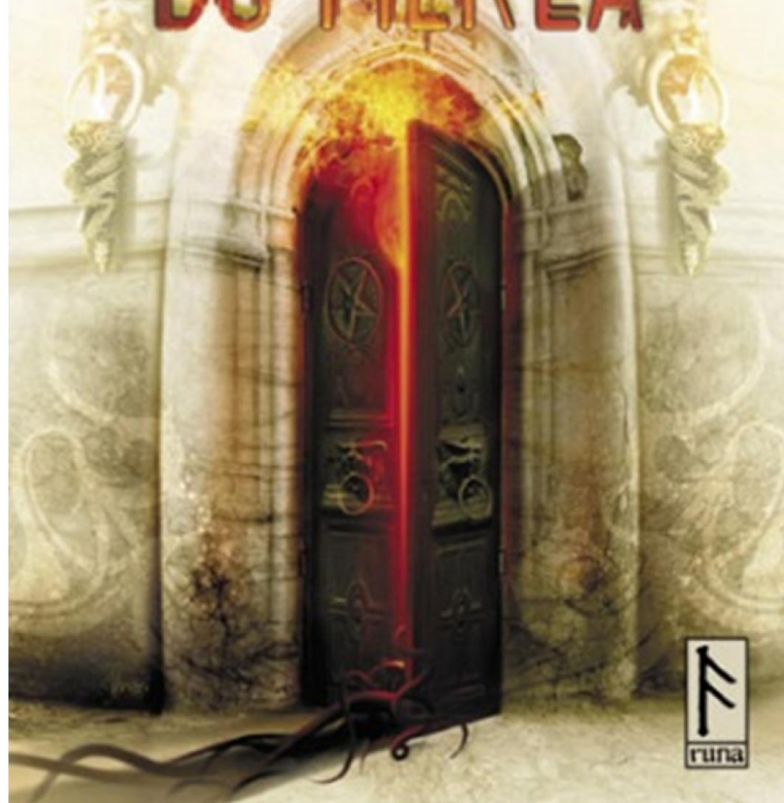


KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

# DRZWI DO PIEKŁA



KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

**DRZWI  
DO PIEKŁA**



Agencja Wydawnicza RUNA

## DRZWI DO PIEKŁA

Copyright © by Krzysztof Kochański, Warszawa 2009

Copyright © for the cover illustration by Tomasz Maroński

Copyright © 2009 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2009

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Jadwiga Piller

Korekta: Magdalena Górnicka

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp, z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2009

ISBN: 978-83-89595-54-6

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp, j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel/fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

[www.runa.pl](http://www.runa.pl)

# ŚMIERĆ TROLLA

Gdyby ktoś zapytał Marcina Sztoldo, czy naprawdę wierzy, że jego dziadek jest trollem, odpowiedziałby, że nie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zachowałby się inaczej. Jednak przecząc, Marcin nie ośmieliłby się patrzeć rozmówcy prosto w oczy. Nie żeby kłamał; nie był aż tak obłudny (lub szalony).

Po prostu nie miał pewności.

Czasami - szczególnie gdy przebywał sam, a wokół panowała ciemność - jego serce ścisnął potwór, bestia o czarnych jak węgiel paluchach. Trzymała je tak długo, dopóki trwały wspomnienia lub coś, co tylko wspomnieniem się wydawało. Projekcja dziecięcego umysłu podszywająca się pod rzeczywistość.

Miał wtedy dziesięć lat. Teraz, gdy liczył sobie czterdzieści, tamten chłopiec był mu bardziej obcy od syna sąsiada, który uparł się, żeby zostać Konstantym Kulką i przeraźliwym rżeniem skrzypiec uprzykrzał życie sąsiadom w bloku. Zdecydowanie bardziej obcy.

Jak wierzyć takiemu komuś?



Dziadek mieszkał na peryferiach miasta, w niewielkim domku z ogródkiem. Marcin był jego jedynym wnukiem, synem córki jedynaczki. Ojca Marcin nie znał. Gdy był mały, wmówiono mu, że tata zginął na motorze marki Jawa (pamiętał, z jaką dumą opowiadał to kolegom), nie zwolniwszy w porę podczas pokonywania zakrętu. Potem okazało się, że nie była to prawda, matka nigdy nie wyszła za mąż, a sprawca studenckiej ciąży zniknął za granicą. Ale dzieciństwo Marcin miał nie najgorsze. Anna Sztoldo była zaradną kobietą.

Bardziej niż ojca brakowało mu babci.

Tęsknił za tą kobietą, choć nigdy jej nie poznał: uciekła od dziadka, zanim Marcin pojawił się na świecie. Chłopiec nie słyszał jej bajek, nie jadł przyrządzanego przez nią rozgotowanego ryżu z truskawkami i nie robił setki innych rzeczy, które, jak sobie to wyobrażał, wnukowie robią z babciami. Za tym właśnie tęsknił.

Uciekła z kochankiem. Historia jak z harlekinowego romansu, ale tytułowa postać była nieco starsza. Babcia miała wówczas czterdzieści siedem lat.

Do dziesiątego roku życia, do dnia, w którym dziadek przyznał się, że jest trollem, Marcin często bywał w jego domu.

- Dlaczego nie zamieszkamy razem? - pytał niejednokrotnie matkę.

- Och, nie marudź - zbywała syna stropiona Anna Sztoldo, aż pewnego dnia, gdy był już wystarczająco duży, by samodzielnie jeździć miejskim autobusem, wyjaśniła: - Bo dziadek nie chce.

Już wtedy coś mu nie pasowało.

- Kto by chciał mieszkać sam?

- On chce.

Zatem spędzał u dziadka dwa dni w tygodniu, kiedy matka wyjeżdżała na zebrania zarządu firmy, w której filii była kierowniczką.



Tamtego dnia pojawił się w czwartek.

Zazwyczaj przyjeżdżał we wtorki i piątki, w tych samych godzinach, zaraz po szkole, ale w firmie matki coś się wydarzyło i Anna Sztoldo niezwłocznie stawiała się w dyrekcji, zapominając powiadomić o tym fakcie swego samotnego ojca.

Marcin na próżno naciskał przy furtce dzwonek z domofonem, aż w końcu nabrał pewności, że dziadka nie ma w domu, włożył rękę między sztachety i otworzył sobie sam. Rzucił plecak z książkami na betonowy podjazd i po chwili bezmyślnego kręcenia się po ogródku wszedł na schody. Nacisnął klamkę u drzwi.

Okazało się, że dom jest otwarty.

- Dziadku! - krzyknął, znalazłszy się w chłodnym przedpokoju, w którym jak zawsze panował charakterystyczny zapach. Nigdzie indziej tak nie pachniało (starym drewnem, żywicą?).

- Dziadku!

Nikt nie odpowiedział.

Gdzieś od strony kuchni trzasnęło niezamknięte okno. Był przeciąg. Wiele lat później Marcin zastanawiał się, skąd przyszło mu do głowy, że przeciąg mógł zatrzasać drzwi do piwnicy, i nie znajdował odpowiedzi. Jakiś przebłysk intuicji, diabelski podszept, przypadek...

Otworzył te drzwi i zobaczył, że pali się światło. Zakurzona żarówka bez oprawki oświetlała schody. Ostrożnie, żeby nie poślizgnąć się na starych, wyszczerbionych stopniach, powoli zszedł na dół. Znajdowało się tu kilka pomieszczeń - piwnica była duża, podpiwniczono cały budynek, a garaż znajdował się na zewnątrz.

Najpierw wydawało mu się, że coś słyszy. Zastygł w bezruchu, usiłując wychwycić ten dźwięk, i nagle rzeczywiście huknęło, aż podskoczył jak złodziej przyłapany na gorącym

uczynku.

- Cholera! - dobiegło z oddali.

Głos dziadka.

Ośmielony, poszedł w tamtym kierunku i po chwili stał w ościeżach najdalszego piwnicznego pomieszczenia. Pachniało wilgotną ziemią. Dziadek zasypywał dół, przyklepując ziemię za każdym ruchem łopaty.

Obok leżało kilka kamieni i wykruszonych starych cegło wek.

- Cześć, dziadku - powiedział i wtedy stało się coś dziwnego.

Dziadek zamarł z wyciągniętą do przodu łopatą i stał tak przez dobrych kilka sekund. Zupełnie jakby zamarzył, dotknięty lodowym wichrem.

- Cześć... - powtórzył nieśmiało Marcin, schrypniętym głosem, bo nieoczekiwanie zaschło mu w gardle.

Poczuł się nieswojo.

Wreszcie dziadek drgnął, powoli odwrócił głowę, dziwacznie, jak sowa, którą Marcin kiedyś widział w zoo. Wciąż nic nie mówił.

- Co robisz? - lękliwie spytał chłopiec, nie mogąc znieść milczenia.

- Musiałem sprawdzić, czy nie próbują wyjść - powiedział dziadek. Patrzył na Marcina jak na szybę, której się nie widzi, bo nie ona jest ważna, lecz widok za oknem.

- Kto?

- Oni - odrzekł dziadek, pochylając głowę i patrząc pod nogi. Nagle wyprostował się. Głęboki wdech i wydech, jakby wydostał się spod wody. Spojrzenie nabrało wyrazu, zamrugał mocno powiekami, aż zatańczyły siwe, krzaczaste brwi. - Trolle.

Marcin myślał, że się przesłyszał.

- Jakie trolle?

Przez moment na twarzy dziadka pojawiło się szczere zdu-

mienie.

- Nie wiesz, kim są trolle, chłopcze?

- Nooo... wiem... tak w ogóle... Ale przecież one nie istnieją.

Dziadek chrząknął. Podrapał się po samym czubku głowy, jak zwykł czynić w chwilach zastanowienia.

- Nie istnieją, mówisz? - Jego głos nabierał zwyczajnej, znajomej barwy. - No to coś ci pokażę. Ale musisz obiecać, że dochowasz tajemnicy.

Dziadek powoli odłożył łopatę.

Marcin skinął głową. Przełknął głośno ślinę. W gardle czuł ucisk.

Dziadek pochylił się, podwinął nogawkę spodni i ściągnął but. Wyprostował się, czerwony na twarzy i przez chwilę stał tak, w samej skarpetce na jednej nodze, i spoglądał pytająco na wnuka, który nadal nic nie rozumiał. W końcu schylił się ponownie i zdjął również skarpetkę.

- Widzisz? - zapytał.

Marcin widział. Stopa dziadka nie miała palców. Była szara, prawie czarna. Przypominała drewniane prawidło do eleganckich butów matki, mających przeczekać nieodpowiednie miesiące. Ale była znacznie większa i pokryta mnóstwem siwiejących włosów.

Stopa trolla.

Dotąd nie miał pojęcia, jak powinna wyglądać stopa trolla, ale nikt nic nie musiał mówić. Od razu wiedział, że to ona. Stopa trolla.

- Dawno temu wylazłem z tej dziury i pożarłem twojego dziadka - oznajmił stwór. - Inni pewnie też by chcieli wyjść, ale niedoczekanie! - Postukał obutą nogą w świeżą ziemię.

Za plecami Marcina znajdowały się otwarte na oścież drzwi. Długi piwniczny korytarz, potem schody w górę i drugie drzwi, na słoneczny świat. O ile nie zatrzasnął ich przeciąg!!! Ten sytuacyjny plan przewijał się w przerażonym umyśle dziesięć-



ciolatka, usiłującego wydostać się z matni. Ale bardzo trudno jest się cofnąć, nawet o milimetr, kiedy w chłodzie piwnicy słyszy się takie słowa.

- Niedoczekanie!

A już w ogóle nie ma mowy, żeby się odezwać.

Dziadek sięgnął po skarpetkę. Nakładał ją przez tysiąc lat, w złowrogim milczeniu, a Marcin wciąż stał jak zakłęty, słysząc łomot własnego serca. Lecz tylko wieczność nie ma końca, więc wreszcie i but znalazł się na miejscu.

- Pamiętaj. Obiecałeś zachować tajemnicę - powiedział dziadek, zawiązując sznurowadło.

Marcin bardzo chciał przytaknąć; och, jak bardzo tego pragnął, ale tkwił w zastygłej woskowej bryle, która na nic nie pozwalała.

- Ci, którzy nie potrafią dochować tajemnicy - dodał dziadek - zostają pożarci.

Później nie wiadomo ile razy Marcin zastanawiał się, jak by się to wszystko skończyło, gdyby przeciąg znów nie zatrzasnął tamtych drzwi. Ale mógł tylko spekulować. Przeciąg zrobił swoje.

Trzask!

Huknęło w oddali i jak na sygnał startera rozpadł się wosk. Marcin odzyskał władzę nad ciałem, odwrócił się i pognął niczym zając, dokładnie według scenariusza pragnień: korytarz, schody, drzwi. Drzwi były zamknięte, wszak to nad nimi znęcał się przeciąg. Przez przerażająco długą sekundę myślał, że nie poradzi sobie z ich otwarciem, ale to tylko panika usiłowała zawładnąć zalęknionym umysłem. Wyłożył się jak długi na posadzce przedpokoju, wstał, jednym pchnięciem staranował drzwi wyjściowe i wreszcie wypadł na otwarty świat. Było jasno jak w niebie.

Ciekawe, że uciekając na ulicę, pochwycił pozostawiony na podjeździe plecak z książkami.



- Umarł - powiedziała matka.

Czterdziestoletni Marcin Sztoldo, zatwardziały kawaler, samotnik i dziwak, poczuł się dziwnie lekko.

- Kiedy?

Jakby za chwilę miał odfrunąć.

- Dziś w nocy.

Odsunął telefoniczną słuchawkę i patrzył na nią podejrzliwie, jakby się zastanawiał, czy dobiegające z otworków dźwięki są prawdziwe.

Matka wciąż była na linii, mówiła coś, więc przyłożył słuchawkę z powrotem do ucha.

- Osiemdziesiąt cztery lata to dobry wiek, żeby odejść - powiedział. Słowa same wychodziły z jego ust, nawet nie zdawał sobie sprawy, co mówi. Jak również nie wiedział, że się uśmiecha.

- Przyjdiesz na pogrzeb...? - W głosie Anny Sztoldo wyczuwało się ostrożność. Czuła, że kiedyś, dawno temu, coś się wydarzyło między jej ojcem a synem. Coś, co oddzieliło ich od siebie na zawsze. Nie miała pojęcia, o co chodziło, obaj nie chcieli o tym mówić.

Marcin wręcz dostawał histerii, dała więc spokój dochodzeniom.

- Oczywiście - odparł pogodnie. Sam się zdziwił, z jaką łatwością mu to przychodzi. Zaskoczył samego siebie chęcią pójścia na ten pogrzeb; nie kierowało nim poczucie obowiązku czy winy.

- To dobrze.

Miło było słyszeć wdzięczność w jej głosie.

- Bo widzisz, on... - zacięła się na dłuższą chwilę, aż zaniepokoił się, że przerwano połączenie. - Przepisał ci swój dom.

Swój dom!

Serce Marcina Sztoldo biło jak oszalałe. Zupełnie jak trzydzieści lat temu, gdy zobaczył stopę trolla.

Dom dziadka należał teraz do niego. Wszystkie pokoje i meble. I piwnice.

*Musiałem sprawdzić, czy nie próbują wyjść.*

- Wspaniale - oświadczył, nawet na jotę nie zmieniając intonacji. - Mam już powyżej uszu mieszkania w bloku.



Wytrzymał tylko dwie noce.

Przez pierwszą nie spał wcale. Trzy razy zbierał się na odwagę, stawał przed piwnicznym drzwiami, bosi, w piżamie, wdychając żywiczne powietrze przedpokoju (wciąż ten sam zapach; tyle lat, a zapach ten sam!) i nasłuchiwał. Nie słyszał nic. Nic a nic. Następnego dnia wziął w pracy wolny dzień i począł wertować ogłoszenia. Chciał kupić psa. Okazało się to niełatwe, przede wszystkim ze względu na warunki, jakie temu zadaniu postawił. Pies miał być dorodny, silny, nieustraszony. A najlepiej wściekły.

Nie miał pojęcia, że tak trudno jest kupić porządnego psa.

Ostatecznie skończyło się na brudnobiałym bulterierze z różowymi jak świńska skóra oczami, którego nabył w schronisku dla zwierząt. Pies może nie był tak potężny, jak Marcin tego pragnął, ale za to łeb miał wielki niczym nosorożec, a w dodatku - jak zapewniał kierownik schroniska - poprzedni właściciel pozbył się go, gdyż zwierzę pozagryzało większość kotów w okolicy (siedem, ponoć siedem było tych kotów) i jedną świnkę morską, wyprowadzoną na podwórko przez nieroztropną właścicielkę. Mogła to być prawda. Już sam wygląd psa sprawiał, że człowiek dostawał gęsiej skórki.

Drugą noc spędził w towarzystwie nowego nabytku, lecz niewiele to dało. W końcu zaczęło mu się wydawać, że słyszy dobiegające z dołu stukanie. Ale gdy schodził do przedpokoju,

witała go cisza.

O czwartej nad ranem zabił drzwi piwnicy deskami i wreszcie zasnął.

Obudził się koło południa z ostrym bólem głowy. Jakby miał kaca. Bulterier stał obok łóżka i pakował pod kołdrę ciosany z kamienia łeb. Marcin Sztoldo wypuścił psa na podwórko, wziął prysznic i oglądając swą bladą twarz w łazienkowym lustrze, podjął decyzję, jaką powinien był podjąć już pierwszego dnia.

Odwalił deski, którymi zabarykadował wejście do piwnicy, zawołał psa i zszedł na dół. Zakurzona żarówka bez oprawki ledwie rozpraszała mrok. Wyszczerbione drewniane stopnie skrzypiały przy każdym kroku.

Poszedł wprost do pomieszczenia na końcu korytarza.

Wcale nie było tak tajemnie, jak to zapamiętał. Wcale nie tak strasznie. W ogóle niestrasznie. Przede wszystkim było jasno. Przez dwa spore okienka zaglądało słońce, rzucając po szarych ścianach miłe refleksy.

Marcin Sztoldo odetchnął głęboko, a stojący przy nodze pies spojrzął przymilnie i usiłował zamerdać szczątkowym ogonem.

Spojrzał pod nogi. Stał na równej betonowej podłodze. Nie na czarnej, ubitej ziemi, którą z łatwością można rozkopać szpadlem. Oczywiście niewiele to znaczyło. Na podstawie tak kruchego faktu nie sposób czegokolwiek kwestionować. *Inni też by chcieli wyjść. Ale niedoczekanie!* Zalana betonem posadzka raczej umacniała wiarygodność wspomnień niż odwrotnie.

A przecież zszedł do piwnicy, żeby raz na zawsze z nimi skończyć.

W sąsiednim boksie znalazł kilof, łopatę i szpadel. Podkasał rękawy i wziął się do roboty. Przerwał tylko raz, na samym początku, kiedy stwierdził, że dostanie na dłoniach odcisków, i udał się na poszukiwanie rękawic. Nic nie znalazł, więc zrezygnował i pracował dalej. Pierwszy odcisk pękł po niecałej godzinie, ale wtedy było już Marcinowi wszystko jedno. Warstwa betonu okazała się cienka, zresztą nie musiał zrywać

wszystkiego - dobrze pamiętał dziadka, stojącego z łopata na samym środku piwnicy.

Ziemia pod posadzką tylko z wierzchu była twarda. Później poszło jak z płatka, uporał się z wykopem w ciągu następnej godziny. Kilkakrotnie zamierzał przerwać, pójść chociażby do kuchni po wodę i ukoić wyschnięte na pieprz gardło, ale zwalczał pokusę w obawie, że nie odważy się wrócić i dokończyć pracy. W dodatku za każdym razem, gdy spojrzął na bulteriera (imię! trzeba mu dać jakieś imię!) wyczekującego w progu z godną podziwu cierpliwością, odnosił wrażenie, że zwierzę obserwuje go wzrokiem strażnika. Że WIE!

Co za wariactwo!

I po godzinie, gdy dół miał prawie metr głębokości, coś zgrzytnęło pod łopata. Nie był to kamień. I nie były to cegłówki. Marcin Sztoldo prawie od początku wiedział, co: lampa w jednej chwili zabłysła w jego głowie, oświetlając oczywistą prawdę, lecz mimo to oczyszczał dół dalej, niczym maszyna, jakby nic do niego nie docierało. Odrzucił łopata i grzebał w ziemi gołymi rękami. Dopiero gdy odsłonił całość, wyprostował się i zastygł nad znaleziskiem.

Patrzył długo. Strażnik bulterier piszczał żałośnie.

Wyszedł z wykopu z twarzą obojętną jak maska. Pochwycił łopata i począł zasypywać dół. Mało obchodził go ten drugi większy szkielet. Wieczorem, leżąc w łóżku, zapłakał nad mniejszym, kobiecym, z obrączką na kościanym palcu, która - gdy zabrakło ciała - wydawała się o wiele za duża. Taką samą obrączkę miał dziadek, z charakterystyczną, niepowtarzalną zygzakowatą wstawką z białego złota.

Prawie przez całe życie Marcin Sztoldo bał się, że jego dziadek może być trollem. Teraz bał się, że trollem nie był.

# ALCHEMIA

- **M**iki nie żyje - powiedział Romek.

Twarz miał czerwoną, oczy opuchnięte od płaczu. Stał bezradnie - drobny, anemiczny siedmiolatek - i patrzył na matkę z nadzieją, jakby oczekiwał, że wszystko można jeszcze odwrócić.

- Jak to?! - Zaskoczona Marta zerwała się z fotela. Nie żyje? Przecież rano go uciszała, gdy jak oszalały drapał pazurami w okno, podniecony widokiem siadających na parapecie gołębi. Był zdrowy jak koń, jeśli w ogóle można w ten sposób wyrazić się o kocie.

- Nie oddycha - poskarżył się chłopiec.

Przestał płakać, lecz jego wystający do przodu kościsty podbródek wciąż drżał.

Pobiegła do dziecinnego pokoju boso, wbrew regułom pozostawiając laczki przy fotelu. Podążający za matką Romek również był bez papuci, ale on prawie nigdy ich nie nosił. Niegdyś nieprzerwanie zwracała mu na to uwagę: „Spójrz na skarpetki, znowu dziurawe!”.

Teraz już tego nie robiła.

Teraz była lepszą matką.

Kocur leżał na podłodze, na prawym boku, z łapami wyce-

lowanymi w drzwi. Zbliżyła się z kamienną twarzą, przykucnęła i dotknęła szarej sierści. Nie był zimny ani sztywny - nie jak Cywil, pies, którego Marta miała w dzieciństwie i który zdechł w dniu jej maturalnego egzaminu, jakby nie mógł wybrać na odejście jakiegoś innego, mniej ważnego z tych trzystu sześćdziesięciu pięciu w roku. Wróciła wtedy do domu, rozszczębiotana, bo matematyka (pięta achillesowa) nieźle jej poszła - a tu ukochany zwierzak nie wyskoczył na przywitanie, jak to zwykł czynić zawsze, nawet jeśli szło się tylko wyrzucić śmieci. Całą radość diabli wzięli! Trzy dni później zdawała język polski; przygnębiona, przebrnęła przez ten pisemny ledwo ledwo, a potem na egzaminie wstępnym na uniwersytet zabrakło jej dwóch punktów, dokładnie tyle, ile można było uzyskać za lepsze świadectwo maturalne. Wszystko przez psa, przez to, że stał się sztywny, jakby wyjęto go z zamrażarki. Do tamtej chwili nie miała pojęcia, że ciało po śmierci staje się zwykłą kłodą drewna.

Miki sztywny nie był. Ale rzeczywiście nie oddychał. Albo minęło zbyt mało czasu, albo...

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Kiedy zauważyłeś? - Popatrzyła badawczo na syna.
- Przed chwilą. Po obiedzie bawiliśmy się. Podrapał mnie.

Chłopiec wyciągnął rękę, pokazując niewidzialne ślady. One zawsze były niewidzialne, te ślady. Nie pamiętała, żeby Miki kiedykolwiek naprawdę podrapał jej syna.

W milczeniu przypatrywali się znieruchomiałej postaci, lekko szczerzącej zęby spod mięsistego, miękkiego pyszczka.

- Co teraz zrobimy? - spytał Romek, zachłystując się spazmatycznym oddechem. Na zaróżowionych policzkach miał zaschnięte łzy, roztarte z brudem wiecznie niedomytych rąk.

- Nie wiem - odparła Marta. - Chyba trzeba go pochować. Najlepiej w parku, w miejscu, gdzie nie biegają dzieci.

- On naprawdę umarł? - upewniał się chłopiec, przecinając tym zdaniem ostatnią nić wiążącą go z iluzją nadziei.

Nie odpowiedziała. Schyliła się i podniosła kota z podłogi. Czarne oko, precyzyjnie okrągłe - jak bity w mennicy pieniądz - zdawało się wpatrywać w nią z wyrzutem. „Gdzie byłaś, gdy umierałem!” Nie mogła na to patrzeć.

- Naprawdę - odpowiedziała na pytanie syna.

Drugiego oka nie było. Wystrzępiona nitka wystawała z miejsca, w którym powinno się znajdować. Oko odpadło dawno temu, najpierw przyszyła je, ale potem znowu odleciało i gdzieś zginęło. Romek przez kilka dni próbował je odnaleźć, ale na nic to się zdało. Przepadło. Kamfora.

Nigdy nie zdecydowała się na przyszycie czegoś zastępczego. Oboje z synem byli pewni, że i tak nic by przez nie nie widział.

- Dlaczego? - zapytał Romek. Znowu miał łzy w oczach.

- Co dlaczego?

- Dlaczego umarł?

Zirytowała się. Była dobrą matką, ostatnio coraz lepszą, ale nawet najlepsze matki czasami gniewają się na swoje dzieci.

- Widać nie dość dobrze się nim opiekowałaś - zganiła syna.

- Nieprawda! - wykrzyknął. - Opiekowałem się!

- Nie dość dobrze.

- Dobrze!

- A to! - Podsunęła mu pod nos kota, obracając go do góry nogami. - Rozpruty brzuch! Znowu bawiłeś się w doktora. Spójrz, ile wy dostało się waty!

- Bo uciekał!

- Jak miał nie uciekać, skoro chciałeś mu zrobić krzywdę! No jak?!

Romek spuścił głowę. Chlipnął.

Marta patrzyła na niego z zaciśniętymi mocno ustami, wciąż z kotem w rękach, i powoli opuszczała ją złość.

- No już dobrze. - Poglaskała syna po głowie, a potem przytuliła, jak to mają w zwyczaju dobre matki. - Już dobrze. Idź



się umyć, bo wyglądasz jak łązga.

Odszukała w szafie karton po butach i włożyła doń Mikięgo. Gdy nałożyła papierowe wieczko, wydawało się jej, że w środku coś się poruszyło. Niemożliwe! Wróciła na fotel, ale nie potrafiła się skupić na serialu, który właśnie wyświetlano w telewizji publicznej. Coś nie dawało jej spokoju. W końcu wstała i wyjęła z szafy tamto pudełko. Otworzyła. Kocur leżał w tej samej pozycji.

- A niby jak ma leżeć... - Westchnęła.
- Co mówisz, mamó? - doleciało z łazienki.
- Nic. Zakręć wodę. Szkoda gazu!

Znów tkwiła w fotelu. Czas mijał. Jaka cisza... Nienawidziła ciszy. Nie ma od niej nic gorszego. Nigdy, przenigdy nie mogłaby mieszkać na wsi, z dala od gwaru miasta, głośnych sąsiadów. Czasami krzyczała na Romka, gdy bawił się zbyt hałaśliwie, ale w gruncie rzeczy nie miała mu tego za złe. Żałowała, że nie zdecydowała się na drugie dziecko, nim umarł jej mąż Henryk. Na pewno w domu byłoby weselej.

Kiedy tylko Romek dojdzie do siebie, koniecznie trzeba kupić nowego kota. Albo nawet psa. A może jedno i drugie? Widziała kiedyś w telewizji program - tak zgodnych przyjaciół jak tamten pies i kot ze świecą szukać!

- Jezus Maria! - Podskoczyła, a to tylko zadzwonił domofon.

Jeszcze nie podniosła słuchawki, a już wiedziała, kto stoi na dole. Teściowa. Przez to wszystko zupełnie zapomniała, że miała przyjść teściowa.

Ostrowska przekroczyła próg, sapiąc przez nos niczym lokomotywa i roztaczając wokół woń jaśminowej wody. Bez ceregieli usadowiła się na kanapie i wyciągnęła przed siebie grubaśne, znaczone żyłakami nogi.

- Idziesz z nami? - zapytała.
- Nie.
- Może jednak...

- Powiedziałam, NIE!
- Ależ dziecko...
- Nie jestem twoim dzieckiem.

Teściowa westchnęła. Nie skarżyła się. Nigdy się nie skarżyła, ale jej westchnienia były wystarczająco wymowne.

- W zeszłym roku też nie byłaś... Położyłam od ciebie wieniec.

Marta milczała. Nie zamierzała poddawać się presji dźwięków pochodzących z okrytej tłuszczem przepony.

Wieniec.

Czy wieniec może cokolwiek załatwić? Odmienić?

Ojciec Romka nie żyje i nic nie jest w stanie tej prawdy anulować. Nic. Nie pomoże nawet milion wieńców. Był jej mężem osiem lat i widać więcej im nie przeznaczono, skoro nie zawahał się usiąść po pijanemu za kierownicą i nie zdjął nogi z pedału gazu, gdy trzystuletni dąb zastąpił mu drogę. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie była dobrą matką i pozwoliła zabrać mu wtedy Romka. A chciał. Ledwie wyszarpnęła mu dzieciaka.

I teraz ma odwiedzać jego grób? Grób człowieka, który zginął przez własną bezmyślność? Nieodpowiedzialność? Głupotę?

- Pójdę już. - Teściowa wstawała powoli, jakby miała nadzieję, iż zostanie powstrzymana. - Pomodłę się w twoim imieniu - powiedziała, wychodząc.

- Jak chcesz.

Wreszcie sobie poszła.

Marta zbliżyła się do okna, dyskretnie odsunęła firankę. Nie czekała długo, gdy spod przejścia pod budynkiem wyłoniła się baryłkowata postać. Teściowa szła powoli, przygarbiona, kołysząc się na boki niczym wózek z rozklekotanym kołem. Właściwie powinna wzbudzać współczucie tym swoim żalem, wiecznym rozpamiętywaniem każdej rocznicy śmierci. Której to?

- Czy to moja wina, że nie potrafię cierpieć? - rzuciła pytanie przez szybę, wprost w szarą postać starej kobiety. - Że nie z tego żebra powstałam?

Z samochodu wysiadł mężczyzna. Otworzył drzwi i pomógł teściowej wpakować się na przednie siedzenie. Potem wrócił na miejsce kierowcy, obchodząc samochód od strony bagażnika. Szczupły, wyprostowany, dopiero z zaczątkami siwizny na bujnych włosach.

Boże! Jaki ból! Ołów w piersiach!

Zawsze, gdy Marta czuje ten ołów, świat pęka, a przez pęknięcie znów wpełza tamten okrutny dzień: ON wsiada do samochodu, rumiany od wypitego alkoholu, ciągnie za sobą Romka, a ona...

ONA JEST ZŁĄ MATKĄ!

Dziś ON wiezie teściową na cmentarz i nawet do głowy mu nie przyjdzie, że to dla niego powinny być te wieńce. Dla niego! Tchórz! Nawet nie wszedł na górę!

Dość!

Marta odetchnęła pełną piersią i ołów znów przemienił się w złoto. Mężczyzna, który wiezie teściową na cmentarz, to zupełnie obcy człowiek, którego zobaczyła dziś po raz pierwszy.

Alchemia jest cudowna.

A wieńce są dla męża dobrej matki.

- Dziesiąta - przypomniała sobie nagle. - Rocznicą jest dziesiąta.

W pokoju pojawił się Romek.

- Kto to był? - zapytał.

- Babcia.

- Co chciała?

Marta w milczeniu wpatrywała się w filigranowego siedmiolatka.

- Nie pamiętam...

Znowu był brudny. Zwłaszcza na szwie.

# HALLOWEEN W OBCYM KRAJU

**N**o więc powiedziała do mnie:

- Nie wychodź dzisiaj z domu.

Spojrzałem spod oka. Kaprysy?

- Coś znowu wymyśliła?

Stałem w przedpokoju w zasznurowanych buciorach, z dzinsową kurtką w ręku. Przytulanka wyprężyła grzbiet i prychnęła, mierząc mnie żółtymi oczami, przeciętymi czarną, pionową kreską. Jak zwykle nie umiałem nic odgadnąć. Stawiam kolejkę każdemu, kto potrafi cokolwiek wyczytać z kociego spojrzenia.

- Nie znowu - sprostowała. - Od trzech dni mam złe przecucia.

- Mam nie jechać do pracy, bo moja kotka ma przecucia? Też coś!

Ostentacyjnie wzruszyłem ramionami. W istocie byłem zły, faktycznie przecucia Przytulanki rzadko bywały chybione. Ale nie uśmiechało mi się zostawanie w domu akurat dzisiaj, kiedy mieli przywieźć nową lalkarkę, wiecie: jedną z tych, do których wrzucasz nic, a wyjmujesz niespodziankę. Mieli ją przywieźć i pokazać, jak samemu programować numerycznie. Cholera wie, o co tak naprawdę chodzi z tym numerycznym programowa-

niem, przypuszczam, że nikt z brygady nie ma zielonego pojęcia, ale gdy szef zapytał, kto poradzi sobie z obsługą maszyny, zgłosili się wszyscy. Sami fachowcy, psiamać! Problem w tym, że pewnie kogoś zwolnią. Nie inwestuje się kupy sałaty, żeby nikogo nie zwalniać. No więc się bali.

- Poradzę sobie z każdą pieprzoną lalkarką! - zawołałem zawiadaczko. - Nie takim maszynom dawałem radę, jeśli chcesz wiedzieć, moja miła.

- Mam głęboko w odbycie lalkarkę - oświadczyła mało dystyngowanie Przytulanka. - Moje przeczucia dotyczą Halloween.

Ogonem kreśliła powolne ósemki, co było niechybną oznaką zniecierpliwienia. Ogon powie ci więcej niż oczy. Czasem dziękuję Bogu, że nie mam ogona.

- Halloween? - powtórzyłem z głupia frant, kompletnie zaskoczony.

- Dziś jest Halloween. Wiedziałybyś, gdybyś słuchał, co mówię do ciebie wieczorami.

Spojrzałem na zegarek. Miałem jeszcze trochę czasu, żeby zdążyć na autobus.

- Wiesz dobrze, że wieczorami nigdy cię nie słucham i to nie moja wina - odpałem.

- Wciąż się boisz ze mną kochać? - zadrwiła. Zastrzygła grubymi jak druty wąsami z prawej strony pyszczka; iście cyrkowa sztuczka. W życiu nie widziałem kota, który robiłby coś takiego.

- Nigdy nie będę się z tobą kochał - oświadczyłem stanowczo, wyciągając wskazujący palec. - Wybij to sobie z głowy, kochanie! Nie jestem zboczeńcem. Zoofilem czy jak tam zwą tych popaprańców.

Tylko patrzyła w górę oczami stukniętego w łeb Chińczyka. Może i coś wyrażały te oczy. Ale nie dla mnie.

- Co z tym Halloween? - zapytałem ugodowo.

- W Halloween niektórzy się cieszą. Nakładają maski,

tańczą i żrą cukierki.

- Przecież wiem. Masz mnie za tępaka?

- Nie wszystkim pasuje taki układ - powiedziała tajemniczo Przymulanka. - Niektórzy są przeciw.

- O czym tym gadasz? - Zaczynałem tracić cierpliwość. - Jacy niektórzy?

- A niby skąd mam to wiedzieć - prychnęła. - Jestem tylko miłą kotką z niemiłymi przecuciami. Nie znam się na metafizyce.

- W porządku. Bez nerwów - zagailem z obojętnym wyrazem twarzy, nawet nie zerkając na zegarek, choć zaczynałem gotować się w środku. Lecz nie mogłem tak po prostu odwrócić się i wyjść. Wiecie, jak to jest z kocicami. - Rozumiem, że nie wszyscy cieszą się z Halloween - kontynuowałem. - Ale co z tego wynika?

- Twierdzą, iż nikt nie ma prawa naruszać harmonii. Ani w taki dzień, ani w żaden inny. A jeżeli już szala ma się przechylić w którąś stronę, to z pewnością nie na radosne świętowanie. Halloween jest porą mroku, nie światła.

- Być może mają rację - powiedziałem ostrożnie, widząc, że sprawa nie jest dla Przymulanki błaha. - Ale, prawdę mówiąc, guzik z pętelką mnie to wszystko obchodzi. Dziś pracuję. Wczoraj byłem na grobie babci, a świętować będę na Barbórkę. Niech sobie ktoś urządza Halloween, jeśli ma taki kaprys. Mnie nic do tego. W porządku?

- Niezupełnie - odrzekła kotka.

- Co?

- Jeszcze nie spostrzegłeś, że ludzie z takimi jak ty poglądami są najbardziej przydatni?

Nie byłem tamtego ranka zbyt błyskotliwy, teraz to przyznaję.

- Do czego, u diaska, przydatni?

- Do zachowania równowagi - odparła cierpliwie. - Do harmonii.

Przez jakiś czas milczeliśmy, mierząc się wzrokiem.

Ogon Przytulanki znieruchomiał, a ja pomyślałem, że moja miła mówi zagadkami, całkiem jak, nie przymierzając, starożytna Sybilla. Rozumiesz poszczególne słowa, ale z całości nie kapujesz nic a nic.

- I tak pójde - oświadczyłem, balansując na krawędzi górskiej grani. Sprzeciwianie się kotce było zachowaniem co najmniej lekkomyślnym. Ale taki już jestem. Potrafię być stanowczy. Są chwile, kiedy mężczyzna musi być mężczyzną.

I wygrałem.

Przytulanka westchnęła. Po ludzku. Zupełnie jak moja matka, która kotów nie cierpiała bardziej niż pajaków i pewnie przewraca się teraz w grobie, jeśli w zaświaty dotarła informacja, z jaką to przyjaciółką obecnie mieszkam.

- Takie właśnie miałam przecucie. - Z rezygnacją popatrzyła w bok i dodała z wyrzutem: - Zawsze wiedziałam, że praca jest dla ciebie ważniejsza ode mnie.

Nic nie odrzekłem. Powstrzymałem się, choć oskarżenie było jawną niesprawiedliwością. Ciosem poniżej pasa. Poza tym, jeśli dobrze zrozumiałem sens sprzeczeki, to mnie - nie jej - groziło niebezpieczeństwo. Ale co tam. Milczałem, przecuwając, że mój rodzynek zaraz mnie zaskoczy.

Wskoczyła na szafkę i powiedziała:

- W szufladzie jest dynia. Weź ją ze sobą. - Znów westchnęła. - Może to coś da.

Bezszelestnie zeskoczyła na podłogę, nie uraczywszy mnie spojrzeniem, i miękkim krokiem podążyła do kuchni. Zajrzałem do szafki. Dynia była mała, niewiele większa od filizanki do herbaty. Może raczej powinienem porównać ją z cukierniczką, gdyż posiadała nakrywkę, z ogonkiem służącym jako uchwyt.

No więc dynia była wydrażona.

W ścianie wycięto oczy - owalne, nieco skośne (kocie?!), między nimi trójkątny nos, a niżej były usta, niczym zębiska ręcznej piły.

- Po cholere mi dynia? - spytałem.

- Mówiłam, że nie znam się na metafizyce. Weź ją i już. Jeśli nie będziesz potrafił z niej skorzystać, tym gorzej dla ciebie - odpowiedziała już z kuchni.

Podniosłem nakrywkę. Na dnie stała niziutka świeczka, osadzona w zastygłym wosku. Osmalony, czarny knot zachęcał do zapalenia.

- Nie dałam zapalek, bo masz zapalniczkę - rzekła Przytulanka, powoli wychodząc z kuchni i ocierając się o ścianę. - Wiem, że palisz papierochy, kiedy nie ma mnie w pobliżu. Pewnie myślisz, że mam nos z drewna.

Dla świętego spokoju wsadziłem dynię do kieszeni dzinsowej kurtki, aby nie była widoczna. Wzięto by mnie za idiotę, dorosły facet z dynią! Położyłem rękę na klamce, kiedy coś mnie tknęło.

- Zaraz! - Zastygłem w pół ruchu. - Jakim cudem potrafiłaś wydrążyć dynię? I właściwie skąd, u diabła, ją wzięłaś?

- Na które z pytań mam odpowiedzieć najpierw? - odparła beczelnie.

- Obojętnie.

- Adaś - oświadczyła. - To odpowiedź na oba pytania.

- Co za Adaś...? - Powietrze uciekało mi z płuc, niczym z przebitej dętki.

- No wiesz... - Przekręciła głowę, co może w pewnych sytuacjach wyglądało zabawnie, ale nie teraz. - Ten, co mieszka na stacji naprzeciwko. Kupił mi dynię i ją wydrążył.

- Student! - ryknąłem, nie licząc się z konsekwencjami. - Ten, co kosi dziewczyny jak kombajn żyto? Oszalałaś, kretynko?!

- Bardzo miły chłopiec - powiedziała, szczerząc nieprzyjaźnie drobne kły.

Niektórzy twierdzą, że jak kot obrazi się na człowieka, to już na całe życie. Wierutna bzdura. Kot obraża się najwyżej na dwa, góra trzy lata. Pieprzyć to! Zamiast awanturować się dalej,



wyjąłem z kieszeni dynię i ostentacyjnie odstawilem na szafkę. Nie miałem zamiaru targać z sobą dzieła jakiegoś palanta.

Przytulanka syknęła wściekle, niczym wąż grzechotnik, machnęła łapą, wystawiając pazury, długie chyba na centymetr. Nim zdążyłem się zasłonić, już była przy mnie, jednym susem wskoczyła na ramię i ciachnęła przez policzek. Nawet nie poczułem bólu, przede wszystkim byłem zaskoczony. Sięgnąłem dłonią do rany; krew spływała, jakby kto wylał setkę wiśniówki.

- Zabieraj dynię! - wykrzyczała. Zęby miała wyszczerzone.  
- Zabieraj albo nie pokazuj mi się więcej na oczy!

No więc miałem szczerą ochotę nie pokazywać się jej więcej na oczy. Naprawdę. Miałem dość tej włochatej norki. Dość całym umysłem, duszą i czym tam jeszcze chcecie. Ale tylko przez pięć, no, może dziesięć sekund.

Możecie mną gardzić, mam to gdzieś, ale w szóstej czy jedenastej sekundzie ponownie schowałem do kieszeni cholerną dynię, wydrążoną przez cholernego Adasia, dla cholernej kocicy. I całe szczęście, że to zrobiłem. W przeciwnym razie nie miałbym okazji opowiedzieć tej historii.

No więc zabrałem dynię, a zanim wyszedłem, raz jeszcze starłem krew z policzka i - zachowując resztki godności - oczyściłem dłoń w beżową, czyściutką jak tlenowy namiot Michaela Jacksona sierść Przytulanki. Trochę się bałem, że dziabnie mnie wampirzymi ząbkami.

Nie dziabnęła.

Czasu nie zostało wiele. Jeśli zamierzałem zdążyć na autobus, naprawdę musiałem się śpieszyć. Jak burza wypadłem na podwórko, gdzie Hektor, czarny jak noc przybysz znikąd, warował, jakby był psem nie kotem, a teraz był marzec, nie listopad. Wymierzyłem fagasowi kopniaka w nerę. Od dawna miałem ochotę to zrobić. Nawet nie pisał, zmył się w jednej chwili i wątpię, czy kiedykolwiek ośmieli się wrócić.



Na przystanku nie było nikogo. Prawie rozplakałem się z wściekłości. Następny autobus miałem za dwie godziny. Równie dobrze mogłem nie pokazywać się w pracy. A jak będą zwalniać, to kogo, jak nie gościa, który nie ma bladego pojęcia o numerycznym programowaniu lalkarek?

Na dodatek zaczął padać deszcz.

Kalkulowałem, ile mogłaby kosztować taksówka i czy mam tyle pieniędzy przy sobie, kiedy zza zakrętu wyłonił się autobus. Nie dowierzałem własnemu szczęściu, dopóki nie zatrzymał się i z sykiem nie otworzyły się pneumatyczne drzwi.

Nie znałem tego kierowcy. Od lat jeżdżę tą trasą, pięć razy w tygodniu i znam wszystkich, nawet tych z innych kursów, którzy czasami wskakują na zastępstwo. „Nowy” - pomyślałem, nie przywiązując wagi do tematu. Chyba nikt nie przywiązywałby do tego wagi, gdyby znalazł się na moim miejscu.

Facet faktycznie był nowy. Jak cholera nowy!

Ale po kolei.

No więc wsiadłem do autobusu, zupełnie już uspokojony i pokazałem kierowcy bilet miesięczny. Oglądał go, jakby na zdjęciu była co najmniej Catherine Deneuve, i to bez stanika, a nie przyszczaty facet po trzydziestce. Wiecie, jak to jest w autobusie: ty stoisz, kierowca siedzi, patrzysz na niego z góry, a z góry twarz zawsze wygląda inaczej. Zwłaszcza gdy gość nosi beret, czarny, wielki niczym pizza, a szyję ma obwiązaną szalikiem, szczelnie, po samą brodę. Krótko mówiąc, w ogóle nie zwróciłem uwagi na to, że ta twarz jest dziwaczna. Zresztą nie tylko ja pozostałem obojętny na jej wątpliwe uroki. W autobusie było jeszcze z dziesięciu pasażerów, którzy też nic nie zauważyli. Nie zauważyli - jak dwa razy dwa. Inaczej wysiedliby natychmiast.

Ale możliwe, że twarz kierowcy zmieniła się dopiero później.

Oddał mi bilet i powiedział:

- Paskudnie zaciął się pan przy goleniu.

Głos miał niski, przytłumiony, jak gdyby mówił do stalowej puszki, przystawionej do ust. Jeśli na mnie spojrział - a pewnie musiał, skoro zauważył - to przeoczyłem ten moment.

- Złamała mi się brzytwa - odparłem na odczepnego.

- Szczęście, że nie podciął sobie pan gardła.

- Faktycznie farciarz ze mnie. - Schowałem bilet i poszedłem na tył autobusu. Zawsze siadam z tyłu, bo nie lubię, gdy kręcą się przy mnie inni pasażerowie.

Autobus ruszył. Dżinsową kurtkę położyłem na kolanach; jakoś nie miałem ochoty jej wkładać, zważywszy na zawartość wypchanej kieszeni. Gdybym na przystanku powstał trochę dłużej, pewnie wyrzuciłbym karłowatą dynię do kosza na śmieci.

Było ciepło, ogrzewanie działało bez zarzutu i chyba się zdrzemnąłem, bo aż podskoczyłem, gdy z przodu stuknęły drzwi. Kolejny przystanek. W szczerym polu. Wioska oddalona od szosy co najmniej o kilometr, skoro nie widać żadnych zabudowań. Do autobusu wszedł ogolony na łyso młodzieniec, może osiemnastolatek. Kupił bilet i usiadł na pierwszym siedzeniu z prawej.

- To miejsce służbowe - powiedział kierowca dudniącym głosem.

Pomyliłem się. On nie mówił do puszki. Mówił do wiadra, które ktoś wcisnął mu na łeb.

- No i gites - odparł młodzieniec, rozprostowując beztrąsko nogi.

- No i gites - powtórzył jak echo kierowca, wcale nie speyszony. Wręcz przeciwnie: usłyszałem w jego głosie nutkę zadowolenia. Poprawił na głowie czarną pizzę z antenką i pstryknął przycisk drzwi.

- Chwileczkę! - Jakaś kobieta niespodziewanie poderwała się z miejsca. Pochwyciła na ręce nieokreślonej płci dzieciaka,

wieku może dwóch lat, i zaczęła przepychać się do przodu. - Chcę wysiąść.

- Przecież to nie pani przystanek - rzekł kierowca.

Z miejsca w tyle autobusu widziałem tylko zarys sylwetki kierowcy, odgradzonego od pasażerów zmatowiałą szybą.

- Ależ mój - powiedziała kobieta.

- Ależ nie - odparował bas z wiadra.

Na chwilę zapadła cisza. Oczy pasażerów spoglądały na tę dwójkę.

- Co to pana obchodzi!

- Jest początek listopada, proszę pani. Na dworze chłód i słońce. Pani z dzieckiem, a tu puste pole...

- Chcę wysiąść - powtórzyła. - Chyba mi wolno!

- Każdy jest kowalem swego losu. - Kierowca westchnął i otworzył drzwi.

Kobieta wysiadła. Przez okno, po którym spływały zimne, deszczowe łzy, widziałem, jak stawia dzieciaka na poboczu, nakłada mu czapkę i dopina kurtkę. W tym momencie nabrałem pewności, że rzeczywiście opuściła autobus nie na swoim przystanku. W taką pogodę żadna matka nie ubiera dziecka dopiero na zewnątrz.

No więc jeśli interesuje kogoś moje zdanie na ten temat, to uważam, że babka też miała złe przeczucia. To niewieścia intuicja kazała jej wysiąść. W autobusie były jeszcze dwie inne kobiety, jedna samotna, znacznie starsza, druga z jakimś rudym facetem. Nie pytajcie, dlaczego one nie miały właściwego swojej płci objawienia, bo tego nie wiem. Wypowiedziałem swoje zdanie w kwestii tamtej młodej matki, i tyle. W dodatku mogę się mylić, zasugerowany niedobrymi przeczuciami Przytulanki, których efekt w postaci powycinanej dyni spoczywał w kieszeni mojej kurtki.

Być może wszyscy mogliśmy jeszcze w tym momencie wywinąć się wzorem kobiety i jej dzieciaka, bo oto kierowca, nie wychylając się zza przepierzenia, zapytał:

- Czy może jeszcze ktoś z państwa ma ochotę wysiąść? To ostatni przystanek.

Wyobrażacie sobie? Tak powiedział. OSTATNI PRZY-  
STANEK.

Bezczelny typek!

Ale - co ciekawsze - nikt nie zareagował. Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się to nieprawdopodobne. Tyle szczegółów, tyle znaków, a my nic. Zadowoleni, podróżowaliśmy sobie w ciepélku. Zupełnie jak te żony faceta, co go potem nazwali Sinobrodym.

Nie mam pojęcia, jaki mechanizm tu działa. Ale jestem przekonany, że gdyby trafiło na inną grupę pasażerów: na was, na rodzinę Alberta Einsteina czy Jasia Fasoli, wszyscy zachowaliby się podobnie. Nic by nikogo nie ruszyło - czy byłby to dzień Halloween, czy jakikolwiek inny. Pewne rzeczy do ludzi nie docierają, dopóki nie jest za późno.

No więc nikt się nie odezwał, a w dodatku łysy młodzian, ten bezstresowy, który dopiero co wsiadł, powiedział:

- Zamknij pan drzwi, bo zimno wieje.

Syknął pneumatyczny zamykacz i autobus ruszył. Spojrzałem przez zapłakaną szybę. Kobieta stała na poboczu, trzymała dziecko za rękę i patrzyła za nami. Wiatr bezlitośnie rzucał na nią zwiędłe liście, ale jej to nie przeszkadzało. Gdy za zakrętem straciłem ją z oczu, wciąż patrzyłem. Chciałbym kiedyś spotkać tę kobietę, powiedzieć, że dobrze zrobiła, nie dzieląc się z nikim paskudnymi przecuciami z przystanku ostatniej szansy. Że dobrze się stało, iż powstrzymała ją nieśmiałość; wstyd, że zostanie uznana za idiotkę. Bo jeśli ostrzeżenie cokolwiek mogło tu zmienić, to na gorsze. Mniejsza o kierowcę, ale drwiny pasażerów mogłyby w rezultacie odwieść ją od zamiaru opuszczenia autobusu, zagłuszyć zew, który dotarł do niej tak szczęśliwie.

Tyle bym jej powiedział. Ani słówka nie pisnąłbym, że do dziś na słowo „marynarz” serce skacze mi do gardła i nie chce

wrócić na swoje miejsce, póki nie łyknę pięćdziesiątki. Albo dwóch.



No więc ujechaliśmy nie więcej jak kilometr, kiedy kierowca niezgrabnie wygramolił się zza ciasnego przepierzenia i stanął przodem do pasażerów. Ręce miał podniesione do twarzy - ukrywał ją za szeroko rozpostartymi dłońmi. Mogłoby się wydawać, że płacze. Wszyscy patrzyli baranym wzrokiem, pewnie nie wierząc w to, co widzą. Autobus chyba nieco zwolnił, ale pozbawione liści przydrożne drzewa wciąż migwały za oknem, jakby ktoś nadal naciskał pedał gazu.

- Czy pan zwariował?! - wrzasnęła żona rudzielca, obdarzona najszybszym refleksem.

- I owszem - powiedział kierowca. - Jednak stało się to tak dawno temu, że często o tym zapominam.

- Ależ proszę pana... - usiłował protestować facet w okularach, siedzący w lewym rzędzie.

Tylko usiłował. Kierowca opuścił ręce i wtedy wszyscy zaczęli krzyczeć. Wszyscy oprócz mnie. W uszach bębniła mi przestroga Przymulanki. *Nie wychodź dzisiaj z domu*. Jasny gwint! Kocica nie rzucała słów na wiatr!

Coś podobnego do tego, co miał na karku, znajdowało się w kieszeni mojej dżinsowej kurtki.

- Cisza! - zawołał głos ze studni.

Momentalnie zrobiło się cicho. Wyprzedziliśmy akurat traktor; gładko i bez zrywów, jakby przy kierownicy wciąż siedział doświadczony kierowca.

- Mów mi Mister Halloween - rzekł upiór do mężczyzny w okularach.

Zdjął z głowy beret i kilkoma ruchami rozplątał szalik.

No więc kierowca zamiast głowy miał dynię. Czarne czeluście wydrążonych oczu nie wyróżniały nikogo, jednocześnie

jednak patrzyły na wszystkich. Pominę szczegółowy opis trójkątnego nosa i pilastych ust, rozciągniętych w szerokim, demonicznym uśmiechu - jedyna różnica między dynią Przyszłości a tą pękającą głową wynikała z rozmiaru owocu.

Istota, która kazała nazywać się Mister Halloween, sięgnęła do swej gruzelkowatej, nieco zdrewniałej łysin i pochwyciła sterczący w górę zasuszony pęd. Kiedy zdejmowała wieczko - kość trepanowanej czaszki - ktoś zaśmiał się histerycznie. A potem ręka upiora powędrowała do środka głowy. Mignęło coś kolorowego: zapalniczka, jak się przekonałem, i wewnątrz dyni zapłonęła świeczka.

Czerep od razu zrobił się pomarańczowy, a otwory bardziej wyraziste. Wieczko z wyschniętym pędem wróciło na miejsce.

Silnik buczał, deszcz tłukł w szyby, a my siedzieliśmy milczący i sztywni. Jak bezwolne manekiny w pojeździe do testowania urazów w trakcie kolizji. Bo że w coś walniemy prędzej czy później, nie miałem wątpliwości.

- Teraz zagramy w marynarza - powiedział Mister Halloween, zwracając się do wygolonego nastolatka. Z niedawnej beztroski najświeższego pasażera nie pozostało śladu. Siedział grzecznie, z rękami równiutko ułożonymi na kolanach; mógłby służyć jako przykład niejednemu ministrantowi podczas kazania na niedzielnej mszy.

- Wszyscy wiedzą, na czym polega gra w marynarza?

Dynia - gigantyczna gałka - obróciła się na pozbawionym szyi korpusie. Płomyk świeczki zamigotał w oczodołach.

Nikt się nie odezwał.

- Jeśli ktoś nie wie, niech powie. Śmiało!

Wciąż cisza.

- Dobra - Mister Halloween ponownie pochylił się nad młodzieńcem. - Wyrzucamy palce, wynik sumujemy. Odliczam ja i zacznę od siebie. Trzy-cztery!

Pokazał cztery palce.

Młodzian ani drgnął. Nie sędzę, żeby nie znał zasad. Raczej

sparaliżował go strach.

- Razem cztery! - oznajmił niezrażony Mister Halloween i rozpoczął liczenie. Od siebie, tak jak zapowiedział.

- Raz.

Potem wskazał na partnera.

- Dwa.

Jeżeli jest tylko dwóch graczy, nie trzeba liczyć. Wiadomo, na kogo wypadnie, zależnie od tego, czy liczba jest parzysta, czy nie.

- Trzy. Cztery... - niestrudzenie liczył stwór. Na sekundę zastygł w bezruchu. Płomień świeczki wewnątrz głowy rozbrzmiał pełniejszym światłem.

- Wypadło na ciebie, koleżko - oznajmił głosem spod grobowej płyty. - Przegrałeś.

Powietrze zgęstniało. Przestałem oddychać i pewnie inni również. Wiedzieliśmy, że za chwilę stanie się coś bardzo złego.

- Zapomniałem powiedzieć - odezwał się Mister Halloween - że przegrany traci głowę. Dosłownie. Bez metafor. Jednoznacznie rzecz ujmując: podlega dekapitacji.

Puste oczy zlustrowały pasażerów.

- Czy wszyscy wiedzą, na czym polega dekapitacja?

Ani słowa. Jakby trafiło na głuchoniemych.

Mister Halloween wyciągnął ręce ku młodzieńcowi.

- Ale... - wykrztusił przerażony pechowiec. - Ja przecież... Przecież wcale nie zgrałem!

- Nie pleć - zganił go cierpliwie Mister Halloween. - Do twojego zera dodałem moje cztery. Wyszło cztery. Odliczałem uczciwie. Wszyscy widzieli. Więc nie wciskaj mi kitu! - wrzasnął nagle, aż zadrżały szyby.

Siedzący przede mną facet w wojskowym mundurze, chłop rosty jak dąb, skulił się i palcami zatkał uszy.

- Nie zrobiłem nic złego - zaskomlił młodzieniec, gdy kierowca dotknął jego skroni.

No i wtedy...



- A może zagrasz ze mną? - zapytałem.

Samotny kowboj w mieście bezprawia.

Sekundę później zastanawiałem się, czy to naprawdę ja wypowiedziałem te słowa? Reakcja pasażerów nie pozostawiała złudzeń - wszyscy patrzyli na mnie, łącznie z żołnierzem, który przed chwilą zapragnął powrotu do stadium monili, ale mu przeszło. Pewnie myślicie, że w ich oczach zobaczyłem podziw, uwielbienie, może nadzieję. Nic podobnego. We wszystkich zobaczyłem, jakim to jestem kompletnym idiotą.

Bo oni wciąż myśleli, że ich to nie dotyczy. Bali się śmiertelnie. Byli przerażeni. Ale gdzieś w tam środku nie wierzyli, że wszystko dzieje się naprawdę. Jak sądzę, sytuacja przerastała ich pojęcie rzeczywistości.

Ze mną tak nie było. Przeszedłem w życiu niejedno, a Przytulanka, z którą mieszkałem już dobrych pięć lat, dała mi niezłą szkołę. Krótko mówiąc, wiedziałem, że świat jest zupełnie nie taki, jak to sobie ludzie wmówili.

Wiedziałem, że Mister Halloween urwie łeb chamskiemu nastolatkowi nie dlatego, że chłopak jest chamski, ale dlatego, że zwycięzcy należy się nagroda. A potem zagra z następnym pasażerem. Oczywiście wygra. I znów z następnym. I znów wygra, choćby niektórzy próbowali sztuczek z zagiętym kciukiem lub odgiętym małym palcem. Wbrew statystyce wygra z każdym po kolei, aż dojdzie do mnie, siedzącego na samym końcu autobusu.

Nie miałem ochoty tego oglądać. Jak myślicie, co pozostałoby ze mnie po tym wszystkim? Po dziesięciu zmasakrowanych ciałach, podłodze lepkiej od krwi i sinych głowach turlających się na zakrętach niczym piłki? Czy to, co siedziałoby wtedy na autobusowym foteliku, przypominałoby jeszcze człowieka czy rozdygotaną szmatę?

Nie byłem samotnym kowbojem w mieście bezprawia. Nie miałem żadnego planu ani nadziei, że zdołam wygrać z pieprzoną Dynią. Nie miałem ochoty umierać, fakt, ale jeśli już

miało do tego dojść, to przynajmniej nie w tak parszywy sposób.

- No to co? Grasz czy nie? - spytałem. Niespodziewanie odzyskałem spokój. Kurde mol! W życiu nie byłem tak spokojny!

Mister Halloween odsunął ręce od głowy chłopaka i zamarł. Nie mam pojęcia, czy się zastanawiał, kalkulował szanse, czy też po prostu go zaskoczyłem. Nie odzywał się, ale w końcu ruszył ku mnie, krokiem Frankensteina. Gdy mijał pasażerów, ci odchylali się jak wańka-wstańka - wiecie: drewniany ludzik na sprężynie przytwierdzonej na amen do podłoża.

Dla mnie mógł tak sobie iść ze sto lat, ale niestety nie minęło dziesięć sekund, a już stał u celu.

- Wyrzucamy palce - zadudniło z wnętrza dyni. - Wynik sumujemy. Odliczam ja i zaczynam od sie...

- Daruj sobie - przerwałem mu w pół słowa. - Możemy wreszcie rozpocząć?

- Oczywiście.

- Trzy-cztery!

Wyciągnąłem zaciśniętą pięść. Zadbalem, żeby nie wystawał żaden palec. Jak powiedziałem, zdawałem sobie sprawę, że ile palców bym pokazał, Halloween wyrzuci resztę do parzystej. I to wcale nie dlatego, że oszukuje. Po prostu takie są zasady, kiedy grasz człowieku z własnym losem. Lecz równocześnie zamierzałem pokazać skurwielowi, że nie każdy, kto wyrzuci zero, jak ten chłopak z przodu, robi to dlatego, że ze strachu sika w spodnie.

No więc wyobraźcie sobie, że on też pokazał tylko pięść. I to tak zamaszycie, że omal nie przysunął mi w szczękę.

- Zero plus zero jest zero - rzekł rutynowym głosem sportowego komentatora. Jak gdyby nigdy nic uniósł rękę do odliczania i nagle zamarł.

Wyglądało na to, że dopiero teraz pokapował się, o co chodzi z tym zerem. Myślałem, że specjalnie nie pokazał ani jednego palca, przewidując mój ruch, ale myliłem się. Mieliśmy sytua-

cję, której z piekła rodem diabła ruletka w ogóle nie przewidywała. Nie było od kogo zacząć liczyć.

Odzyskałem iskierkę wiary, że może jednak mi się uda. Chyba powinienem poczuć się pewniej, ale tak nie było. Dopiero teraz zaczęły trząść mi się ręce!

- Remis - oznajmił bezosobowo Mister Halloween.
- Dogrywka.

Dogrywka! Jasny gwint! Czy mówiłem coś o trzęsących się rękach?!

Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę znów wyrzucić zera. Ten numer po raz drugi nie przejdzie.

- Zatem gramy ponownie - powiedział Halloween.
- Gotów?
- Gotów - odrzekło coś wewnątrz mnie.
- Trzy-cztery!

Zacisnąłem mocno powieki i desperacko wypchnąłem do przodu rękę. Nawet nie wiedziałem, ile wystawiłem palców.

- Pięć plus pięć jest dziesięć - usłyszałem głos Pani Śmierć.

Dziesięć to liczba parzysta, nie da się ukryć. PARZYSTA! A Halloween zaczyna liczyć od siebie. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że dekapitacja nie boli.

Otworzyłem oczy. Kowalskie cęgi ścisnęły mi gardło, chociaż przeciwnik dopiero zabierał się do liczenia. Faktycznie był dobry, jeśli chodzi o wywołanie u kogoś zawału serca, nerwowego rozstroju lub zrobienia kawioru z szarych komórek, ale z logicznym myśleniem coś chyba było u niego nie tak. Wyglądał na szczerze nieświadomego, który z nas wygrał tym razem.

† † †

No więc zgadnijcie, kto w tym momencie przebiegł przed autobusem sunącym bezkolizyjnie ustaloną trasą, pomimo, że miejsce za kierownicą pozostawało puste? Nie wiem, czy stworzenie było czarne, trzynaste w miocie i nosiło puste wia-

dra. Nie wiem nawet, czy to rzeczywiście był kot - cześć jego pamięci! - ale kiedy wahało nas w jedną i w drugą stronę, kiedy w końcu autobus odzyskał stabilność, Mister Halloween mruknął:

- Cholerny kot!

Przed oczami stanęła mi moja troskliwa Przytulanka.

*Mam złe przeczucia. I jej dynia! Może to coś da.*

- Chwileczkę! - Chyłkiem sięgnąłem do dzinsowej kurtki, wciąż leżącej na moich kolanach. Przez chwilę przeraziłem się, że zgubiłem tę dynię, że wypadła i poturlała się w jakiś kąt. Ale nie. Była w drugiej kieszeni.

- W razie gdybym przegrał, chciałem pożegnać się z przyjacielem - powiedziałem, z trudem pokonując nieustający nacisk niewidzialnych kowalskich kleszczy. - Mogę?

- Z przyjacielem? - zapytał zaciekawiony Halloween, wstrzymując się z liczeniem. Pośpiesznie wyciągnąłem podarunek kocicy.

- Z nim - pokazałem dynię. Może i była niewielka, ale zębiska szczyrzyła nie gorzej od pochylającego się nade mną sturmbannführera. - Jest jeszcze mały. Nie wiem, jak poradzi sobie beze mnie.

Prawie się rozplakałem, tak bardzo wczułem się w rolę. Cisza zapanowała niewzruszona, już myślałem, że przeszarżowałem i Mister Halloween urwie mi łeb, nie czekając na wynik odliczania. Jednak bałem się niepotrzebnie. Jak wspomniałem: logiczne myślenie nie było mocną stroną faceta.

Ale i tak zdołał mnie zaskoczyć:

- Zaopiekuję się nim - w głosie z zaświatów brzmiała najprawdziwsza troska. - Jakby co. Możesz być zupełnie spokojny.

- Dzięki - wymamrotałem.

Wcale nie byłem spokojny.

Roztrzęsionymi rękami sięgnąłem po zapalniczkę, zdjąłem pokrywkę mojej dyni i usiłowałem zapalić tkwiącą w środku świeczkę. Wszystko, by zyskać na czasie. Otwór okazał się za

mały, świeczka tkwiła za głęboko. Tylko poparzyłem sobie palce.

- Pokaż - Mister Halloween odebrał mi dynię. Przyniósł ją sobie do twarzy, na wysokość oczu, i przez jakiś czas wpatrywał się w skośne otwory. Światło wewnątrz jego głowy zamigotało, jak wówczas, gdy oznajmił, że będziemy grać w marynarza.

A potem chuchnął na mały fant Przytulanki: niebieskawy ogień wyskoczył z jego ust, niczym płomień z kolby spawacza, i przedarł się przez rekinią paszczę małej dyni. W środku natychmiast zapłonęła świeczka.

Dwa pomarańczowe lampiony, duży i mały, mogły sprawiać miłe wrażenie na kimś oglądającym z zewnątrz piekielny autobus. Ot, sympatyczna wycieczka; grupa ludzi, potrafiąca weselo umilić sobie czas podróży.

Faktycznie, ubaw po pachy!

Mister Halloween oddał mi dynię.

- Proszę.

Trzymałem ją ostrożnie. Jeśli nawet obawiałem się, że poparzy mnie ogień piekielny, to nic takiego nie nastąpiło. Była tylko trochę ciepła.

- Odliczam do dziesięciu - poinformował Mister Halloween, wracając do tematu.

- Raz! - Dotknął własnej piersi. - Dwa! - Wskazał na mnie. - Trzy... - Znów na siebie.

- Chwileczkę - zapiałem. Cud, że w ogóle zdołałem wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. - A on?!

Obaj popatrzeliśmy na małą dynię.

- On grał z nami? - spytał Mister Halloween. W jego głosie brzmiała cudowna niepewność.

- O... Oczywiście. Nie wiedziałeś?

- Przecież nic nie wyrzucił.

- Poprzedni gracz też nie, a okazało się, że to oznacza zero. Słyszałem, co mówiłeś. Wszyscy słyszeli!

Dynia swoim ruchem rozejrzała się po autobusie.

- Wszyscy słyszeliśmy! - pisnął ktoś.
- Słyszeliśmy...

Jeśli wcześniej wyrażałem się nieco pogardliwie o reszcie pasażerów, to przepraszam. Nigdy nie stawiajcie na kimś krzyżyka.

Pomarańczowa kula zatrzymała na mnie oczy.

- Pięć plus pięć plus zero, jest dziesięć - powiedziałem.

Odliczająca ręka nie zmieniła pozycji. Ale...

- Zgoda - powiedział Mister Halloween. - Raz! Dwa! - Wycelował w moją stronę.

Ten palant zamiast wrócić do małej dyni, liczył od początku!

- Trzy! - Mało nie wypuściłem z ręki mojej ukochanej filiżaneczki, kiedy padło na nią następne wskazanie.

Słowo honoru, nie miałem pojęcia, kto teraz przegra. Kogo wskaże dziesiątka. Wiem, że rachunek jest dość prosty, ale to już nie było zwykle *fifty-fifty*. Parzystość liczby nie była żadną determinantą. W głowie miałem kaszkę.

Wstrzymałem oddech.

Dopiero gdy powiedział „osiem!”, migając mi paluchem przed oczami, zorientowałem się w ostatecznym wyniku.

- Dziewięć! - Mała dynia pozostała niewzruszona, lecz mnie serce skakało jak piłeczka w maszynie totalizatora.

- Dziesięć!

Nie wydawał się zdziwiony, że padło na niego. Wcale a wcale. Ktoś oszukiwał w tej grze, to pewne, ale to nie on. Mister Halloween był tylko wykonawcą. Dynie nie rodzą się na kamieniu. Ktoś musi je wyhodować, zerwać i wydrążyć. Ktoś, kto - jak powiedziała Przytulanka - uważa, że nie należy naruszać harmonii. Świeczkę może zapalić byle chłystek, ale to tylko neon, wodotrysk dodany ku uciechu gawiedzi.

No więc Mister Halloween chwycił swoją głowę i zdjął ją z siebie delikatnie, bezszelestnie, tak jak odstawia się wazon z kwiatami. Podał ją mnie.

- Mógłbyś zgasić świeczkę? - poprosił.

Jego głos wcale nie wydobywał się z dyni. Dolatywał gdzieś z pustej przestrzeni między opuszczonymi ramionami. I wciąż pozostawał głosem z głębokiej studni.

Zdmuchnąłem świeczkę. Bezgłowy korpus zakołysał się i runął na podłogę, zagradzając przejście. Nie było krwi; w miejscu karku ziała czarna dziura. Niemal wszyscy pasażerowie zerwali się z miejsc.

- Otwórz pan okno - powiedziałem do mężczyzny w mundurze.

Posłuchał mnie natychmiast, skwapliwie, jakbym był generałem, a on zwykłym szeregowcem. Wiatr cisnął do środka krople deszczu, a ja wypchnąłem przekłętą dynię na zewnątrz. Obserwowaliśmy ją przez tylne okno: odbiła się od asfaltu i rozpadła na części. Koła jadącej za nami ciężarówki rozgniotły resztki na miazgę. Mój żołnierz zamknął okno.

Nagle autobusem zaczęło rzucać. Zdaliśmy sobie sprawę, że jedziemy bez kierowcy! Coś zaczęło stukać z prawej strony - kosiliśmy przydrożne słupki, strzelały w górę jak wyrzucane z procy. Z przerażeniem zobaczyłem, że zbliżamy się do zakrętu.

- Niech ktoś zatrzyma ten autobus!

Ogolony na pałę nastoletni wsiok - ten, który tak haniebnie przegrał partię o własną łepetynę - z zadziwiającym refleksem dopadł do kierownicy. Miał najbliżej, ale nie zmienia to faktu, że ruszył się jako jedyny, dzięki czemu niektórzy z nas zawdzięczają mu życie. Mówiłem, że nikogo nie wolno przekreślać. Chłopak pewnie nie miał pojęcia o prowadzeniu autobusu, ale przynajmniej zdołał wyhamować i gdy walnęliśmy w drzewo, siła uderzenia nie była duża.

Tak zakończyliśmy szaleńczą jazdę w ten słotny, jesienny dzień Zaduszek. Zadziwiająco szybko przyjechały karetki pogotowia, aż trzy, lecz nie było kogo zabierać poza żoną rudego pasażera, a i to tylko dlatego, że dostała rozstroju nerwowego.

Łysego młodzieńca też nie zabrali. Powiedzieli, że do kost-

nicy wozi inna karetka, a poza tym policja będzie chciała zrobić parę zdjęć. Niech żałują ci z telewizji, że nie przyjechali w porę. Facet z głową leżącą kilka metrów dalej od ciała na pewno zwiększyłby oglądalność.

„Miał pecha” - powiedział lekarz z karetki. - „Kiedy uderzyliście w drzewo, poleciała przednia szyba i tego biedaka rzuciło w reszkę sterczącego jak brzytwa szkła. Gdybyście jechali ciut szybciej albo ciut wolniej, pewnie skończyłoby się na paru siniakach”.

No więc myślcie sobie, co chcecie, ale moim zdaniem chłopak nie miał żadnych szans, bez względu na to, z jaką prędkością jechałby nasz autobus. Nie po tym, jak Mister Halloween go ograł.



# POWRÓT DO RAJU

**O** drugiej piętnaście w nocy zacząłem zmieniać się w adama.

Pamiętam dokładnie, która była wtedy godzina, ponieważ na zegar ścienny za moim łóżkiem padała jasna poświata księżyca, a ja nie mogłem robić nic innego poza wpatrywaniem się w lustro, w którym się odbijał. Niegdyś celowo tak zawiesiłem zegar i lustro, żebym nie musiał się odwracać, chcąc po przebudzeniu wiedzieć, która jest godzina.

Lustro było wielkie, widziałem w nim również samego siebie, leżącego w piżamie z krótkimi rękawami, oraz moją małżonkę, śpiącą z uchylonymi ustami i wzdychającą przez sen, jakby podświadomie przeczuwała, że oto świat ulega zmianie. A przynajmniej jego poważny element. I nie mam tu na myśli tylko siebie.

Nic mnie nie bolało; było to nawet przyjemne uczucie, tyle że nie panowałem nad swoim ciałem. Nie mogłem się poruszyć. Nie potrafiłem. Jedyne moje powieki przymykały się co pewien czas, miarowo, niczym taktometr, lecz nie miałem na to żadnego wpływu. Mój oddech był głęboki i znacznie przyspieszony; sądzę, że organizm potrzebował zwiększonej dawki tlenu.

Nie czułem strachu, choć może powinienem. Na pewno powinienem, nie wiedziałem przecież, co się dzieje. Lecz tak jak

nie miałem wpływu na swoje ciało, tak nie miałem go również na doznania. Zamiast strachu odczuwałem coś w rodzaju zadowolenia. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że nigdy dotąd nie czułem się tak dobrze pod względem psychicznym. Przynajmniej nie pamiętam.

O drugiej dwadzieścia pięć moja skóra była już ciemnobrązowa, prawie czarna, pokryta rzadkim, ale wyraźnym włosiem. I wtedy obudziła się żona.

Od razu zaczęła krzyczeć. Nigdy nie podejrzewałem jej o tak szybką reakcję, zwłaszcza po przebudzeniu. Krzyczała, ale wciąż leżała obok mnie, nawet nie odchyliła kołdry. Przypuszczam, że ona również nie mogła się ruszyć, choć przerażenie to zupełnie inna tego stanu przyczyna. Uczciwie muszę przyznać, że gdyby było odwrotnie, gdybym to ja zobaczył w środku nocy czarną postać obok siebie, pewnie wrzeszczałbym jeszcze głośniej.

Potem odzyskałem władzę nad swoim ciałem. Stało się to nagle: w jednej chwili byłem bezwolny, wpatrujący się w ścienne lustro, w następnej wyskakiwałem z łóżka, drąc w strzępy piżamę, która bardzo mi przeszkadzała. Stała się zbyt obszerna, gdyż byłem teraz sporo niższy i krępej budowy.

Nigdy już nie miałem nosić ubrania.

Żona zaczęła dławić się własnym krzykiem i przez chwilę poczułem coś jakby żal. Szybko wybiegłem z sypialni, może również dlatego, że chciałem zabrać z jej oczu koszmarny obraz, lecz przede wszystkim ciągnięty nieodpartym pragnieniem dotarcia do pewnego miejsca.

Gdy przebiegałem obok pokoju mojego siedmioletniego syna, drzwi otworzyły się na oścież. W progu stanęła ciemna postać, z kręconymi włosami na głowie. W przeciwieństwie do mnie wydawał się wyższy. I bardzo dojrzały jak na swoje siedem lat. Jego siostra w sąsiednim pokoju spała jak kamień. Zwolniłem trochę, aby mógł mnie dogonić, i wypadliśmy na balkon. Nie mam pojęcia, dlaczego po prostu nie wyszliśmy

drzwiami. Nigdy tego nie wyjaśniłem, ale, o ile mi wiadomo, większość z nas opuszczała mieszkania oknami lub balkonami.

Mały adam bez słowa wskoczył na moje plecy i rozpoczęliśmy schodzenie w dół. Szło doskonale, jakbym całe życie nic innego nie robił. Zsuwałem się z trzeciego piętra po balustradach, a mały adam, przywarty do moich pleców, nie wydał ani słowa skargi.

Obok schodził sąsiad. Szło mu wolniej, gdyż trzymał coś pod pachą. Zeskoczyłem na trawnik i mały adam oderwał się od moich pleców. Coś powstrzymywało mnie przed dalszym biegiem i nagle zorientowałem się, że to sąsiad potrzebuje pomocy. Odebrałem z jego rąk zawiniątko i zobaczyłem niemowlę. O twarzyczce ciemnej jak sama noc. Przypomniałem sobie, że przed tygodniem sąsiadowi urodziły się bliźniaki dwojga płci. To musiał być syn. Malec nie płakał, za to oczy miał szeroko otwarte. Zobaczyłem w nich coś w rodzaju zainteresowania otoczeniem, chociaż to chyba niemożliwe w tym wieku. Oddałem go sąsiadowi i rozejrzałem się. Noc była pogodna, a księżyc w pełni, więc chociaż zgasły wszystkie latarnie, nadal było dość widno.

Zobaczyłem, że i z innych domów wydostają się krępe postacie. Ci z parterów wyskakiwali oknami, często nawet ich nie otwierając, tylko wygniatając szyby i łamiąc framugi. Po balustradach, czy nawet wprost po elewacjach, spuszczaali się mieszkający wyżej.

Tuż obok ktoś spadł. Wychodził z okna mieszkania należącego do staruszka, liczącego sobie chyba z osiemdziesiąt lat. Inny adam natychmiast pochylił się nad nim, potem nadbiegł ktoś jeszcze, chwycili leżącego pod ramiona i podążyli dalej. Poruszali się dość swobodnie, zważywszy na ciężar.

Nie wiem, która była godzina, gdy wydostawszy się z miasta, dotarliśmy na miejsce. Jedno z bardzo wielu wyznaczonych przez Niego. Były nas tysiące. Na całym świecie blisko trzy miliardy. Czuliśmy się wspaniale, mimo swędzenia w dole

klatki piersiowej, tam, gdzie pojawiła się nowa kość. Żebro.  
Czekaliśmy na transport.

# DRZWI DO PIEKŁA

✓ Jesteśmy w sklepie jedynymi klientami. Ja i Pyszczy, który ładuje pod wytartą, skórzaną kurtkę fajki i flaszki z alkoholem.

- Powinniśmy wziąć ze sobą porządną torbę - mówi. - Albo worek. Mam na chacie dobry worek. Pamiętasz kota Moniki? Tego, co go znaleziono na sznur...

- Zamknij się - uciszam Pyszczy. Jego gadanie działa mi nerwy. Ale, że nie przygotowaliśmy się do tej akcji, to fakt. Poszliśmy na żywioł. Taki impuls. Kwestia chwili, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Było tak:

Siedzieliśmy nad rzeką, popijaliśmy browar, i pokazywałem Pyszczytemu swój najnowszy nabytek. Kosztował słono, ale nie aż tyle, żeby nie skorzystać z okazji.

Walther PPK.

„Polizei Pistole Kurz. Jeśli kto skaże, że eto zabytek, wyceluj brat w jego gałowu i spytaj jeszcze raz”, powiedział malutki Rosjanin, który mi go sprzedał. Rosjanin wyglądał, jak sprzedawca cukrowych buraków, niemal szeleściła słoma wystająca mu z butów, ale, jak widać, pozory mylą.

- Może wypróbujemy? - zaproponował Pyszczy. Wy-mownie spoglądał na pływające po wodzie kaczki.

Zamarkowałem strzał, nakierowując lufę na ptactwo. Któraś z kaczek poderwała się z pojedynczym kwaknięciem. - Nie mam tłumika, niestety - skomentowałem. - Wyobrażasz sobie ten huk? Zlecieliby się policaje, jak nic. A poza tym szkoda naboi, ten ruski miał tylko jeden zapasowy magazynek.

- Jak masz tłumik - rozmarzył się Pyszczyty - to od razu wiadomo, że jesteś facet z jajami.

Milczałem. Prawdę mówiąc, koleś tym jednym zdaniem odebrał mi całą radochę.

- No to co, wypróbujemy go czy nie? - drażył Pyszczyty. - Czekaając na odpowiedź, wyrzucił do kosza pustą puszkę po piwie. Połapałem się, że tym razem nie chodzi mu o kaczki.

W ten sposób znaleźliśmy się w sklepie.

Traaach!

Butelka spada na posadzkę, w powietrzu rozchodzi się ostry, spirytusowy zapach.

- Powinniśmy wziąć ten worek - powtarza Pyszczyty, patrząc bezradnie na szkło, rozbite w kałuży wódki. Niemal widzę łzy w jego oczach. Na półkach pełno towaru, a on żałuje marnej butelczyny. Dla alkoholików to typowe. Ale i tak go lubię. Pyszczyty to mój najlepszy kumpel. Jak mawiają, nadajemy na jednej fali.

- Masz reklamówki? - pytam ekspedientkę, trzęsącą się przy kasie. Dziewczyna jest w moim wieku, albo i młodsza; na pewno nie ma jeszcze dwudziestu lat. To jej pierwsze słowa, odkąd przystawiłem do króciutko przyciętej blond głowy lufę walthera. Dotąd stała jak słup soli. Nawet nie zauważyłem, żeby mrugała.

- Mam. - Podaje nam cały plik.

- Grzeczna dziewczynka - chwali ją Pyszczyty, momentalnie zapominając o przykrym zdarzeniu z rozbitą butelką. Szkło chrzęści pod jego butami, gdy odbiera torebki.

- A teraz grzeczna dziewczynka otworzy kasę - podejmuję z najmiłym uśmiechem, na jaki mnie stać. Wymownie potrzą-

sam pistoletem.

Ekspedientka zamyka oczy i ani drgnie.

- Hej! Mówię do ciebie! - Już się nie uśmiecham.

Czas mija i nic się nie dzieje. Ciszę przerywa tylko brzęk butelek, które Pryszczaty pakuje do reklamówek.

Czy naprawdę jestem człowiekiem nerwowym? W zasadzie mógłbym. Miałbym prawo. W dzieciństwie przeżyłem to i owo. Trauma, tak o tym wtedy mówili.

- Dawaj tę forszę! - wrzeszczę i pistoletem dżgam dziwkę w głowę. Niezbyt mocno, tak tylko dla strachu, ale ona momentalnie wybucha płaczem.

- Otwierasz, czy nie?!

- Szef... mnie... zwolni - lka. - Zabije.

- To ja cię zabiję! - krzyczę i zaciskam mocniej palec wskazujący, ten, który spoczywa na cynglu. I nagle wiem, że naprawdę jestem gotów to zrobić. Nie popuszczę. Albo da mi tę forszę, albo wykituje.

- Spoko. - Gdzieś z oddali dolatuje głos Pryszczatego. - Kasę możemy sami rozwalić. To nie bank.

- Niczego nie będę rozwałił - słyszę swój głos, ku memu zdumieniu również dobiegający z daleka, lecz nie zamierzam zastanawiać się na tym fenomenem. - Chyba, że tę kretynkę!

Coś musi być w tym moim głosie, jakaś moc, bo Pryszczaty zamyka się momentalnie, odwraca i udaje, że czegoś szuka na półkach.

- Dajesz szmal, czy nie? - pytam.

Błada twarz ekspedientki sinieje, jakby już należała do nieboszczyka.

- Pieprz się! - słyszę krótką odpowiedź, wyciśniętą z gardła niczym z zaschniętej, od dawna nieużywanej tubki z klejem.

Nie wierzę. Po prostu nie wierzę! Jak można być taka idiotką?!

- No to się doigrałaś... - Mój głos wciąż jest przytłumiony, przynajmniej ja się tak słyszę. Jakbym stał obok. Cyngiel

pistoletu ugina się łagodnie, bardzo powoli...

Nie wiem, o czym dziewczyna teraz myśli; czy czas litościwie się dla niej zatrzymał, by przez umysł przebiegło całe życie, jak to podają w książkach? Ale okazuje się, że dla mnie zatrzymał się bez wątpienia.

Dla jednej chwili wspomnień. Dla koszmaru z dzieciństwa...



Nie byłoby w ogóle o czym gadać, gdyby nie pewne miejsce, które z siostrą nazywaliśmy *Bullerbyn*. Na cześć pani Lindgren, oczywiście. Gospodarstwo dziadka leżało samotnie wśród pól - w promieniu kilku kilometrów tylko łany pszenicy, tak je dzisiaj pamiętam. Do najbliższej wsi jechało się krętą polną drogą; podróżowało się rowerem albo drabiniastym wozem. Wieś liczyła może setkę mieszkańców, ale w porównaniu z *Bullerbyn* pozostawała metropolią, w której można było kupić lody, wypić oranżadę, a nawet obejrzeć film, jeśli akurat trafiło się na dzień wizyty objazdowego kina.

Mieszkała tam jeszcze ciotka, siostra mojego ojca, która pomagała w prowadzeniu gospodarstwa. Jej córka, Dorota, nie stanowiła dla mnie odpowiedniego towarzystwa - nie dość, że dziewczyna, to w dodatku była dwa lata młodsza. Nudziłem się niemiłosiernie, dopóki któregoś dnia nie poznałem Edka i grubego Olka, chłopaków mniej więcej w moim wieku. Pojechałem wtedy z babką po zakupy. Drabiniastym wozem, służącym do wożenia siana i słomy. Kto nie jechał takim wozem, nie czuł w nozdrzach kurzu polnej drogi i ulotnego fetoru końskich zadków, ten nie wie, co znaczy prawdziwa wolność.

Kiedy wracaliśmy, przy wozie pojawiło się dwóch chłopców. Zapytali babkę, czy mogą wykąpać się w stawie. Jedyńm w okolicy otwartym zbiornikiem wodnym był staw przy domu dziadków, w którym na co dzień kąpały się kaczki, a od święta dzieciaki ze wsi, jeśli chciało im się wlec taki kawał drogi i jeśli



uzyskały pozwolenie właścicieli, czyli mojej babci lub dziadka. Wkrótce dowiedziałem się, że kąpały się również nielegalnie, za co były przez dziadka surowo ścigane, a nawet karane uderzeniami bata w goły, jeszcze mokry od wody tyłek. Tę nie do pomyślenia w dzisiejszych czasach karę traktowały jako pewną życiową niedogodność i nie słyszałem, żeby ktokolwiek miał do dziadka pretensje.

- Wsiadajcie - powiedziała babka, pokazując chłopcom tył wozu. My siedzieliśmy na wytartej desce, opierającej się o burty, na którą narzucono koc koloru ścierki do podłogi.

Tak poznałem Edka i grubego Olka, chłopaków mniej więcej w moim wieku, i wakacje stały się znacznie ciekawsze. A już naprawdę ciekawe stały się dnia, gdy na polu za stodołą znaleźliśmy drzwi. Leżały na świeżym ściernisku i były żółtego koloru, dlatego nie od razu je zauważyliśmy. Byliśmy świeżo po kąpielu, co nie znaczy, że czyści; staw był zamulony, żeby popływać, musieliśmy przebrnąć przez błoto. W dodatku po wodzie pływały kaczki pióra. I pewnie nie tylko pióra, ale gdy ma się dziesięć lat, a na dworze jest trzydzieści stopni, ma się w...

- Mam w dupie kaczki gówno! - wołał gruby Olek.

Rechotaliśmy jak szaleni. Kaczki gówno w dupie. Dobre, co?

W dniu, w którym znaleźliśmy drzwi, bawiliśmy się przy starej bryczce. Byliśmy w wyśmienitych humorach i nawet przyjęliśmy do zabawy kuzynkę Dorotę, która zjawiała się zwabiona okrzykami. Poprzedniego dnia okrzykami został zwabiony dziadek, z wściekłości czerwony na twarzy, ale babka błyskawicznie go utemperowała, twierdząc, że chłopak (czyli ja) musi mieć towarzystwo, tak więc już niczym się nie krępowaliśmy. Drzwi były żółte i zlewały się kolorem z rżyskiem, na którym leżały.

- Coś takiego! - rzekł Edek, mrużąc oczy przed słońcem. Na ramionach miał spróchniałe chomąto, które uwiarygodniało go jako pociągowego konia bryczki.

- Ktoś wyrzucił stare drzwi. Szkoda, że nie koło.

Obejrzał się w stronę zdezelowanej bryczki, pozbawionej kół.

- Wio! - Grubas Olek uderzył w chomąto patykiem.

- Dziadek nigdy by nie wyrzucił dobrych drzwi - powiedziała Dorota.

- Skąd wiesz, że są dobre?

Podeszliśmy bliżej.

Wyglądały nadzwyczaj solidnie. Przy bliższych oględzinach okazały się nieco odrapane, ale wcale nie były spróchniałe, jak na przykład nasza bryczka. Poniżej mosiężnej klamki tkwił klucz. Wielki, żelazny, z okrągłym zdobionym uchem.

- Ktoś jednak je wyrzucił.

- Dziś w nocy był silny wiatr - odezwał się Olek.

- Kiedyś widziałem w kinie tornado. Niosło z sobą całe chałupy, drzewa. Nawet krowę.

- Też to widziałem - poparł go Edek. - Porwało całe jezioro, a potem w mieście na ulicę spadały ryby.

- Myślicie, że wiatr przyniósł tutaj te drzwi? - spytałem z powątpiewaniem. Nie widziałem filmu, który oni widzieli, poza tym nic mi nie było wiadomo o nocnym huraganie. Upalna, bezwietrzna pogoda utrzymywała się od tygodnia.

- A skąd inaczej by się wzięły?

- A to co? - Dorota zainteresowała się judaszem, tkwiącym w samym środku żółtego prostokąta. Wtedy nie zwróciłem uwagi na dziwaczne, zbyt niskie położenie soczewki, jakby spoglądać miały przez nią karły.

- To jest judasz - wyjaśniłem. - Patrzysz przez niego i widzisz, kto puka do drzwi.

Olek pochylił się, oparł na drzwiach ręce, cofnął je gwałtownie, po czym znów dotknął złuszczonej powierzchni.

- Strasznie ciepłe - poinformował.

Po kolei przykładaliśmy dłonie.

- To od słońca.

- Bryczka też stoi w słońcu. Czuleś, żeby była ciepła?
- Farba się nagrzewa.

Olek wszedł na drzwi, przyklęknął i przyłożył oko do judasza. Coś zatrzeszczało, może przyciskane rżysko, ale drzwi nie ugięły się ani na jotę.

- Widzisz coś?
- Nie bardzo. Ale tam jest jasno! Coś świeci.
- Jak może świecić, skoro pod drzwiami jest ziemia? - zawołał drwiąco Edek. - Może po prostu pojaśniało ci w ciemnej łepetynie...

Niespodziewanie Olek poderwał się, odskakując od drzwi.

- Tam jest.. - Olek zawahał się. Głośno przełknął ślinę. - Widziałem oko.

Już wtedy poczułem, jak przez plecy przebiegają mi ciarki, ale tylko roześmiałem się w głos.

- To jest judasz, człowieku. Tylko z jednej strony można coś zobaczyć. Od strony mieszkania. Kapujesz? Z klatki schodowej widzisz jedynie odbicie światła.

- Z jakiej klatki schodowej? - zapytał Olek. - Co ty chrzaniysz?

- Widziałeś własne oko, palancie! - Edek okazał się bystrzejszy. - Odbijało się w soczewce.

Grubas w milczeniu pokręcił głową.

- W takim razie podnieśmy drzwi - zaproponował Edek. - Przekonajmy się, a przy okazji zobaczymy, co naprawdę widać przez judasza.

I wtedy okazało się, że drzwi nie dają się unieść. Ani o milimetr. Wyteżaliśmy wszystkie siły, chwytałyśmy nagrzane drewno w różnych miejscach - na próżno. W dół owszem, opadały nieco na miękkim rżysku, ale potem nie wracały już do poprzedniej pozycji. Musieliśmy odgarniać ziemię, żeby wcisnąć pod nie palce.

W końcu Edek chwycił za klamkę. Gorzko tego pożałował.

- Auuu! - wrzeszczał jak opętany, trzymał się za rękę i

skakał to na jednej nodze, to na drugiej. Prawą dłoń miał czerwoną, jakby wyjął ją z garnka z wrzątkiem.

Pobiegł w kierunku stawu, żeby ukoić ból, a my zostaliśmy we trójkę i gapiliśmy się na żółte drzwi, jakimś magicznym sposobem przytwierdzone do pszenicznego rzyska. Edek nie wracał, więc zdjąłem koszulkę, owinąłem nią rękę i ostrożnie chwyciłem za klamkę. W porządku, trochę ciepło, ale dało się wytrzymać. Nacisnąłem klamkę i pociągnąłem. Nic. Ani drgnęły te cholerne drzwi.

I pewnie byśmy na tym poprzestali. Wrócilibyśmy do swoich zabaw i żylibyśmy wszyscy długo i szczęśliwie, gdyby Olek nagle nie powiedział:

- Trzeba przekręcić klucz.

Wyprostowałem się i popatrzyłem na niego mniej więcej tak, jak patrzył na mnie tata, kiedy pewnego razu usiłowałem doradzić mu, co może zrobić, żeby nasz samochód ruszył wreszcie z miejsca.

- Przecież to same drzwi - zauważyłem litościwie.

- Nie ma framugi. O co, twoim zdaniem, miałby zapierać się zamek?

Olek wzruszył ramionami, pochylił się i bez jednego słowa przekręcił klucz. Gołą ręką. I wcale się nie oparzył!

Staliśmy naprzeciw siebie i patrzyliśmy sobie w oczy. Nic nie rozumiałem. Nie oparzył się. Wtedy też ostrożnie dotknąłem klucza. Nie był ani ciepły, ani zimny. Przesunąłem dłoń w pobliże klamki, przez powietrze czując gorąco metalu. Dla pewności splunąłem - ślina zasyczała, jakbym napluł na rozgrzany blat.

- Skąd wiedziałeś? - zapytałem Olka.

- Diabeł mi podszeptał - odparł grubas, z dziwnym wyrazem twarzy.

On wiedział. Dziś zdaję sobie sprawę, że w tamtej chwili doskonale wiedział, co się zaraz stanie, i nie rozumiem, dlaczego nie próbował mnie powstrzymać. Dlaczego nic nie po-

wiedział, kiedy znów chwyciłem przez koszulkę za tę klamkę i otworzyłem drzwi bez najmniejszego wysiłku, bo po otwarciu zamka okazały się lekkie jak piórko?

W rzeczy samej. Po drugiej stronie stał diabeł.

Nie miał rogów, ogona ani kopyt. Wyglądał całkiem jak ja, gdyby odlać mnie z mosiądzu razem z ubraniem - tyle że mosiądz płonął ogniem hutniczego pieca. A w miejscu oczu go-rzały miniaturowe wulkany.

Nie mogę tego wiedzieć na pewno, ale sądzę, że dla Olka wyglądał całkiem jak Olek. A dla Doroty jak Dorota.

Wydawało mi się, że całą wieczność wlepiamy w niego oczy, ale w rzeczywistości nie mogło to trwać więcej niż kilka sekund, inaczej spłonęlibyśmy od żaru. Diabeł wyciągnął ognistą rękę, ognistymi palcami chwycił Olka za szyję i wciągnął do swej siedziby. Potem to samo zrobił z Dorotą, moją małą kuzynką, której wspaniałomyślnie pozwoliliśmy się z nami bawić, i która zdołała nawet wydać z siebie pisk, nim skurczyła się w ogniu, jak wrzucona do kominka kartka papieru.

I jeszcze raz sięgnął diabeł. Po raz trzeci i ostatni wyciągnął przed siebie rozpaloną rękę.

Ale nie po mnie.

Ręka diabła wydłużała się, stawała się coraz cieńsza i niczym wąż mknęła w kierunku oddalonego o kilkaset metrów stawu, gdzie Edek zwijał się z bólu, mocząc w wodzie poparzoną dłoń. Tam dopadła go, paląc przybrzeżne szuwary, płosząc kaczkę. Ubranie Edka momentalnie zajęło się ogniem. Płonący chłopiec leciał w powietrzu, jak upiorny meteor, aż drzwi zatrzasnęły się za nim hukiem.

Zostałem sam wśród rzednącego czarnego dymu i smrodu spalenizny. Było cicho. Jak makiem zasiał.

Takiej ciszy nie doświadczyłem już nigdy więcej.

A potem zaśpiewał skowronek.

Nie było żadnych drzwi. Nic, tylko rżysko.

Uciekłem.

Oczywiście nikt nie dał mi wary. W końcu pozostawiono mnie w spokoju, gdy przestałem upierać się przy swojej wersji wydarzeń. Właściwie można powiedzieć, że wszystko spłynęło po mnie jak woda. Kubeł był przeraźliwie zimny, ale wyschłem szybciej, niż można się było spodziewać. Mówili, że jestem dzielnym chłopcem.

Coraz rzadziej wracały pytania. A zwłaszcza jedno: Oni zginęli, a ja ocalałem. Dlaczego?



Tak było wtedy. Dziś Pyszczyaty wieje, jakby go gonił diabeł zza drzwi mojego dzieciństwa a ja zostaję sam. W rękę wciąż ściskam Walthera PPK. Policyjny Krótki Pistolet, powiedział mały Rosjanin, gdy zapytałem, co znaczy to PPK.

Patrzę na dziewczynę, która leży pod moimi nogami, cała we krwi, i nie czuję absolutnie nic. Nie mam zamiaru płakać nad idiotką, która dała się zabić dla paru groszy. Broniła tej kasy, jakby miała w niej milion dolarów, głupia cipa! Nie będę nad nią płakał, tak jak nie płakałem nad Olkiem i Edkiem, ani nawet nad kuzynką Dorotą.

Jestem spokojny.

Twardy jak skała.

Wciąż pozostaję dzielnym chłopcem, choć trochę mi nieswojo ze świadomością, że podczas tamtych wakacji diabeł zostawił mnie w spokoju tylko dlatego, że mu się to wówczas nie kalkulowało. Wolał, skubaniec, poczekać.

# STO DZEWIĘĆDZIESIĄT ZAPALEK

1.

*S*trach potrafi człowiekiem zawładnąć. Wtedy rodzi zło.

Leżąca w łóżku dziewczynka przerwała lekturę i zerknęła w okno. Z nocnej ciemności, ledwie rozpraszanej światłem odległej latarni, atakowały miliony śniegowych płatków. Rzuciły się na szybę niczym wściekłe roje białych os. Lutowa śnieżycą. Łóżko stało przy oknie i pod parapetem przeciskał się wiatr. Monika miała wrażenie, że wraz z nim do pokoju dostaje się śnieg, niemal czuła topniejące na policzkach fraktalowe łyzy, lecz kiedy dotykała twarzy palcami, te pozostawały suche. Budynek, w którym mieścił się dom dziecka, od dawna domagał się remontu, na szczęście nie zdziczał aż tak, żeby przez ściany przedostawał się śnieg.

Co innego Krook.

Krook przechodził przez ściany z łatwością, choć Monika nigdy tego nie widziała. Co prawda nie widziała również samego Krooka, ale Rafał wyjaśnił jej wszystko w najdrobniejszych szczegółach. A nawet narysował.

Narysowany Krook nie wyglądał strasznie. Raczej zabawnie. Monika stwierdziła nawet, że jest przystojny.

- Coś ty! Przerażający typ, mówię ci - przysięgał Rafał. -

Wolałbym umrzeć, niż zobaczyć go po raz drugi.

To dlatego Monika odłożyła książkę, kiedy przeczytała słowa mówiące o rodzącym zło strachu. Była prawie pewna, że Rafał zmyśla, w domu dziecka nie było żadnego Krooka ani innego wyłażącego ze ściany potwora, ale na wszelki wypadek wolała tej książki nie czytać. Zwłaszcza że sięgnęła po nią, żeby poczuć senność, a nie coś, co - jak wiedziała - jest nazywane zastrzykiem adrenaliny.

Po kilkunastu minutach ponownie zapaliła lampkę. Nos miała zimny, pod parapetem nadal wiało, a oczy same się otwierały, pomimo na siłę zaciskanych powiek. Koszmar. Dobrze, że jutro jest sobota. W sobotę nie trzeba iść do szkoły.

Spojrzała na sąsiednie łóżko. Agata spała w najlepsze. Nawet się uśmiechała. Ciekawe, czy gdyby przyszedł Kroo...

Ach, nie! Dziewczynka ze złością uderzyła piąstkami w kołdrę.

Tylko nie...

Nie myśleć o nim, nie!

Potrzebna jest nudna książka! Jej spojrzenie ześlizgnęło się z twarzy śpiącej współlokatorki na stojącą przy łóżku szafkę. Agata była znana z tego, że czytuje wyjątkowo nudne książki. Właśnie takie, przy których człowiek zasypia nie wiadomo kiedy.

Wyślizgnęła się spod kołdry. Kilkoma susami dopadła do szafki i chwyciła leżącą na serwecie książkę.

Równie szybko wróciła do ciepłej pościeli.

Baśnie Andersena.

Która może być najnudniejsza?

Opowieść o dziewczynce z zapalkami wcale nie okazała się nudna, ale pozwoliła Monice usnąć z bardzo zadowoloną miną. Uśmiechała się jeszcze wtedy, gdy nad ranem przestał padać śnieg.





## 2.

Ten Andersen znał się na rzeczy!

Dziś zapalki mało komu są potrzebne; nikt nie roznieca ognia w piecu, a palacze papierosów (fajek) trafiają się coraz rzadziej i na ogół używają zapalniczek. Dla Moniki nie miało to znaczenia, bo w rzeczy samej nie chodziło o zapalki, lecz o siłę oddziaływania. O sumienie. Współczucie. O obraz biednej, zmarzniętej dziewczynki, która musi coś sprzedać. Cokolwiek. Choćby zebrane latem na plaży muszelki...

Muszelki?

Po namyśle Monika postanowiła iść jednak przetartym szlakiem, stwierdziwszy, że zapalki są jednak o wiele bardziej przekonujące.

Poza tym szkoda jej było muszelek.

Przeliczyła oszczędności i okazało się, że ma dwa złote czterdzieści groszy. W sam raz na sześć pudełek zapalek; jeśli sprzeda je po złotówce (a może ktoś da więcej, tak ze szczerego serca?) zrobi się z tego sześć złotych, czyli trzy sześćdziesiąt na czysto. A jeżeli następnego dnia powtórzy numer, znów kupi zapalki, za wszystko, całe dwadzieścia pudełek...?

Od rachunków Monice zakręciło się w głowie.

Nie wątpiła, że zamysł się powiedzie. Dzisiaj nikt nie umiera z głodu, niegłodująca sierota z domu dziecka jest szczytem nieszczęścia i właśnie dlatego szanse współczesnej dziewczynki z zapalkami są niepomiarne większe niż bidulki z czasów Andersena. Sumienie przechodnia z XXI wieku nie jest zobowiązujące, rozumowała Monika, bo nie ma tylu codziennych okazji, by się znieczulić. W dodatku współczucie wobec dziecka jest wręcz obowiązkiem. W swoim dziesięcioletnim życiu nie raz miała okazję się o tym przekonać. Poza przypadkami, gdy chciała, żeby ktoś ją adoptował. Zwłaszcza Bukowscy, którzy rokrocznie zapraszali ją do siebie na święta i dwa tygodnie podczas wakacji. Niestety, ich współczucie nie sięgało tak daleko, a sumienie prawdopodobnie w ogóle nie zabierało na ten

temat głosu.



### 3.

Nastała niespodziewana odwilż i Monika musiała wyczekać cztery dni, zanim powrócił mróz, i jeszcze dzień, nim zaczął padać śnieg. Uznała jednak, że na sprzyjające warunki pogodowe warto poczekać. Postanowiła zaufać mądrości autora bajki o dziewczynce z zapalkami, który wiedział jak grać na ludzkich uczuciach. Miała na myśli uczucia czytelników, a nie fikcyjnych, wymyślonych przechodniów z książkowych kartek, którzy nie mieli wyboru i musieli zachowywać się tak, jak kazał im pisarz.

Wymknęła się wieczorem, po kolacji, przykazując Agacie, by w razie czego ją kryła.

- Co mam mówić?

- Ach, wymyśl coś. Najlepiej powiedz, że jestem w toalecie.

Nie przewidywała komplikacji. W domu dziecka mieszkało dwadzieścioro dzieci i w nocy dyżurowała tylko jedna opiekunka. Poza tym nie sądziła, żeby sprawa zajęła więcej niż godzinę.

Niewiele się pomyliła.

Mogła uwinąć się nawet o wiele szybciej, gdyby od razu trafiła na tamtego faceta.

W pierwszej chwili zaniemówiła, gdy zagadnął, mile się uśmiechając. Wydawało się jej, że jakimś niepojętym sposobem oto nagle stanął przed nią sam Andersen. Może dlatego, że nieznajomy miał na sobie długi płaszcz, z przodu skrojony w patki, z podniesionym kołnierzem, przez co przypominał chudego mężczyznę z ilustracji w książce Agaty.

- Co tutaj robisz, dziewczynko?

Na głowie nie miał cylindra. To ją otrzeźwiło.

- Sprzedaję zapaliki, proszę pana. Może kupi pan pudełko?

Akurat nasilił się wiatr, powiało w oczy śniegiem, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Skuliła się, przyciskając ręce do siebie, chociaż wcale nie było jej zimno, bo pod swetrem miała drugi, a pod nim jeszcze dwie podkoszulki.

- Albo dwa... - Pociągnęła nosem.

Miała nadzieję, że jest czerwony.

Nieznajomy rozejrzał się po pustej zaśnieżonej ulicy i powrócił spojrzeniem do jej twarzy.

- Dużo sprzedawaś?

- Nic - odparła.

To nie była prawda. Jedno pudełko udało się jej sprzedać. Na samym początku kupiła je jakaś kobieta. Dała dwa złote i nie chciała reszty, tak jak Monika sprytnie przewidziała wcześniej, ale na tym przemyślny scenariusz się skończył. Przez następne pół godziny nic się nie działo, nieliczni przechodnie mijali ją obojętnie, zupełnie jak w tamtej starej baśni, mimo że czasy przecież się zmieniły. Jakiś podpity brudas nawet na nią narzyczał, ale już sobie poszedł.

- Nic nie sprzedalam.

„Nic” brzmiało zdecydowanie lepiej niż „jedno pudełko”.

- A ile ich masz...? Tych zapalek...

Uniosła chustkę na koszyku, pokazując pięć pudełek. W każdym było trzydzieści osiem zapalek, jak przeczytała na kartoniku. Razem sto dziewięćdziesiąt, obliczyła; z matematyki zawsze była niezła.

- Po ile?

- ...o ...ówce.

- Wezmę wszystkie - zdecydował mężczyzna i znów się rozejrzał, trochę nerwowo.

Szybkim ruchem wyjął z kieszeni portfel i dał Monice pięć złotych.

Dziewczynka z trudem powstrzymała okrzyk triumfu.

- Masz może ochotę na cukierki? - spytał świeżo upieczony

właściciel stu dziewięćdziesięciu zapalek. - Czekoladowe.

Miała. Pewnie, że miała.

- Za rogiem stoi mój samochód. W schowku na pewno coś się znajdzie. Przy okazji się rozgrzejesz.

Zastanowiła się. Chciała szybko wracać do domu, pokazać Agacie, jak dobrze jej poszło, ale...

- Co ty na to? - ponaglił.

- Jasne!

Samochód nie stał za rogiem, ale w następnej przecznicy, pod wielkim ciemnym kasztanowcem, z dala od latarni.

Mężczyzna wcale nie włączył ogrzewania.

W samochodowej skrytce nie miał cukierków.

Kiedy Monika wróciła do pokoju, bolały ją usta. W dodatku podrapała sobie ręce, wślizgując się do domu przez uchylone zawczasu piwniczne okienko.



#### 4.

Kobieta, która przyjechała z Ważnej Instytucji, nie spodobała się Monice. Nie chodziło nawet o to, że była stara, miała nos jak Pinokio i czarną brodawkę na policzku. Przede wszystkim zraziła Monikę gadulstwem. W kółko mówiła o tym samym, jakby uważała, że dziecko nie jest w stanie niczego zrozumieć, dopóki nie powtórzy się mu tego kilka razy. Gdy zaczynała mówić, przyklejony uśmiech zniknął i powracał, kiedy milkła. Najpierw wyglądało to komicznie, jednak po godzinie paplaniny i ciągłym wypytywaniu (czy na pewno chcesz podjąć tę próbę, dziecko?!) Monika marzyła już tylko o tym, żeby rozmowa wreszcie się skończyła. W dodatku od siedzenia na twardym krześle rozboleł ją tyłek.

Chodziło o przeistoczenie.

Przeistoczyć się mieli Bukowscy - ciocia i wujek, jak mówiła do nich Monika. Katarzyna Bukowska miała przemienić się w

mamę, a Krzysztof Bukowski w tatę.

- Zupełnie jak w tej opowieści o doktorze i panu Hyde - palnęła Monika na początku rozmowy.

Od razu zorientowała się, że palnęła, bo Kobieta z Ważnej Instytucji umilkła na dobrą minutę, przyglądając się jej w zdumieniu. Włoski na czarnej brodawce poruszały się samoistnie, zupełnie jak u kleszcza, który kiedyś wypadł z sierści Azora, psa Bukowskich.

Kleszcz! Brr!

Pyk! Przyklejony uśmiech wrócił na piegowatą twarz, choć stał się nieco niemrawy.

- Dziecko! Nie rozumiesz, po co tu przyszłam? Czy ty w ogóle wiesz, co oznacza słowo „adopcja”?

Też coś! Oczywiście, że wiedziała. W domu dziecka ciągle się o tym gadało.

- No to dlaczego opowiadasz takie okro... okropności?

- Przepraszam - szepnęła Monika.

Nagle wystraszyła się, że nic z tego nie będzie. Jedno nieopatrzne zdanie i wszystko przepadło. Nie wiedziała, dlaczego akurat w takim momencie przyszła jej do głowy historyjka Stevenson. Tak jakoś jej się powiedziało, pewnie przez to, że była zdenerwowana i chciała dobrze wypaść. Pokazać jaka jest mądra i ocytana. Wszystko przez to, że uprzedzono ją, że tak naprawdę to właśnie od Kobiety z Ważnej Instytucji zależy, czy zostanie u Bukowskich na zawsze. Ma być trzymiesięczny okres próbny, a potem ONA zdecyduje czy Bukowscy nadają się na rodziców.

I pewnie również - choć tego nie powiedziano wprost - czy Monika nadaje się na córkę.

To ostatnie najbardziej ją niepokoiło. Co do Bukowskich była spokojna; bywała u nich wielokrotnie i zawsze było fajnie. Nie miała wątpliwości, że się nadają.

- A więc na pewno tego chcesz? - spytała po raz jedenasty kobieta.

- Tak. Chcę. Bardzo.
- To dobrze. Bo kiedy wspomniałaś o... tamtym doktorze, pomyślałam, że może boisz się pana Krzysztofa.
- Ależ skąd! - zaprzeczyła żarliwie Monika. - To był tylko taki... wygłup! - Udało się jej znaleźć właściwe określenie. - Przepraszam.
- W porządku. - Kobieta z Ważnej Instytucji uspokoiła się. - Jeszcze dziś zadzwonię do państwa Bukowskich z wiadomością, że mogą cię zabrać. Będę was odwiedzała raz w tygodniu. I pamiętaj, że dopóki nie miną trzy miesiące, zawsze możesz się rozmyślić i wrócić.
- A potem?
- Patrzyła na nią, wyginając usta w papierowym uśmiechu. Wzruszyła ramionami.
- Potem będziesz ich córką.
- Patrząc na wydłużający się pinokiowy nos, Monika żywiła nadzieję, że to tylko złudzenie.



## 5.

Było fajnie, dopóki nie odkleiła się tapeta.

I nie pojawił się Krook.

Monika żałowała, że nie zabrała ze sobą rysunku Rafała, mogłaby sobie wtedy przypomnieć, jak wyglądał; zorientować się, czy to był ten sam Krook, którego on widział.

Nie wiedziała o Krookach nic, kompletnie nic. Miała tylko tamten rysunek, który przepadł. Gdyby udało się jej skontaktować z Rafałem, mogłaby go zapytać - teraz miała własny komputer i codziennie kontaktowała się przez Gadu-Gadu z Agatą albo kimś innym, kto akurat siedział w świetlicy przy jedynej podłączonej do Internetu jednostce - ale Rafał był na gigancie, nie po raz pierwszy zresztą.

Na gigancie. Monika znalazła kiedyś to fajne słowo w starej

książce Bahdaja i od razu przyjęło się w domu dziecka. Do ucieczek Rafała pasowało szczególnie - jego zniknięcia trwały gigantycznie długo, pewnie dlatego że chłopak był zaradny i sprytny.

*Jeszcze go nie ma* - wystukiwała Agata na klawiaturze. *Co ty, zakochałaś się, że tak za nim tęsknisz?* - spytała za którymś razem.

„Status niedostępny”. Zawstydzona Monika wyłączyła komunikator i nie pytała już więcej o Rafała.

Później próbowała znaleźć coś na temat Krooka przez Google, ale w przeglądarce wyskakiwały same niemieckie nazwiska. Nie wyglądało na to, żeby miały cokolwiek wspólnego z narysowaną przez Rafała postacią. Dała więc sobie spokój, szczególnie że nie za bardzo było z czym porównywać, bo właściwie to nie widziała w całości potwora, który nocą wyszedł ze ściany w domu jej nowych rodziców. Schowała się pod kołdrę natychmiast, gdy tylko spostrzegła, że spod odklejonej tapety wynurza się ręka. Nie jakaś monstrualna, z diabelskimi pazurami, ale wystarczająco wielka, by nie mieć złudzeń co do tkwiącej w niej siły.

Przeraziła się śmiertelnie. Ledwie mogła oddychać, zatkała palcami uszy, zacisnęła mocno powieki i...

...zasnęła.

W domu dziecka, ilekroć się bała, choćby tamtej nocy, kiedy zaczęła czytać o strachu, który rodzi zło, nie mogła usnąć za nic w świecie. A tu od razu. Momentalnie. Jakby pod kołdrą rozpylono środek nasenny.

Rano otworzyła oczy ze świadomością, że coś jest nie tak; nie wiedziała co, dopóki nie spojrzała na ścianę, z której zwisały dwa odklejone pasy tapety. Jeden naderwał się w połowie, wisiał niczym urwana na zawiasie furtka, drugi zrolował się aż do podłogi i pogniół. Wyglądał na przydeptany.

Dziewczynka wyskoczyła z łóżka i chyłkiem wybiegła z pokoju, omijając łukiem oderwaną tapetę. Krzysztof Bukowski

siedział w kuchni, przy filiżance kawy.

Czytał gazetę.

- Ojej! - zawołała wystraszona Monika i wskoczyła mu na kolana.

Trochę kawy wylało się na gazetę, ale mężczyzna nie zwrócił na to uwagi.

- Co się stało, córeczko?

Monice bardzo się podobało, że nazywa ją córeczką.

Ona również kilkakrotnie powiedziała do niego „tato”, ale czuła się z tym niezręcznie i na ogół tak formułowała zdania, żeby ominąć właściwe słowo. W myślach jednak tak go nazywała, podobnie jak Katarzynę Bukowską - mamą.

Dla niej oni już się przeobrazili.

Mimo to dobrze pamiętała, że sprawa nie jest zamknięta. Jeszcze nie minęły trzy miesiące wyznaczone przez Panią z Ważnej Instytucji i w razie niepowodzenia jakoś głupio byłoby znów mówić „wujek” i „ciocia”.

A może wtedy już w ogóle by jej nie zapraszali?

- Hej, co masz taką niemrawą minę?

Zaczerpnęła głęboko tchu.

- W moim pokoju o... oderwała się tapeta.

Miała ogromną ochotę opowiedzieć o Krooku, ale nie była pewna, czy tego rodzaju wyznania nie zaważą na opinii kobiety z nosem Pinokia. Wciąż pamiętała jej zdumioną minę, gdy nieopatrznie wspomniała o doktorze Jekyllu. Rzecz w tym, że mogło istnieć wiele innych szczegółów, o których Monika nie wiedziała, a które dla Pani z Ważnej Instytucji mogły okazać się istotne.

Dlatego postanowiła mówić jak najmniej.

Nie ma sprawy.

Trzy miesiące szybko miną.

- Oderwała się tapeta? - Bukowski postawił Monikę na podłodze i wstał z krzesła. - Popatrzmy.

Idąc, trzymała tatę za rękę, ale miała w sobie tyle odwagi, by



pierwsza wkroczyć do pokoju, a potem dotknąć dłonią ściany, brudnej od zaschniętego kleju.

- Spartaczyłem - powiedział zniechęcony Bukowski. - Chciałem, żebyś miała nowiutki pokoik i spartaczyłem! Kaśka mówiła, żeby wziąć fachowca, ale ja chciałem to zrobić sam. I oto efekt! - Westchnął. - Trzeba naprawić. - Rozejrzył się. - Gdzieś powinien być klej.

Kiedy poszedł szukać kleju, Monika powstrzymała się, żeby nie iść za nim. Została w pokoju sama, bo musiała sprawdzić, czy ją na to stać. I z zadowoleniem stwierdziła, że tak. Jak najbardziej. Może bała się odrobinę, ale było jasno, za słonecznym oknem ćwierkały wróble - pewnie czuły nadchodzącą wiosnę - w dodatku na ulicy zobaczyła wracającą z zakupów mamę.

Uśmiechnęła się. Będzie dobrze! W dzień nic nie jest straszne, a wieczorem...

Wieczorem się zobaczy.

Wróciła do ściany, szukając jakichś śladów. Czegokolwiek. Może szczeliny, przez którą mógłby przecisnąć się Krook. Albo odcisku jego dłoni. Palca. Zarysu podeszwy buta na podłodze.

Niczego nie znalazła. Nawet przydeptana tapeta była czysta.

Godzinę później (klejowy proszek musiał rozpuścić się w wodzie) tata nanosił klej na ścianę. Pędzel był mały i trochę trwało, nim tynk zrobił się mokry, ale gdy już to się stało, ich oczom ukazał się niewyraźny rysunek. Kontury wyjrzały spod wilgoci, jakby obwiedzione atramentem sympatycznym.

Rysunek przedstawiał człowieka. Trochę pokraccznego, o nieproporcjonalnym tułowi.

Bukowski zauważył zaniepokojone spojrzenie Moniki.

- To stary rysunek - rzekł cicho. - Nie wszystko udało się zmyć.

Tak smutnego Monika jeszcze nigdy go nie widziała.

- To... człowiek?

- To ja.

- Ty? - Zaskoczona Monika zamrugła. - Kto cię narysował?

- Agnieszka. - Bukowski przełknął ślinę; może nagle zaschło mu w gardle. - Mieliśmy ci nie mówić... nie od razu, ale... cóż, widzisz, Moniko... ja i mama mieliśmy już kiedyś córkę.

„Prawdziwą!”. Monika miała ten okrzyk na końcu języka, ale się powstrzymała.

- Agnieszka odeszła... umarła... - mówił Bukowski, patrząc w bok. - Miała zaledwie cztery lata.

Monika nie odzywała się. Było jej smutno, ale czuła również ciekawość. Czekala, aż tata wyjaśni coś jeszcze. Na przykład, w jaki sposób Agnieszka umarła.

Czy była chora? A może zdarzył się wypadek? Ale on w milczeniu przyklejał oderwaną tapetę.

I zrobił to dobrze. Kiedy klej wysechł, trudno było poznać, które paski odpadły. Nawet tamten pognieciony kawałek dał się wyprostować.



## 6.

Wieczorem nie było źle. Na pewno lepiej, niż Monika mogła się spodziewać. Z pewną obawą poprosiła, czy może spać przy zapalonym świetle i spotkało się to ze zrozumieniem. Może Agnieszka również tak zasypiała? Monika przez cały dzień łapała się na tym, że przy byle okazji myśli, w jaki sposób tamta córka wykonywała czynności, które teraz akurat wykonuje ona. Jak dotąd, bardzo się starała, słuchała wszystkich poleceń, ale teraz ogarnęły ją wątpliwości, czy aby na pewno postępuje słusznie.

Wiedziała, że dzieci nigdy nie zachowują się idealnie przy swoich rodzicach. Jednak żaden (umiarkowanie) zły uczynek jakoś nie przychodził jej do głowy. Owszem, taki naprawdę zły nie stanowił problemu: mogła potłuc talerze, kopnąć Azora albo

powiedzieć kilka brzydkich słów, ale nie chciała przesadzić. Jak z panem Hyde.

Prawdziwi rodzice też nie są idealni. Niektórzy wrzeszczą na swoje dzieci bez przerwy. Wiedziała o tym od koleżanek ze szkoły. Nieraz tak mówiły. Tata Tomka Moroza złał go nawet kiedyś pasem. Tymczasem ona była u Bukowskich już miesiąc, a ci nawet nie podnieśli na nią głosu.

Taka sytuacja nie jest normalna, stwierdziła na dobre zaniepokojona Monika. Nie w prawdziwej rodzinie. Tego tylko brakowało, żeby doszło to do Pani z Ważnej Instytucji!

Nowy problem przyćmił nieco temat Krooka. Dziewczynka wierciła się na łóżku, usiłując wymyślić coś, co nadałoby jej nowej rodzinie normalności, i tylko od czasu do czasu zerkła na tapetę. Przez otwarte drzwi dobiegały przygłuszone rozmowy mamy i taty.

- Gdzie ten Azor!?! - słyszała podniesiony głos Bukowskiego. - Kiedyś złapie go hycel i wróci tam, skąd przyszedł!

Azor był kundlem, którego Bukowscy wzięli ze schroniska. Małym, ale zadziornym, przez co cieszył się mirem wśród psów z okolicznych posesji, przeważnie pudli i yorków, ale i pewien rottweiler z sąsiedztwa na jego widok spuszczał łeb ku ziemi. Kretyńskie imię pozostało po poprzednim właścicielu. Próbowali je zmienić, ale pies nie dał się wyprostować; reagował tylko na Azora. Jego ulubionym zajęciem okazały się ucieczki z domu. Zawsze wracał, ale czasami zajmowało mu to kilka dni. Prawdziwe giganty, jak u Rafała. Pewnie by się polubili.

Wielka szkoda, że Azor zniknął akurat teraz. Monika chętnie wzięłaby go na noc do swojego pokoju.

Z pewnością czułaby się bezpieczniej.

Na szczęście Krook nie pojawił się ani tego wieczoru, ani przez kilka następnych.



7.

Dom Bukowskich stał na skraju miasta; dalej ciągnął się kawałek podmokłej, zamarzniętej o tej porze roku łąki, a potem mały lasek, czy może raczej podmiejski park. Tam po raz pierwszy spotkała Alicję. Rówieśniczkę z warkoczykami, z szyją okutaną czerwonym szalikiem, za to bez czapki na głowie.

- To jest twoja Kraina Czarów? - spytała Monika, kiedy dowiedziała się, jak nowa znajoma ma na imię.

Alicja nie wiedziała, o co chodzi.

- Wolę telewizję od książek - skomentowała próby wyjaśnienia. - Najlepsze są horrory. Widziałas *Innych*?

- To film?

W domu dziecka był tylko jeden telewizor w świetlicy i wielu chętnych, więc w rezultacie rzadko cokolwiek oglądała, bo przeważnie ten włączony program ją nie interesował.

- Mówię ci, boski! - podjęła Alicja z ożywieniem, najwyraźniej zadowolona z niewiedzy koleżanki. - Można umrzeć ze strachu. Poważnie! Jest tam taki dom pełen duchów, tylko że ty nie wiesz, że to są duchy...

- Przerwała. Spojrzała z ukosa. - Ale ty jesteś żywa? - spytała znienacka.

Monikę przeszył dreszcz. Las był ponury, z ciemnozielonym mchem wyzierającym spod resztek śniegu i mnóstwem uschniętych gałęzi. Gdzieś blisko zatrzeszczała sosna, jakby zaraz miała się przewrócić.

- No coś ty?! - Speszona Monika próbowała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła.

- Tak tylko zapytałam - powiedziała Alicja. - Bo wiesz... - ściszyła głos - ...mieszkasz w tamtym domu.

Minęło kilka sekund, nim zdeorientowana Monika pojęła, że nie chodzi o budynek z filmu *Innych*. Wzruszyła ramionami, udając obojętność.

- Co to znaczy tamtym? - Ostatnie słowo powtórzyła, naśladowując intonację rozmówczyni.

- Widziałam, że z niego wychodziłaś - poinformowała Alicja, jak gdyby w ogóle nie słyszała pytania. - I wtedy ten wielki facet krzyknął: „Obiad o czternastej, córeczko!”. A przecież wszyscy wiedzą, że ich córka umarła. No to co byś pomyślała na moim miejscu?

Monika obserwowała czubki własnych butów. Początkowo była zadowolona, że może wreszcie się z kimś zaprzyjaźnić, ale teraz kandydatka na przyjaciółkę coraz mniej się jej podobała. Albo była złośliwa, albo po prostu wścibska - jakkolwiek by wyglądała prawda, pomysł z duchem Agnieszki nie był miły.

Uniosła głowę i spojrzała z wyższością.

- Pomyślałabym, że adoptowali nową córkę. Z domu dziecka - odpowiedziała lodowato, ale Alicja jakby nie dostrzegła zmiany w intonacji jej głosu.

- Serio? - Z zaciekawieniem przekrzywiła głowę.

Cienkie warkoczyki splecione z jej rudawych włosów zakotyły się niczym wahadełka.

- Oczywiście. Zostanę z nimi na zawsze. - Wzrok Moniki znów powędrował ku ziemi. - Chyba - dodała.

- Ach! - Alicja zakryła dłonią usta i znieruchomiała w tej pozycji.

Mimo że Monika posądzała Alicję o wścibstwo, jej okrzyk wydawał się spontaniczny.

- Co? - zainteresowała się mimowolnie Monika.

Alicja przekrzywiła głowę. Jej uniesiona dłoń wciąż przesłaniała usta.

- A więc się zastanawiasz...? - spytała.

Znów cicho, prawie szeptem, jakby dotykała tajemnicy.

- Nad czym? - Monika czuła coraz większe rozdrażnienie, ale nie chciała być niegrzeczna, więc tylko zapytała: - Nie rozumiem, o co ci chodzi?

- Przed chwilą... - zaczęła Alicja i zawahała się na pół sekundy, jakby szukała właściwych słów. - Przed chwilą powiedziałaś: „chyba”. Że CHYBA zostaniesz...

Monika pogubiła się zupełnie. „Nie mam pewności, czy zostanę z Bukowskimi, ponieważ nie tylko ode mnie to zależy”, zamierzała odpowiedzieć, lecz nim się zdecydowała, Alicja zamachała rękami.

- Jejku! Muszę lecieć - oznajmiła z pośpiechem. - Mama czeka, a ja wyszłam tylko po zakupy! Tędy jest skrót do sklepu. - Pokazała ścieżkę. - Polecam!

I już biegła, a jej warkoczyki tańczyły na boki, jakby zaraz miały się urwać. Zanim zniknęła za drzewami, odwróciła się i krzyknęła:

- Na twoim miejscu bym nie zostawała! Wróciłabym do domu dziecka!



## 8.

Piwnica?

Cóż, nie wszyscy boją się myszy.

Monika nie bała się ani trochę, kiedy Bukowska-mama wysłała ją po ulubiony kompot Bukowskiego-taty. Wcale nie myślała o Krooku. W piwnicy było szaro, jakby wkroczyła do pozbawionego kolorów czarno-białego świata. I cicho. Jedyne od czasu do czasu coś chrobotło w rurach, ale pachnący kurzem i wilgocią labirynt wcale nie kojarzył się ze złym miejscem. Wprost przeciwnie - tutaj ogarniał ją leniwy spokój. A nawet pewność siebie. Nie czuła się zalękniona i bezbronna, jak można by się spodziewać po dziewczynce w jej wieku.

Szczególnie po takiej, która na własne oczy widziała Krooka.

Piwnica miała kilka pozbawionych drzwi pomieszczeń, połączonych poskręcany korytarzem. Półki z przetworami znajdowały się w pierwszej (jak poinformowała mama) z brzegu wnęce, ale dziewczynka skorzystała z okazji, żeby trochę pomyszkować. Najdziwniejsze, że choć była tu po raz pierwszy, miejsce wydało się jej znajome. Wiedziała, że czasem tak bywa,

jest nawet specjalne słowo określające tego rodzaju skojarzenie, ale go nie pamiętała.

Niestety w piwnicy nie było żadnych skarbów, może z wyjątkiem zakurzonego roweru w całkiem dobrym stanie. Postanowiła, że gdy tylko zniknie śnieg, zapyta, czy może sobie pojeździć.

A potem stanęła w progu najdalszego, najciemniejszego pomieszczenia piwnicy i nagle zapomniane słowo pojawiło się w jej głowie.

*Déjà vu.*

Zakurzone meble, połamane krzesło, biblioteczka z wybitą szybą. Nikłe światło wpadało przez wąskie okienko wprost na wielką pajęczynę rozsnutą na biblioteczce, jakby pająk próbował naprawić szkodę, zastąpić szklarza. Teraz siedział w samym środku swojej sieci, włochaty, pękaty, tuż obok jeszcze większego od niego kokonu, spod którego wystawał wyschnięty odwłok osy.

Jest martwy, pomyślała Monika. Ten pająk jest martwy. Może umarł ze starości? Albo załatwiła go ta osa?

Zbliżyła się i ostrożnie dotknęła owada palcem. Miała rację. Ani drgnął. Tylko pajęczyna zakołysała się pod naciskiem.

Skąd wiedziała, że nie żyje? To było już coś więcej niż tylko *déjà vu*.

Odsunęła się i nagle poczuła, że coś śmierdzi.

- Obrzydliwie! - Monika wykrzywiła usta z niesmakiem.

Rozejrzała się, spojrzała w jeden kąt, potem w drugi i jej wzrok spoczął na dolnej części biblioteczki. Szafka zamykana na kluczyk, który wciąż tkwił w zamku. Podeszła do niej z pewną obawą. Żeby otworzyć drzwiczki, musiała przekręcić kluczyk, a kiedy się rozchyliły z cichym skrzypieniem, buchnęło odorem tak potwornym, że omal nie zwymiotowała.

Przestraszona odskoczyła na korytarz. Tam przez dobrą chwilę oddychała głęboko czystym powietrzem.

Miała ogromną ochotę wrócić na górę, do mamy, ale coś ją

powstrzymywało. Musiała sprawdzić, czy się nie myli; musiała to zrobić, żeby nie wiem co!

Wróciła.

Azor leżał na boku. Spod uniesionych warg wystawały żółtawe kły, pomiędzy którymi zwisał wyschnięty język. Po wytrzeszczonej brązowej gałce ocznej chodziła mucha.

„Każdy umiera samotnie”. To był cytat z książki, którą Monika kiedyś czytała. Teraz mogłaby pomyśleć, że tak właśnie się stało: Azor przyszedł do piwnicy, żeby zdechnąć. Mógł być chory. Albo ranny w podwórkowej bójce. Chciał umrzeć samotnie i schował się tam, gdzie nikt mu w odejściu nie przeszkodzi.

Ale pies nie może przekręcić klucza w szafce. Siedząc w środku, nie zdołałby tego zrobić nawet człowiek.



9.

*To... człowiek?*

*To ja.*

Tak powiedział tata, kiedy spod mokrego tynku wyłonił się zarys postaci, którą przed laty narysowała mała Agnieszka. Czy te słowa znaczyły więcej niż zwykle stwierdzenie, że rysunek jest tylko nieudolną, narysowaną przez dziecko podobizną?

TO JA!

Wtedy Monika nie zwróciła na to uwagi, ale teraz... Teraz sytuacja się zmieniła, bo znalazła w szafce nieżywego psa.

Czy Bukowski mógłby być Krookiem?

Myśl pojawiła się nie od razu, jeszcze nie wtedy, kiedy Monika narobiła wrzasku i przybiegła mama. Zabrała córkę z piwnicy, sama roztrzęsiona. Nie wiadomo która z nich bardziej przeżywała smutny koniec Azora.

Siedziały przytulone w kuchni, dopóki z pracy nie wrócił tata i nie zajął się wszystkim. Wyniósł gdzieś psa, a potem zaczął



przepraszać.

Przepraszał, jakby to była jego wina, że Monika zajrzała do opłatanej pajęczyną biblioteczki i znalazła to, co znalazła. Jakby był winien śmierci Azora.

A może był winien?

Tata Krookiem - pomysł był szalony i chyba bez sensu, takie tam dziecięce fantazje, przekonywała sama siebie i może by nawet przekonała, gdyby nie Alicja.

Ta dziewczyna z pewnością nie miała nic wspólnego z Krajiną Czarów! Monika czuła wstyd, że podobne skojarzenie w ogóle mogło jej kiedykolwiek przyjść do głowy. Była wścibska, gadatliwa i przekonana, że prawi same mądrości. W dodatku sprawiała wrażenie, że straszenie koleżanki jest jej świętym obowiązkiem.

A najgorsze, że nie dało się zapomnieć tego, co mówiła.

- Wszyscy wiedzą, że z ich córką to nie było tak - oznajmiła, kiedy wracały razem ze szkoły, zaledwie dzień po znalezieniu martwego Azora. - Chorowała? Akurat! Guzik tam chorowała! No... może i tak - przyznała przyszpilona spojrzeniem Moniki. - Ale policja co rusz do nich przyjeżdżała. Raz nawet zabrali ich na przesłuchanie. Ra-dio-wo-zem - wysyła-bizowała, sugerując chyba, że przejażdżka policyjnym samochodem to już tylko krok do krzesła elektrycznego.

Zmyśla, rozległo się ostrzeżenie w głowie Moniki. Na pewno zmyśla! Ale stać ją było tylko na tyle, żeby wykrztusić:

- Dlaczego ich zabrali?

- Jeszcze się pytasz? - Alicja z wyższością uniosła głowę. Zarzuciła warkoczykami, które dziś przewiązała na końcach niebieską wstążką. - Przecież to jasne!

Rozejrzała się ukradkiem, jak ktoś, kto ma do wyjawienia ważną tajemnicę.

- Zabili ją - poinformowała ściszym głosem. - Myślę, że ją zabili. - Jak w *Zorzy przed świtem*. Są wampirami... albo coś w tym rodzaju.

Wampirami?!

- Jesteś świrnięta - skomentowała z ulgą Monika.

W tym momencie wszystko stało się jasne. Mogła odetchnąć. Co innego domysły, a co innego wyobrażenia walniętej w mózg kinomanki.

- Daruj sobie - kontynuowała całkiem już rozluźniona, zwłaszcza że przypomniła sobie panią z Ważnej Instytucji, rygory i wszystkie te obostrzenia.

Nawet gdyby wampiry istniały (a przecież nie istnieją), to żadna Ważna Instytucja nie zezwoliłaby komuś takiemu na adopcję. Zresztą o czym tu gadać. Jakie wampiry?

Lekceważąco wydeła wargi.

- Nie masz pojęcia, jak skomplikowane są formalności - oznajmiła z wyższością. - Jeżeli sądzisz, że komuś podejrzanemu o zabicie dziecka pozwolono by na adopcję, to naprawdę jesteś pomyłona! Żyjesz w świecie fikcji - zacytowała fajny (i przydatny), przeczytany gdzieś zwrot.

Przegadała Alicję na całego.

Walnięta w Mózg Kinomanka - niedopuszczona do głosu - patrzyła zdziwionymi, okrągłymi oczami. Nie czekając aż dziewczynka ochłonie, Monika odwróciła się i odeszła. Nieśpiesznie, żeby przypadkiem nie być posądzoną o chęć ucieczki.

- Zapytaj, kogo chcesz - usłyszała za plecami obrażony komentarz. - Wszyscy pamiętają, jak było. Tam wciąż kręcili się policjanci!

Co za wariatka!

Naprawdę zdrowo walnięta.

Że też jeszcze jej nie zamknęli do czubków!

Wieczorem jednak, kiedy leżała w swoim pokoju i nie mogła zasnąć, wykrystalizowana postać wariatki Alicji zaczęła pękać. Tu i ówdzie pojawiały się rysy, przez które wylaziły tamte słowa o policji i zabójstwie; wiły się niczym paskudne, obrzydliwe żmije. Monika nie była już tak pewna swego. Tapeta trzymała się świetnie, wyglądało na to, że tata Bukowski tym

razem sprostą zadaniu. Krook nie próbował wyjść ani razu, ale...

To ja! - wołały paskudne, obrzydliwe żmije. - Jestem Krookiem!

Tata Bukowski nie powiedział tego wprost - pewnie, że nie, skoro chciał, żeby została jego córką.

Czy Krook jest gorszy od wampira? Nie wiedziała.

Czy zabija dzieci?

A psy?



## 10.

Sen był koszmarny.

KOSZMARNY!!!

A kiedy się obudziła zlaną potem, w pomiętej pościeli, i zrozumiała, że to wszystko prawda, jej przerażone serce przestało bić.

Czy można zrobić coś bardzo złego, a potem o tym zapomnieć?

Tak? Tak. Tak!

Strach nie tylko rodzi zło, jak napisano w książce, którą Monika czytała pewnej wietrznej, śnieżnej nocy, kiedy mieszkała jeszcze w domu dziecka. Prawdziwy strach potrafi o wiele więcej. Przede wszystkim zatroszczyć się o swoje przetrwanie. Zapuszcza wówczas korzenie w żywicielu; sięga do ludzkiej pamięci, opanowuje jej fragmenty i tam zapada w drzemkę, lecz nigdy nie zasypia tak głęboko, żeby w odpowiedniej chwili się nie przebudzić...

Monika była przytomna, choć jej serce wciąż nie wznawiało pracy. Nie oddychała, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Pot na jej ciele robił się coraz zimniejszy, lecz umysł nadal pracował, i to nawet jaśniej niż zazwyczaj. Pracował nad ukrytą prawdą. Odgrzebywał ją mozolnie, krok po kroku.

To ona zabiła Azora.

Zrobiła to tamtej nocy, kiedy oderwała się tapeta. Nie było żadnego Krooka, tylko spod zabrudzonej klejem ściany księżycowy blask wyłowił dziecięcy rysunek sprzed lat. Chyba krzyknęła, tego akurat nie pamiętała, ale pewnie musiała to zrobić, skoro zwabiła psa. Wskoczył na jej łóżko; nie wiadomo, czy chciał się bawić, czy też wyczuł przerażenie swojej nowej pani - nikt się już tego nie dowie.

Zęby w otwartym pysku urosły w jej oczach do monstrualnych rozmiarów.

Zębiska!

Siekacze Krooka!

Nie schowała się pod kołdrę, jak to później wmówił jej strach, schowany w zawłaszczonych komórkach pamięci - przynajmniej nie w tamtej chwili, kiedy przerażenie przerodziło się w agresję, dodając sił, których w zwykłej sytuacji nigdy by nie miała. Azor był mały, drobnej budowy. Zadziały odruchy. Ręce same wystrzeliły do przodu, uderzyły w wyimaginowanego agresora; nawet nie wiedziała, że to zrobiły, dopóki nie usłyszała trzasku. Jakby złamała patyk. Zrobiło się cicho i dopiero kiedy w odległej kuchni zamruczała lodówka, strach wycofał się. Zdeztererował. Na ścianie z szelestem zwinął się drugi pasek tapety, lecz otrzeźwiona Monika nie myślała już Krooku. Księżyc (a może uliczna latarnia) świecił wystarczająco jasno - nie musiała zapalać światła, żeby widzieć, co tak naprawdę trzyma w zaciśniętych kurczowo dłoniach.

Zrozpaczona nie potrafiła rozluźnić palców, uwolnić ich ze splecionej sierści martwego psa, w dodatku przed jej oczami znienacka pojawił się obraz Kobiety z nosem Pinokia. Nawet jeśli Bukowscy jej wybaczą, w co wątpiła, Pani z Ważnej Instytucji pozostanie nieubłagana.

Ktoś, kto ze strachu zabija psa, nie nadaje się na córkę. To jasne jak słońce.

Ale...

Monika westchnęła spazmatycznie.

...czy ktokolwiek musi o tym wiedzieć?

Cicho, cichuteńko, wstała z łóżka i zaniósła Azora do piwnicy. W najdalszy kąt. Szafkę zamknęła na kluczyk. Rano, w stosownej chwili, zamierzała zabrać stamtąd biednego psiaka i gdzieś go zakopać, lecz skończyło się na zamiarach, bo do rana dezerner strach znów zdążył się rozmościć w jej głowie. Zagnieździł się tam niczym w stogu siana i zawłaszczył niektóre wspomnienia. Dopiero sen, przybysz z innego wymiaru, okazał się od niego silniejszy.

Zły sen.

Ale prawdziwy.

Serce Moniki wznowiło pracę. Nie umiera się tak od razu, o nie! Świat byłby pełen martwych dzieci, gdyby tak łatwo było umrzeć ze strachu.

A potem ogarnęło ją inne uczucie, przy którym koszmar z Azorem wydał się jedynie nic nieznaczącym epizodem. Szczęście, że za ścianą był ktoś, komu mogła powierzyć swój lęk.



## 11.

Szlochała. Łkając, stanęła w progu sypialni Bukowskich.

Obudzili się natychmiast, wyskoczyli z łóżek jednocześnie, on z prawej strony, ona z lewej, jak sterowani zsynchronizowanym pilotem, i już stali przy niej. Żona Krooka objęła Monikę, uścisnęła, Krook przestępował nerwowo z nogi na nogę, bez przerwy poprawiając piżamę, której naderwany guzik zwisał na długiej nitce.

- Ciii... - powtarzała szeptem żona Krooka, głaszcząc dziewczynkę po głowie. - Już dobrze... to sen... tylko sen - mówiła, tuląc ją do siebie.

- Nn-ie sss-en - zaciągnęła spazmatycznie Monika. - Jj-a...

Nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

- Spokojnie, córeczko - szeptała jej do ucha żona Krooka.  
- Chodźcie do łóżka - wtrącił nieśmiało Krook. - Tam jest ciepłutko... to znaczy... bezpiecznie.

Łóżko było szerokie, podwójne. Położyli się razem, przytuleni, Monika pośrodku, nieco bliżej żony Krooka, która przygarnęła ją ramieniem, w trosce by dziewczynki nie uwierały szwy na brzegach materaca.

Monika uspokajała się z wolna. Albo raczej nie miała już siły szlochać.

- Co się stało? - odważył się spytać Krook.  
- Chcesz opowiedzieć swój sen? - sprecyzowała jego żona.  
- Opowiedz. Sama zobaczysz, że nie jest taki straszny.  
- Nie chodzi o sen... - zaskomlała cichutko Monika. - Ja... - zachłysnęła się oddechem - ...zrobiłam coś strasznego!

Nieoczekiwanie znów wybuchnęła płaczem.

Krook i jego żona popatrzyli na siebie bezradnie, nie wiedząc, jak uspokoić dziecko.

- Nie zrobiłaś nic strasznego - zaprzeczyła żona Krooka, całując Monikę w mokry od łez policzek. - Nic takiego, żeby z tego powodu płakać.

- Ależ tak! - zaprotestowała dziewczynka i uniosła głowę. Wierzchem dłoni otarła mokrą twarz. - Zabiłam Rafała - wypaliła.

Nie śmiała patrzeć im w oczy.

Żona Krooka usiadła gwałtownie. Podparty na łokciu Krook otworzył szeroko usta i zastygł w tej pozie. Ulicą przejechał samochód; jego światła rozjaśniły pokój, wyłowiły z cienia posągowe postacie mężczyzny i kobiety, lecz nie dotarły do otulonej kołdrą dziewczynki.

- Nie we śnie. - Monika uprzedziła wiszące w powietrzu pytanie. - Zrobiłam to naprawdę!

Milczeli, dopóki za oknem nie ucichł warkot samochodu. Dopiero wtedy odezwał się Krook.

- Kto to jest Rafał?

Głos miał spokojny i Monika od razu wiedziała, że jej nie uwierzył. Mimo to odpowiedziała na pytanie:

- Kolega... Z domu dziecka. Którejś nocy wymknęłam się, żeby sprzedawać zapalki, a kiedy wróciłam, musiałam wejść do środka przez okienko w piwnicy. Ten idiota czekał tam na mnie, pewnie Agata wygadała się, gdzie poszłam. Chciał mnie nastraszyć i... - Monika przerwała. Coś ścisnęło ją w gardle, nie pozwalając opowiadać dalej. - I... - pisnęła, podejmując kolejną daremną próbę wydobywania innych dźwięków.

Milczała więc, ale oni nie pytali o dalszy ciąg opowieści. Jakby wszystko zostało już powiedziane. Nawet to, że trupa Rafała wpakowała do starej szafy, która stała w piwnicy od wieków i do której nikt nigdy nie zaglądał.

- To niedorzeczne - oznajmiła żona Krooka.

Kręciła głową, kręciła nią i kręciła, jak pewien chłopiec z porażeniem mózgowym, który zamieszkał kiedyś w domu dziecka, ale szybko go zabrali.

- Nikogo nie zabiłaś, córeczko. - Westchnęła. - Jesteś już duża, nie powinnaś mieszać snów z rzeczywistością.

- Nie wierzycie?! - zawołała Monika, odzyskując głos. - Nie wierzycie mi?! - Teraz i ona usiadła. Zaciśnęła piąstki. - Azora też nie zabiłam?!

Oblicza Krooków zmieniły się w jednej chwili. Jakby pokój znów omiótł blask samochodowych reflektorów, tyle że światło miało teraz upiorny siny kolor. Tym, co odmieniło ich twarze była niepewność. Nie gniew, oburzenie, żal - czego tak obawiała się Monika - lecz niepewność. Czas płynął, a oni składali fakty.

Z oczu dziewczynki znów popłynęły łzy.

- Nie chciałam skrzywdzić Azora - zapewniła skwapliwie. - Oderwała się ta tapeta i wystraszyłam się, bo myślałam, że to jakiś potwór, i wtedy... Powiedziałabym wam... może... ale zapomniałam, naprawdę, słowo honoru, że zapomniałam. Dopiero jak...

- Przestań! - krzyknął Krook, przerywając ten potok słów.

Schował głowę w ramionach, jakby go wystraszył własny wybuch. - Zrozum, Moniko, że nie chodzi teraz o Azora. Zostawmy go na razie, dobrze? Chodzi o to, co wygadujesz o tym chłopcu! Dlaczego sądzisz, że go... skrzywdziłaś? Jak to było? Co pamiętasz?

Monika zamrugwała nerwowo. Co pamięta? Właściwie niewiele. Prawie nic. Jak przez mgłę, że kiedy wracała z zapalczanej eskapady, Rafał czekał na nią w piwnicy. Chyba. Tego też nie była pewna. Tamten powrót wymykał się jej pamięci, zupełnie tak, jak wcześniej historia z Azorem, nim sen wydobył ją z zakamarków.

Powiedziała to głośno. A potem wszystko od początku: jak przeczytała opowieść o dziewczynce z zapalkami, jak wpadła na pomysł, żeby zarobić trochę pieniędzy, i poszła zimową porą sprzedawać zapalki. A także o tym, że większość zapalek kupił pan tak podobny do Andersena, jakby żywcem przeniósł się w nasze czasy. Wszystko dobrze pamiętała, każdy szczegół, nawet to, że tych zapalek, które mu sprzedała, było sto dziewięćdziesiąt. Dopiero powrót do domu jakoś tak wyparował z jej głowy, przepadł gdzieś, może za bardzo zmarzła, miała gorączkę albo coś w tym rodzaju...

Bukowscy słuchali w skupieniu. Kiwali głowami. Rozumie-li?

Gdy skończyła, Krzysztof Bukowski podniósł się z łóżka.

- Niedorzeczne! - powtórzył wcześniejsze słowa swojej małżonki.

Ze złością oderwał pętający się u dołu pizamy guzik, który dotąd bezwiednie miał w dłoni, popatrzył na niego, jakby nagle ten prozaiczny przedmiot stał się centrum wszechświata, po czym odrzucił go ze wstrętem, tak jak odrzuca się pająka, którego przypadkowo zgniotło się palcami.

Skierował się ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? - zapytała Katarzyna Bukowska.

- Zadzwoń.



- O tej porze?!

Nawet się nie obejrzał.

- Właśnie o tej.

Katarzyna przytuliła Monikę do siebie i siedziały tak w ciemności pokoju, kołysząc się i milcząc. Z oddali dobiegał głos Krzysztofa, ale nie słyszały, o czym rozmawiał. A kiedy wrócił i niespodziewanie zapalił światło, jednocześnie uniosły ręce, osłaniając oczy. Nim zdążyły zaprotestować, on zadał pytanie:

- Zgadnijcie, z kim rozmawiałem?

- Dzwoniłeś do domu dziecka - domyśliła się Katarzyna.

Nietrudno się było domyślić, chociaż Monika spodziewała się raczej, że wzywa policję.

Krzysztof uśmiechnął się szeroko.

- Hmm... Zrobiłem z siebie wyjątkowego idiotę... - Pogłodził się po krótko przystrzyżonej głowie. - Ale widać musiałem być przekonujący skoro pani, która odebrała telefon, obudziła Rafała.

Oczy Moniki zrobiły się okrągłe.

- Tak. - Najwyraźniej zadowolony z siebie tata pokiwał głową. - Rozmawiałem z tym chłopcem. - Patrzył na córkę łagodnie, zbliżając się do łóżka. - Prosił, żebyś jutro skontaktowała się z nim na Gadu-Gadu.

- Ale... - wykrztusiła Monika.

- Wiem - przerwał jej. - Nie chciałaś nas okłamać. Po prostu tak wyszło.

Na wilgotnej od łez twarzy Moniki na moment pojawił się ślad uśmiechu.

- Historia dziewczynki z zapalkami też powstała tylko w głowie Andersena - szepnęła, pragnąc, żeby wiedzieli, że rozumie, co tak naprawdę zaszło.

Ulga nie trwała długo. Nikły uśmiech nagle spętał z warg Moniki. Przepadł. Powoli spuściła głowę.

- Ale Azor... - wykrztusiła. - To wydarzyło się naprawdę...

- Zamknijmy ten epizod - oznajmiła kategorycznie mama. -

I chodźmy wreszcie spać, bo rano nie wstaniemy. Oczywiście dziś wyjątkowo śpimy w jednym łóżku.



12.

Monika zasnęła.

Ale oni nie.

- Ten gość podobny do Andersena... - odezwał się Bukowski, wsłuchany w regularny oddech dziecka.

- Pomyślałam o tym samym - powiedziała Katarzyna głosem pełnym napięcia. - Dokładnie o tym.

- Uważasz, że to możliwe? Taki zbieg okoliczności?

Bukowska nie odpowiedziała. Wzruszyła ramionami, ale mąż nie mógł tego widzieć w ciemności.

- Monika powiedziała, że kupił od niej wszystkie zapalki, więc zaraz wróciła do domu.

- To dlaczego się zastanawiasz?

Cisza.

- Bo powiedziała również, że nie pamięta dobrze samego powrotu, stąd przecież ten cały wymyślony horror z Rafałem. - Katarzyna otarła łzy, które nieoczekiwanie pojawiły się w jej oczach, lecz ich miejsce błyskawicznie zajęły następne. - Tak, wiem - wyszeptała. - Myślmy o tym samym, bo po tym, co stało się z Agnieszką, nie potrafimy myśleć inaczej. Czy już zawsze będziemy wszędzie widzieć diabła?

- Ale...

- Co?

- Jeżeli to ten sam pedofil, to może powinna ją przesłuchać policja?

Bukowska poderwała się raptownie, omal nie budząc przy tym Moniki.

- Nie ma mowy! - powiedziała kategorycznie. - Ona nic nie wie, sam słyszałeś!

- Nie kłóćmy się - wycofał się natychmiast Bukowski. - Nie w tej sprawie. My chyba rzeczywiście wszędzie widzimy diabła, a Monika wróciła przecież do domu cała i zdrowa. Poza tym, zanim ją nam przekazano, robili dokładne badania. Coś takiego nie uszłoby raczej uwadze lekarzy?

- Otóż to - potwierdziła skwapliwie Katarzyna. Słowa męża najwyraźniej były tymi, które chciała usłyszeć. - Otóż to!

Nie rozmawiali więcej tej nocy. Udawali, że śpią. Do samego rana.



### 13:

Krzysztof Bukowski palił z marsową miną gazety w kominku. Przy jego kolanach leżał pokaźny ich stosik. Wykupił wszystkie egzemplarze „Detektywa” w okolicy, za każdym razem opowiadając tę samą naiwną historyjkę, że zadebiutował jako autor. Uwierzyli czy nie, nieważne. Zresztą, kogo to obchodzi?

Wszystko po to, żeby tytuł z pierwszej strony przypadkiem nie rzucił się w oczy Monice. Bukowski zacisnął szczęki, marszcząc gniewnie czoło i wrzucił w ogień następną pomiętą stronę. Kiedyś w podobnie przygnębiającym nastroju palił inne gazety, informujące o śmierci pewnej czteroletniej dziewczynki. Zginęła z rąk pedofila.

Nie złapali skurwiela do dzisiaj!!!

Tylko że wówczas Bukowski palił gazety, żeby samemu zapomnieć, odgrodzić się tym symbolicznym czynem od przeszłości. Dziś pożar w kominku nie miał nic wspólnego z symbolem. Dziś chodziło o to, żeby inna dziewczynka, znacznie starsza, lecz wciąż dziecko, przypadkiem sobie o czymś nie przypomniała.

Cóż za kuriozalna, koszmarna kłamra!

Drąc kolejny egzemplarz „Detektywa”, mężczyzna mimo-

wolnie zerknął na fragment artykułu.

*„...Okazało się, że nóż, którym przecięto aortę Piotra K., był jego własnością. Tajemnicą pozostaje, w jaki sposób morderca wyciągnął go z samochodowej skrytki, nie zwracając uwagi ofiary.*

*Jeszcze większą zagadką są zapalki, porozrzucane w samochodzie. Po przeliczeniu okazało się, że jest ich sto dziewięćdziesiąt”.*



## **EPILOG**

Którejś parnej letniej nocy Monika Bukowska obudziła się i zobaczyła, że ze ściany wychodzi Krook. Oparł się o tapetę muskularnymi rękoma i przesuwiał się do przodu, niczym wynurzający się z głębokiej wody pływak. Gdy postawił obrzynie stopy na podłodze, zastukały kości stawów, zaświstało powietrze przeciskające się między zębiskami. Rzeczywiście był okropny. Przerażający. W tej kwestii Rafał miał stuprocentową rację.

Monika schowała się pod kołdrę, a potem odważyła się odchylić ją odrobinę, tyle tylko, żeby wydostał się stamtąd jej głos, i zawołała tatę. Kiedy tata przyszedł, zaspany, jak zawsze z naderwanym guzikiem u pizamy, trochę zły, że budzi go w środku nocy, potwora już nie było. Dał drapak.

- Zły sen? - zapytał tata.

- E tam, zły - odparła Monika. - Po prostu mnie zaskoczył.

Jeszcze kilkakrotnie Krook próbował wydostać się spod tapety, ale gdy któregoś razu Monika spojrzała mu prosto w ślepią i wymownie popukała się w czoło, odszedł zawstydzony i już nigdy nie wrócił.

# STYDA ZE STRACHEM NA WRÓBLE W TLE

Ciotka Ala umarła podczas próby przeniesienie stracha na wróble w inne miejsce. Tyle przynajmniej Patrycja zrozumiała z zamieszania, z jakim przyszło jej się zmierzyć, gdy fordem taty przybyli na pogrzeb.

Patrycji bardzo podobało się na cmentarzu. Uwagę przykuwały marmurowe nagrobki, na których prócz jakichś napisów (Patrycja prawie nie umiała czytać, ledwie rozróżniała litery) wyryto daty. Patrząc na nie, Patrycja miała wrażenie, że nagle znalazła się we własnej głowie. Nie miała pojęcia, że na świecie istnieją tak fantastyczne miejsca.

- Czy na grobie cioci też będą daty? - spytała.

- Co?

Powtórzyła pytanie, starając się mówić powoli.

Tata mrugał powiekami, jak zawsze, kiedy analizował jej słowa. W takich chwilach kojarzył się Patrycji z maszyną tłumaczącą, którą widziała w pewnym filmie science fiction. Film oglądała 13 marca 1971 roku.

- Będą.
- Jakie?

Tata znów mrugał, ale okazało się, że z innej przyczyny:

- Nie pamiętam daty urodzin Ali. - Westchnął z poczuciem winy. - Ale umarła trzy dni temu, 26 września 2003 roku - dodał, doskonale wiedząc, że córka nie da mu spokoju, jeśli nie usłyszy chociaż tego.

Potem udali się do domu wujka Tadeusza, trzy wiorsty za wsią (jak poinformował żałobników wujek). Patrycja nie wiedziała ile liczy wiorsta, ale uznała, że dość dużo, skoro jedynym wioskowym obiektem widocznym z wujkowej zagrody była wieża kościoła.

- To wszystko twoi krewni - oznajmił tata, gdy toczyli się w środku samochodowej kolumny, polną drogą wśród zaoranych pól. Była druga połowa deszczowego września i drogę pokrywały błotniste kałuże, przez które niełatwo przejechać.

Patrycja klęczała na siedzeniu, tyłem do kierunku jazdy, z głową wspartą na kościstych piąstkach. Obserwowała twarze jadących za nimi ludzi, ledwie widoczne za skropionymi deszczem szybami. Moi krewni, myślała, to znaczy, że krew, która płynie w ich żyłach, jest podobna do mojej. Patrycji wydało się bardzo dziwne, że nie zna większości tych twarzy. I rzecz nie w tym, że czas pędził, ludzie się zmieniali i mogła ich nie rozpoznać. Chodziło o to, że pamiętałyby jakieś daty. Ludzi mogłaby zapamiętać, ale przecież nie daty!

Patrycja miała pięćdziesiąt cztery lata. Jej twarz pokrywała zadziwiająca sieć zmarszczek, przypominająca zminiaturyzowany labirynt. Zmarszczki pojawiły się jeszcze przed trzydziestym rokiem życia, a po latach przypominały małe bruzdy, wyorane przez krasnala mikroskopijnym pługiem. Czasem Patrycji udawało się przyłapać krasnala podczas pracy. Był wielkości pchły, a na łysej głowie wcale nie miał czerwonej czapki, jak to opisywano w niektórych książkach. Być może wyrzucił ją, rozgrzany ciężką pracą; przecież biedak ciągnął

jednoskibowy pług siłą własnych mięśni.

Patrycja nie żywiła do krasnała urazy. Doskonale wiedziała, że nigdy nie grzeszyła urodą. Prawdę mówiąc: za młodych lat, gdy krasnał harował gdzie indziej, wcale nie wyglądała lepiej.

„Jest koszmarnie brzydka” - powiedziała kiedyś kochanka taty. Dawno temu. 15 kwietnia 1987 roku.

Patrycja mogła ufać swojej pamięci do dat. Szkoda tylko, że na datach się kończyło, zdarzało się na przykład, że zapominała własnego imienia. Ale to nic. Nie przejmowała się. W takich chwilach nazywała siebie Ewą i też było dobrze.

Gdy dojechali do gospodarstwa wujka, Patrycja z ulgą wyszła z samochodu. Zmarzła na cmentarzu i teraz zeszytywniałe kości reagowały bólem na zmianę pozycji. Rozejrzała się i nagle w jej głowie pojawiło się mnóstwo dat. Większość z nich związana była z przyjemnymi wydarzeniami. Najmilsze okazywały się dni z czasów dzieciństwa. Potwornie odległe.

Ale najmłodsza data również nie była bliska. 17 września 1982 roku. Włosy Patrycji nie były wówczas jeszcze siwe, również łysina taty dopiero się wykluwała. Po co tu wtedy przyjechali? Patrycja nie potrafiła sobie przypomnieć.

Raptem dostrzegła coś dziwnego w kalendarzowych kartach, przesuwających się w jej głowie, niczym spadające z drzew jesienne liście. Jeden z liści przykuł jej uwagę. Był niezwykły. Inny od poprzednich.

Wypisana na nim data nie dawała się odczytać.

Dopiero po jakimś czasie Patrycja zorientowała się, że widzi ją do góry nogami, a w dodatku cyfry są lustrzanym odbiciem. Zachichotała. Wyobraziła sobie, że wkłada do głowy lusterko, takie małe, mniejsze od tego, które niekiedy kobiety noszą w swoich kosmetyczkach. Mogłaby wtedy przeczytać datę. Tylko którą włożyła takie lusterko? Jak otworzyć własną głowę?

Patrycja spoważniała, widząc, że tata patrzy z ukosa. Karąco. Nie lubi, gdy córka się śmieje. Stary smutas. Ale i tak go kocha.

Kiedy zajechała reszta samochodów, wujek zaprosił gości do domu. Na stypę. Tak nazywał się dzisiejszy obiad, chociaż Patrycja zauważyła, że wszyscy jakoś unikają tego słowa. Jakby było zakazane. Nawet tata, jeszcze wczoraj zły, że zmitrężą tyle czasu...

(„Przecież wszyscy robią stypy w restauracjach! Co ten Tadeusz wymyśla!”)

...nawet on mówił teraz: „obiad”. Albo: „posiłek”.

W ogóle większość ludzi dzisiaj udawała. Niektórzy udawali, że są smutni, inni wręcz przeciwnie - okazywali sztuczną wesołość. Wyglądało na to, że w dniu pogrzebu ciotki Ali nie przystoi zachowywać się w sposób, na jaki człowiek ma ochotę.

Ale Patrycja akurat doskonale rozumiała, w czym rzecz. Sama zachowywała się tak, jak ma na to ochotę, wyłącznie wtedy, kiedy nikt nie widział.



- To tamten strach na wróble? - zapytał szpakowaty mężczyzna, wskazując palcem na przydomowy ogródek ciotki Ali.

- Pewnie tak - odparła gruba kobieta. - Innego tu nie ma.

Szpakowaty mężczyzna i gruba kobieta byli chyba małżeństwem - tak przynajmniej wydawało się Patrycji, siedzącej na wytartej ławeczce werandy. Wystawiała na wrześnie słońce efekt żmudnej, krasnoludkowej pracy. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Kochanka taty, nim odeszła, wyjaśniła jej te i inne rzeczy, na które kobiety powinny uważać. Większość tamtej wiedzy uleciała wraz ze zniknięciem ojcowskiej przyjaciółki, ale niektóre fragmenty pojawiały się nie wiedzieć skąd, kiedy przychodził pożyteczny czas.

Rady jak rady. Czy zawsze należy ich słuchać?

Patrycja nie darzyła sympatią eks-kochanki taty. Szczerze mówiąc, nienawidziła jej.

Szpakowaty mężczyzna i gruba kobieta palili papierosy.



Ubrani byli na czarno, jak wszyscy, którzy przyjechali na pogrzeb. Opierali się łokciami o drewnianą balustradę werandy i wydmuchiwali kłęby dymu, który w powietrzu przybierał różne kształty. Przeważnie potworów. Patrycja nigdy nie bała się potworów, nawet wówczas, gdy była dzieckiem. Wiedziała, że potwory przepadają, nim ktokolwiek (prócz niej), zdoła je zauważyć.

- Na miejscu Tadeusza spaliłabym go - powiedziała kobieta, niecierpliwym machnięciem ręki rozpędzając dym.

Potwór zniknął, nim zdołał wystawić spod kłów jęzor.

- Powinno się go spalić - powtórzyła kobieta.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie wygłupiaj się.

- Winnicki zastrzelił psa, który ugryzł jego córkę...

- To co innego. Strach na wróble nie jest żywy. Jest przedmiotem. Nie można winić przedmiotów za wypadki losu. Ala miała zawał i tyle. A że przypadkiem stało się to w ogrodzie...?

Przez chwilę milczeli. Patrycja przyglądała się im z głową przekrzywioną w bok, z otwartą szeroko buzią. W kąciку warg zbierała się ślina - zauważyła to i natychmiast zamknęła usta. Tata wielokrotnie powtarzał, żeby nie siedziała z otwartą buzią, gdy jest wśród ludzi. Mówił również, żeby nie przekrzywiała głowy, ale chrzanić tatę. W końcu jemu też trzęsą się ręce, że ledwie może prowadzić samochód, a nikt nie ma do niego o to pretensji.

- Ale... - znów odezwała się kobieta. - On jest taki... ludzki... Przechodzą mnie ciarki, gdy na niego patrzę.

- Ma na sobie stary kombinezon Tadeusza, a na głowie kapelusz Ali. To dlatego. - Mężczyzna najwyraźniej starał się, żeby jego głos brzmiał obojętnie, ale w jakimś dalekim akordzie Patrycja usłyszała kpinę. On kpił z tej kobiety. Z jej strachu.

Usiłowała przypomnieć sobie, w jakim stopniu pokrewieństwa pozostaje z parą, która wyszła ze stypy na werandę, żeby

palić papierosy i dyskutować o strachu na wróble. Może ten mężczyzna to młodszy brat taty? Są trochę podobni. Nie. Przecież brat taty to Tadeusz, mąż Ali. Chyba że tata ma więcej braci niż jednego. To przecież możliwe. A może ta gruba kobieta jest jego siostrą? Albo kuzynką? Nie wiadomo. Patrycja poddała się. Nie była w stanie sobie przypomnieć. Pamiętała tylko, że ostatnio widziała ich 7 maja 2001 roku. Mężczyzna był mniej szpakowaty, a kobieta mniej gruba. Albo bardziej. Nieważne. Patrycję i tak ucieszył fakt, że przypomniła sobie coś więcej niż samą datę. Zachichotała, ucieszona.

    Nie spodziewała się, że jej śmiech wywoła taką reakcję.

    Oparta o balustradę kobieta podskoczyła, jakby kto huknął jej nad uchem z nadmuchanej papierowej torebki. Mężczyzna wypuścił z palców papierosa, ale możliwe, że wystraszył go raczej pisk małżonki.

    Patrycja wstrzymała oddech. Zdała sobie sprawę, że tych dwoje nie miało pojęcia, że ktoś siedzi za ich plecami.

    - Przepraszam. Nie chciałam - powiedziała, najwyraźniej jak potrafiła, ale po ich minach widziała, że nie rozumieją ani słowa.

    - Spokojnie. - Mężczyzna schylił się i podniósł z drewnianej podłogi papierosa, z którego końcówki malutka kobra usiłowała wspiąć się jak najwyżej, pewnie po to, by zatopić jadowe zęby w zbliżającym się do niej policzku. W końcu jej się udało i wtedy Patrycja syknęła z bólu, jakby to ją ukąszono. Lecz mężczyzna podrapał się tylko po kielkującym zaroście, i to ruchem zupełnie machinalnym, jakby przypadkowym. W gruncie rzeczy niczego nie zauważył. - Spokojnie, to tylko córka Jana... Jak masz na imię?

    Patrzył na Patrycję takim wzrokiem, jakby miała dwa lata, a nie pięćdziesiąt cztery. Ale jej to nie przeszkadzało. Była przyzwyczajona do takich spojrzeń.

    - Mam na imię Patrycja, proszę pana.

    Powiedziała to bardzo wyraźnie. Co jak co, ale własne imię

potrafiła wypowiadać naprawdę dobrze.

- Nosi jakieś takie rzadkie imię - odezwała się gruba kobieta, uśmiechem pokrywając zmieszanie. - Dominika, czy coś w tym stylu.

- Wystraszyłaś nas, Dominiko.

- Patrycj! - usiłowała sprostować Patrycja.

- Co mówisz?

- Ona przeprasza. Ach, bądź miły.

- Przecież jestem. - Mężczyzna wyprostował się. - Czy to moja wina, że nie rozumiem staruszki?

Nieoczekiwanie kobieta spaşowiała. Jej oczy rozszerzyły się, głowa uniosła wysoko.

To zachowanie nie uszło uwagi męża.

- Co się stało? - spytał z ostrożnością wskazującą, iż doskonale wie, że powiedział coś, czego nie powinien był powiedzieć, ale jeszcze nie wie co.

- O ile mnie pamięć nie myli, Dominika jest młodsza ode mnie o rok.

Urażona kobieta poprawiła sztywne od lakieru włosy, po czym zeszła z werandy, wracając do wnętrza domu, gdzie ubrani na czarno goście zabierali się do schabowego z pieczarkami.

- O dwa lata - poprawiła Patrycja. Z pewnym rozbawieniem wpatrywała się w zdezorientowanego szpakowatego mężczyznę, z westchnieniem zaciągającego się resztką papierosa. - Dwa lata, trzy miesiące i cztery dni.

- Ach, dwa lata! - powtórzył ku jej zdumieniu mężczyzna i parsknął śmiechem. - A to ci heca! - dodał i podążył w ślad za małżonką.

Patrycja przez jakiś czas spoglądała za nim, wsłuchując się w dobiegający przez uchylone drzwi szmer rozmów, po czym powróciła wzrokiem do ogrodu. W pewnej chwili uniosła rękę i pomachała do stracha na wróble, którego ciotka Ala z sobie tylko znanych powodów chciała przestawić w inne miejsce w

samym środku nocy.

Ale on pozostał nieruchomy.



Pod wieczór roz pogodziło się. Wiatr usunął chmury z jesiennego nieba, spychając je na południe; zastygły na linii horyzontu, niczym zasy py brudnego śniegu. Patrycja mrużyła oczy, gdyż zachodzące słońce świeciło wprost na werandę. Od wielu minut nie ruszała się z ławki, wpatrzona w jednonogiego ogrodowego zarządcę, w wypłowiałym kapeluszu ciotki Ali na głowie.

Stary kombinezon wuja Tadeusza miał kilka dziur. Pomimo to strach na wróble wydał się Patrycji nad wyraz dostojny. Biła od niego jakaś duma.

„Powinno się go spalić”, twierdziła kobieta z papierosem (kuzynka?).

Patrycja liczyła na to, że uda się jej stracha przyłapać. Objętnie na czym. Na czymś, co usprawiedliwiłoby tak drastyczne żądanie kuzynki. Dlatego wytrwale go obserwowała. Jednak strach na wróble nie robił nic. Nawet wtedy, gdy dwie wrony usiadły na patykowatym ramieniu i wycierały dzioby o wypłowiały kapelusz.

Słońce schowało się za drzewami, kiedy Patrycja w końcu wstała. Z domu wciąż dobiegał gwar rozmów, ale klimat stypy uległ wyraźnej zmianie. Na początku wszyscy wypowiedali się ostrożnie, półgłosem; czasem trudno było dosłyszeć, o czym mówią. Teraz o tym zapomnieli. Pewnie pili alkohol.

Patrycja zeszła z werandy, otworzyła ogrodową furtę i weszła między grządki. Postanowiła obejrzeć stracha z bliska. Może do niej przemówi?

Nie mógł nic powiedzieć. Nie miał ust. Ani oczu, nosa, w ogóle niczego. Wcale nie miał twarzy. Wypchany gałganami kapelusz tkwił wprost na kiju, będącym równocześnie nogą,

tułowiem i szyją. Ktoś po prostu zbił na krzyż dwa kije i nałożył na nie kombinezon. Patrycja poczuła się rozczarowana.

Wyciągnęła rękę, pragnąc poprawić porzecznym patyk, który zwisał prawą stroną ku dołowi. Coś zaskrzypiało wewnątrz kombinezonu, pewnie zardzewiałe gwoździe, którymi połączono części. Patrycja odsunęła się, sprawdzając, czy ręce sterczą teraz w poziomie, jak te u policjanta, którego plastikową figurkę miała w swoich zbiorach. Wszystko wydawało się w porządku. Nagle jednak prawa ręka znów zjechała w dół, lewa wymierzyła w niebo. Widać dumny stróż wolał taką pozycję.

Patrycja stała przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się, czy wolno jej tu być. Czy tata albo wuj Tadeusz nie wychyła się nagle z okna i nie zbesztają jej za niepoprawne zachowanie. Odwróciła głowę ku werandzie, ale tam było pusto.

- A co tam! - Wzruszyła ramionami. Ostrożnie dotykała guzików kombinezonu. Były stare, wyszczerbione, jeden nawet rozleciał się w palcach. Odchyliła dziurawe poły - jakiś guzik wystrzelił w powietrze - i włożyła rękę do środka. Same gałgany, stare gazety. Palilyby się, że ho, ho!

Strach zaskrzypiał, ale tym razem z pewnością nie były to gwoździe. Coś skrzypiało we wbitym w ziemię drewnianym kręgosłupie. Patrycja cofnęła rękę. Nie bała się. Nie była małym dzieckiem, żeby bać się strachów na wróble, nawet takich, z którymi niektórzy usiłują coś zrobić o północy.

- Co innego, gdyby to był strach na ludzi - powiedziała do siebie Patrycja. - Ale wróble są małe, w dodatku i tak uciekają przed byle czym. Tak! Żeby być strachem na wróble, wcale nie trzeba wiele potrafić!

Patrycja ponownie obejrzała się na werandę, po czym - uspokojona ciszą - pochyliła się i pochwyciła nogę stracha, grubą i gładką, bez żadnych drzazg, za to z kilkoma sękami. Spróbowała wyciągnąć ją z ziemi. Zdawała sobie sprawę, że wygląda teraz jak ciotka Ala tamtej nocy, gdy umarła, ale o to właśnie chodziło. Chciała wiedzieć, co ciotka wtedy czuła.

Kij ani drgnął. Patrycja silnym ruchem ramion rozkołysała stracha i udało się jej poszerzyć otwór, w którym osadzono drąg. Pociągnęła powtórnie, z całych sił, aż pociemniało jej w oczach. Nic.

Wyprostowała się, zrezygnowana. Zastanawiała się, czy ciotka Ala była od niej silniejsza. Niegdyś na pewno, całe życie pracowała na wsi, ale skoro urodziła się 17 czerwca 1939 roku, to była znacznie od Patrycji starsza, a starzy ludzie nie są silni, nawet jeśli byli tacy w młodości. Widziała to po tacie. Kiedyś był naprawdę silnym mężczyzną, a niedługo nie będzie nawet w stanie prowadzić samochodu.

Zdyszana kobieta wyprostowała się. Oparła zabrudzone dłonie na biodrach i popatrzyła na stracha. W miejsce, gdzie powinna znajdować się twarz, gdyby ją miał.

- Dlaczego ciotce Ali nie spodobało się, że tutaj stoisz? - zapytała. Nie żeby czekała na odpowiedź; oczywiście, że nie. Może w dzieciństwie nie nadawała się do normalnej szkoły, potem do samodzielnego życia, mimo pełnoletności, może i tak, ale nie była przecież idiotką. Rozumiała, że strachy na wróble nie mówią. mNawet takie, które mają twarze, oczy i usta. A co dopiero ten tutaj.

„Strach na wróble nie jest żywy. Jest przedmiotem”. Szpakowaty mężczyzna nie musiał być wcale mądry. Po prostu mówił prawdę.



Obudziła się w środku nocy. Za oknem stał cień; na jego głowie tkwił kapelusz.

Strach na wróble, pomyślała Patrycja.

Zamknęła oczy, ale nie zrobiła tego dlatego, że się bała. Może najwyżej poczuła dreszczyk emocji. Setki razy widywała za nocnym oknem różne postacie i zdążyła się przyzwyczaić. Najlepszym na nie sposobem było zamknięcie oczu; gdy po

dłuższej chwili otwierało się je ponownie, okazywało się, że ten ktoś - coś - zniknął.

Lecz dziś postać za oknem nie znikwała. Patrycja kilkakrotnie powtarzała niezawodny dotychczas manewr, ale ON wciąż tam był. W dodatku słyszała szmery, jakby szept.

Bardzo ciekawe.

Usiadła na łóżku i postawiła bosc nogi na zimnej podłodze. Wstawała ostrożnie, cichuteńko skradała się do okna. Nagle przypomniała sobie, że prócz niej w domu jest tylko wujek Tadeusz. Stypa skończyła się ładnych parę godzin temu i wszyscy goście odjechali, nawet tata, który odwiózł grubą kobietę i jej szpakowatego męża do ich domu, i miał tam zanoć. Rozstając się z tatą, Patrycja czuła niepokój, ale udało jej się nie płakać. Wiedziała, że tata tego nie lubi. Problem w tym, że za każdym razem, kiedy odchodził, miała wrażenie, że już nigdy do niej nie wróci. Za każdym razem wrażenie okazywało się bezpodstawne, tata wracał punktualnie, tak jak zapowiadał. Co z tego, skoro niepokój powracał. Nie mogła na to nic poradzić.

Przystawiła twarz do szyby. Dotykające policzka szkło było zimne, jakby lekko wilgotne.

Okazało się, że cień nie jest strachem na wróble, lecz wujkiem Tadeuszem. Stał tyłem do okna, wpatrzony w ogród. Jego kapelusz wyglądał zupełnie inaczej niż słomkowa staroć na ogrodowym patyku. Patrycja przechyliła się, usiłując dostrzec nogi wujka.

Czy są bosc?

Wcześniej, siedząc przy nakrytym białym obrusem stole, zastawionym potrawami i wódką, zafascynowana tajemnicą stracha na wróble, wychwytywała wszelkie wzmianki na temat śmierci ciotki Ali. Z jakiejś rozmowy dowiedziała się, że ciotka opuściła ciepłe łóżko, nie wkładając nawet kapci na nogi. Była na bosaka, w nocnej tylko koszuli, kiedy zabierała się do tego stracha.

Nogi wujka Tadeusza bose nie były. Brat taty w ogóle nie wyglądał na człowieka, który właśnie wstał z łóżka. Miał na sobie gruby sweter i szalik. Palił papierosa, co było dość dziwne, gdyż wcześniej Patrycja odniosła wrażenie, że wujek w ogóle nie pali. Czyż podczas stypy palacze nie wychodzili na werandę?

Wujek opierał się o szpadel.

Chce przestawić stracha na wróble - to nagle stało się dla Patrycji oczywiste. Chce go wykopać i postawić gdzie indziej. Zrobić to, co dla ciotki Ali okazało się zbyt trudne.

Wujek Tadeusz rzucił papierosa na podłogę i dokładnie przydeptał butem niedopałek. Schodząc z werandy, zarzucił szpadel na ramię. Zniknął w ciemnościach. Przez jakiś czas Patrycja usiłowała dostrzec coś w zaokiennym mroku, który jednak pozostał nieprzenikniony. Uchyliła okno, nasłuchując. Nic nie słyszała. Jedynie chłodny wiatr huczał w koronach drzew.

A może wujek już nie żyje? Jak ciotka Ala? Leży obok stracha na wróble, a wiatr nawiewa na jego twarz brudne od błota liście?

Właściwie to po co go przestawiać, tego stracha? Skoro jest nikomu niepotrzebny, może rzeczywiście lepiej go spalić, jak powiedzia...? Kto tak powiedział?

Patrycja zmarszczyła czoło, ale jakoś nie potrafiła sobie przypomnieć. Zresztą co za różnica? Przeszłość jest przeszłością. Zamknęła okno i wdziała gruby czerwony szlafrok z kapturem, który kiedyś należał do ciotki Ali. Wisiał na wieszaku, obok łóżka, toteż uznała, że może go sobie pożyczyć. Przecież ciotce nigdy już nie będzie potrzebny.

Wyszła z pokoju, starając się nie szurać laczkami. Drzwi były lekko uchylone, zimny powiew omywał nogi, więc Patrycja mocniej otuliła się szlafrokiem i naciągnęła na głowę frotowy kaptur. Od razu zrobiło się przytulniej. Przemknęła się cichutko przez werandę, jak jesienny duszek, i znalazła się



przed prowadzącą do ogrodu furtką. Niewiele widziała. Niebo pokrywały ciemne chmury, których wieczorem jeszcze nie było. Na szczęście nie padało.

Wchodząc do ogrodu, niespodziewanie poczuła się, jakby odwiedziła cmentarz, podobny do tego, na którym pochowano ciotkę Alę. Nie miała pojęcia dlaczego, przecież nie było nagrobków. Niespodziewanie stanęła jak wryta. W jej głowie znów pojawiła się tajemnicza karta z lustrzaną datą. Wciąż nie dawała się przeczytać.

„Klap!” - dobiegło z ciemności. „Klap!”

Patrycja wyteżyła wzrok i dostrzegła rosnącą postać wujka Tadeusza. Kopał zawzięcie, z niezwykłą jak na jego wiek energią.

Kopał! Zamierzał wydobyć z ziemi drewnianą nogę stracha na wróble. A jeśli...?

Karta w głowie Patrycji wykonała niespodziewany piruet. Równocześnie obróciła się, zamieniając górę z dołem. I oto data stała się czytelna.

Zakapturzona kobieca postać przypominała mnicha, który zastygł w pół ruchu, wsłuchując się w bicie klasztornego dzwonu. Szlafrok-habit falował na wietrze, w końcu jednak dzwon chyba umilkł, gdyż mnich drgnął, jakby przebudzony, by zaraz potem schylić się po kamień, czekający na jego dłoń wśród wyschniętych kabaczkowych kłączy.

Wujek Tadeusz nie miał pojęcia, co dzieje się za jego plecami. Stał w sięgającym mu powyżej kolan dole i w zapamiętaniu wymachiwał szpadlem, choć strach na wróble leżał już wśród chwastów, dawno utraciwszy punkt podparcia.

Patrycja uderzyła z całej siły. Dwukrotnie. Za pierwszym razem kapelusz złagodził cios; osunął się z głowy, spadając na skraj wykopu, wprost pod nogi kobiety. Wujek jęknął, usiłował się wyprostować i wtedy kamień dopadł go po raz drugi. Chrupnęła wgniatana kość i męczyzna osunął się na ziemię.

Patrycja odrzuciła kopniakiem leżący pod stopami kapelusz.

Ostrożnie położyła kamień na ziemi, jakby był drogocennym kruszczem.

Dół wyglądał na niedostatecznie wielki, żeby wujek zdołał zmieścić się w nim w pozycji wyprostowanej...

(TAK JAK KILKA CENTYMETRÓW GŁĘBIJ LEŻAŁA KOCHANKA TATY, ZAKOPANA TU 14 LIPCA 1984 ROKU)

... ale jeśli zgiąć zwłoki w pasie?

Wyciągnęła szpadel spod ciała i za jego pomocą uporała się z zadaniem. Wujek Tadeusz miał teraz postać embriona, albo raczej wciśniętej do słoika lalki.

Z wykopu wystawały jedynie ogromne podeszwy gumofilców, nazbyt zadarte były ku górze. Ale gumofilce można przecież zdjąć - tak też zrobiła i w jamie od razu zrobiło się więcej miejsca. Dla pewności przyklepała bosc nogi szpadlem, po czym zabrała się do zasypywania. Nie szło najlepiej: była w lączkach, co przy mokrej i śliskiej ziemi nie ułatwiała pracy. Na szczęście obok leżały wielkie buty wujka; wdziała je na swe zziębnięte stopy. Okazały się znacznie za duże, lecz przynajmniej ciepłe, a co najważniejsze, mogła teraz bez problemu naciskać sztych szpadla.

Nie zapomniała wrzucić do wykopu wujkowego kapelusza. Co prawda, przez chwilę miała ochotę sprezentować strachowi na wróble nowe nakrycie głowy, ale gdy popatrzyła na tkwiące wśród pokrzyw drewniane truchło, coś podpowiedziało jej, że nie jest to najlepszy pomysł.

To coś podpowiedziało znacznie więcej.

Na przykład, że tata nie powinien się o niczym dowiedzieć.

Nikt nie powinien się dowiedzieć!

Narwała kabaczkowych kłączy i porozrzucała je, maskując ślady po wykopie. W ciemnościach wyglądało to nieźle, miała nadzieję, że podobnie będzie za dnia. Potem zabrała się do stracha na wróble; wkopała go w ziemię niecały metr dalej. Nie sądziła, żeby ktokolwiek (tata!) zauważył zmianę.

Później wrzuciła szpadel w porzeczkowe krzaki i wróciła do stracha. Wpatrywała się w nieistniejącą twarz pod kapeluszem ciotki, z poczuciem dobrze wykonanej pracy.

- Ty wiesz, prawda? - zapytała. - Kochanka taty wszystko ci wypaplała, co nie?

Strach na wróble skinął nieobecną głową. Milczał, ale drewniane żerdzie, z których został wykonany przez ciotkę Alę 14 lipca 1984 roku, zaskrzypiały boleśnie.

Pewnie, że wiedział. Tyle lat byli razem: on i kochanka taty, której imienia Patrycja nie pamiętała, może dlatego, że nigdy nie lubiła tej wyperfumowanej, ubranej jak lalka kobiety, która chciała ukraść jej tatę.

- *Ta psia kurwa chce mi zabrać Tadeusza. Tak jak tobie chce zabrać tatę* - powiedziała ciotka Ala dzień wcześniej, 13 lipca 1984 roku.

- *Chce mi zabrać tatę?! Jak to?!*

- *Właśnie tak! Przecież po to przyjechaliście. Masz zostać u nas, niby tymczasowo, ale...*

Stały w cieniu werandy, osłonięte przed światłem księżyca, i przez okno zaglądały do pokoju. Podglądały. W pokoju paliła się nocna lampka. Świeciła słabo, ale i tak wyraźnie widziały, że te dwie całujące się postacie, to kochanka taty i wujek Tadeusz.

- *Mało jej jednego chłopca! Powinnam dziwkę zabić! Zabiłabym ją, jak mi Bóg miły, gdybym tylko miała więcej odwagi!* - Ciotka bezsilnie zaciskała pięści, ognistym spojrzeniem przykuta do szyby.

- *Jak to? Chce mi zabrać tatę?! Jak to?!* - powtarzała w kółko Patrycja, z rozpaczliwą nadzieją, że ciotka zaprzeczy, powie, że się pomyliła.

Ale ciotka nie zaprzeczała.

Patrycji odwagi nigdy nie brakowało. Nie mogła zrozumieć hysterii ciotki, kiedy kilka godzin później, nad ranem, obudziła ją i wskazała na zakrwawiony kuchenny nóż.

- *Jezus Maria! Dziecko, coś ty najlepszego zrobiła!*

- *Nie jestem dzieckiem!* - krzyknęła rozgoryczona Patrycja. Miała wtedy trzydzieści pięć lat, zaledwie o kilka mniej niż ciotka. - *Przecież sama powiedziałaś, że...*

Ciotka natychmiast zatkała ręką jej usta.

- *Ciii...* - szepnęła, w jednej chwili zmieniając się na twarzy, gubiąc całą histerię. - *Cicho, bo mężczyźni się obudzą.*

Nie obudzili się. Ani w tamtym momencie, ani później, kiedy zanosły opatulone kołdrą ciało do ogródka i zakopały w miejscu, gdzie ziemia była miękka i wilgotna. Pod strachem na wróble.



Tata przyjechał około południa. Trochę trwało, nim zaparkował starego forda z dala od błotnistych kałuż i wygramolił się z samochodu. Patrycja nie musiała go wołać. Wciąż miała na sobie czerwony szlafrok ciotki, z naciągniętym na głowę kapturem, więc wyróżniała się na tle smutnego, jesiennego ogrodu. Wielkie gumofilce wystawały spod szlafroka, niczym stopy granitowego pomnika.

- Moim zdaniem naprawdę trzeba spalić tego stracha - powiedziała, kiedy tata stanął obok, przygarbiony, z rozwianą resztką siwych włosów w tyle głowy.

Nic nie mówił, więc podniosła głowę, natrafiając na puste spojrzenie.

- Wujek powinien to zrobić od razu, jak tylko ciotka umarła - stwierdziła z pełnym przekonaniem.

Starala się mówić wyraźnie, ale nie była pewna, czy tata ją rozumie.

# ZŁY CZŁOWIEK

**W** ostatnich miesiącach Krystianowi M, wyjątkowo się nie wiodło. Siwe włosy, wymizerowane ciało, bezsenność, nikotynowy nałóg - to tylko niektóre skutki jego pojedynku z życiem. Nokautującymi ciosami były rozwód z żoną Marianną i utrata pracy, w dodatku jedno splotło się z drugim paskudniej niż w scenariuszu telenoweli: wybrankiem Marianny okazał się szef Krystiana.

Byłby się Krystian M, wypalił do cna, skończył żywot w psychicznej depresji, gdyby pewnego kwietniowego poranka nie zrozumiał, że prawdziwe przyczyny porażek tkwią w nim samym. Był dobrym człowiekiem; ot i cały problem. Za dobrym. Niepotrzebnie dobrym. Stąd wszystkie nieszczęścia.

Jak zmienić życie kogoś takiego? Jak wyprowadzić cios, rzucający przeciwnika (życie) na matę?

- To oczywiste!

W dekalogu zawarto niezbędne wskazówki, do których NIE należy się stosować; wystarczy złamać je wszystkie, od pierwszej do dziesiątej. I nawet jeszcze dwie czy trzy inne, które potomkowie Mojżesza ukryli w obawie, iż nie potrafią sprostać zbyt wysoko postawionej poprzeczce. A kiedy już to się stanie, zyska się pewność, że jest się zupełnie nowym człowiekiem

Już nie będzie się dobrym.

Oj, nie.

Odtąd nie życie będzie dawać człowiekowi popalić - to człowiek da popalić życiu. A wyrzuty sumienia? A czy miała je Marianna, wdając się w romans (nie cudzołóż!) z szefem Krystiana (nie pożądam żony bliźniego swego!), i czy miał je szef, prócz żony zabierając zarejestrowanego na nią forda mondeo (ani żadnej rzeczy, która jego jest!)???

Krystian M, zaczął od tego, że ukradł eks-małżonce samochód - co okazało się o tyle łatwe, że zapasowe kluczyki wciąż leżały w szufladzie jego biurka - i ruszył w świat, popełniając po drodze wszelkie niegodziwości, na których popełnienie trafiała się okazja, aż wreszcie - żeby doprowadzić sprawę do końca - pozostało mu do wykonania zadanie najtrudniejsze.



Padał śnieg z deszczem, co przypomniało Krystianowi, że dawno już powinien wymienić samochodowe wycieraczki, pozostawiające na szybie mleczne paski. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że właściwie nie powinno go to obchodzić, skoro samochód już do niego nie należał.

Za zakrętem stało dwoje młodych ludzi, chłopak i dziewczyna; machali natarczywie rękami, pokazując kciukami kierunek. Krystian ani myślał się zatrzymywać. Na dworze było zimno, wiał wiatr, w sam raz, żeby pokazać, że nie jest się dobrym. Kiedy ich mijał, poblądłych, patrzących okrągłymi z rozpaczycy oczami, nie ruszyło go ani trochę. Wręcz przeciwnie, poczuł coś w rodzaju zadowolenia. Naprawdę był przemieniony.

Miły nastrój prysnął w jednej sekundzie, gdyż nagle dotarło do Krystiana, że zło niezupełnie polega na tym, że nie robi się czegoś dobrego. To nie wystarczy. Trzeba być czynnym. Taki na przykład Kuba Rozpruwacz nie siedział w domu z założo-

nymi rękami, lecz ostrzył nóż i nocami krążył po Whitechapel, wiedząc, że choć okazja czyni złodzieja, to znacznie pewniejsze efekty osiąga się, gdy złodziej sam sobie okazję uczyni.

Krystian wcisnął pedał hamulca.

- Podwiezie nas pan na krzyżówkę do Drewania?

Dziewczyna miała jakieś czternaście lat. Stojący za nią chłopak nie wyglądał na starszego.

- Wsiadajcie. - Wskazał im tylne siedzenie.

W ciepłym wnętrzu samochodu powiało chłodem, zapachniało wilgocią. Dzieciaki musiały być nieźle przemarznięte, bo ich twarze momentalnie się zaczerwieniły.

- Daleko ten Drewań? - spytał, ruszając.

- Jakies dziesięć kilometrów.

- Tam mieszkacie?

We wstecznym lusterku dostrzegł, jak młodzi pasażerowie wymieniają spojrzenia.

- Nie. - Znów odezwała się dziewczyna. Chłopak siedział sztywno, jakby w ogóle nie słyszał, co się mówi. - W Drewaniu jest ośrodek dla dzieci niepełnosprawnych. Gramy tam taką scenkę z bitwy pod Grunwaldem.

- Pod Grunwaldem? W dwie osoby?

- Jest jeszcze kolega, ale zmarł i wrócił do domu. My postanowiliśmy nie rezygnować... Jesteśmy umówieni, a dzieci czekają. Bardzo dziękujemy, że się pan zatrzymał.

- Proszę bardzo. - Krystian czuł w gardle wielką kluchę. „Bardzo dziękujemy”! Ble, ble, ble! Można się porzygać. Dla poprawy nastroju włączył radio.

Zerkał w lusterko i obserwował twarze. Dziewczyna nie była zbyt ładna, pulchne policzki upodobały ją do postaci z jakiejś kreskówki o życiu świnek. Za to chłopak zamierzał pewnie wyrosnąć na niezłego podrywacza, jeśli już taki nie był. Nosił w uchu kolczyk, a na nosie świeciły trzy srebrne tipsy, jeden przy drugim.

- To pamiątka z bitwy pod Grunwaldem? - zapytał zgryź-

liwie Krystian.

- Proszę?

Nie wiedzieli, o co chodzi.

- Oberwałeś w twarz morgenszternem i trzy gwoździe zostały?

Teraz się roześmieli. Zrozumieli dowcip.

- To tu! - zawołała nagle dziewczyna.

W las wiodła ułożona z wykruszonych płyt droga. Krystian zwolnił, ale nie zatrzymał się.

- Wiecie co? Podwiozę was - zaproponował, odczytując na drogowskazie napis „Drewna 3”. - Wystarczająco już zmarzliście.

- Świetnie! - Ucieszyli się, a on poczuł na swoich plecach wdzięczny wzrok.

Wdzięczny wzrok. Jasna cholera!

Tak jak przypuszczał, trafiła się leśna przecinka. Skręcił i dodał gazu, żeby nie zakopać się w błocie.

- Nie tędy! - rozległ się z tyłu krzyk.

Dodał gazu, aż zarzuciło samochodem.

- Co pan robi? - odezwał się chłopiec. Nerwowo pocierał nos w miejscu, gdzie tkwiły srebrne tipsy.

Krystian gwałtownie wdepnął hamulec. Silnik zakrztusił się i zgasł. Zapadła cisza. Krystian uniósł rękę, zdając sobie sprawę, że dzieciaki wlepiją w niego zdumione oczy. Odczekał, dla efektu, a potem szybkim ruchem wcisnął zamykacz drzwi. Zamek był centralny i zaskoczyły wszystkie zapadki. Nie śpiesząc się, odpiął pas bezpieczeństwa; metalowa sprzączka z głuchym stukiem uderzyła w ściankę.

Krystian odwrócił głowę, smakując przyływ adrenaliny.

- Źle trafiliście - oznajmił, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. - Szczerze mówiąc, najgorzej jak było można.

Cisza, jaka zapadła, wydawała się trwać w nieskończoność.

- Nie rozumiem - wykrztusiła wreszcie dziewczyna. Jej poczerwieniała twarz zrobiła się wprost purpurowa, ale w



prosiaczkowych oczach wciąż nie było strachu, jedynie niepokój.

- A co tu rozumieć?

Sięgnął do schowka, w którym leżały trzy wielkie, nigdy jeszcze nieużywane noże. Wybrał ten, który sprzedawca polecał mu jako nóż do krojenia kurczaków.

- Sprawa jest chyba jasna - rzekł, odwracając się.

Dziewczyna w panice szarpała drzwi. Oddychała głośno, wydając ciche jęki.

- Ciebie zgwałcę, a potem zadżgam tym nożem - poinformował zimno Krystian. - Albo w odwrotnej kolejności. Jeszcze się zobaczy. Natomiast szanownego pana powieszę na drzewie - rzekł do chłopaka, wpatrującego się w niego, jak w kinowy obraz. - Ale najpierw wydłubię ci z nocha te pedalskie kolczyki!

- Ty kutasie! - wykrztusił młodzieniec.

Nie bał się. Skubaniec się nie bał!

- Nie stać cię na więcej? - zapytał zaniepokojony Krystian.

Wyciągnął w kierunku chłopca uzbrojoną w nóż rękę.



Wyszli z piwnic i natknęli się na doktora Janocha. Trzeba mieć pecha. Chociaż... z drugiej strony... Co się odwlecze, to nie uciecze! Trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło. Otóż to!

- Nooo ładnie - powiedział doktor, spoglądając na nich z góry. Był najwyższym mężczyzną, jakiego znali, chyba niewiele mu brakowało do dwóch metrów wzrostu. - Ładnie, ładnie - powtórzył. - Nasi André i Monika. Szukamy was od pięciu dni. Myślicie, że policja nie ma nic innego do roboty, tylko uganiać się za jakimiś czubkami?

Spuścili głowy w dół. André potarł dłonią tipsy na nosie. W chwilach stresu zawsze tak robił.

- Głód was przycisnął i wróciliście, co?

- Nie głód - odezwała się Monika. - Zimno. Nie mieliśmy gdzie spać.

Janoch westchnął głośno i wbił ręce w kieszenie białego fartucha.

- Wiosna zaczęła się za późno?

Milczeli.

- Zdajecie sobie sprawę, że nadużyliście zaufania? - kontynuował Janoch.

Nachylił się z groźną miną.

- Mojego zaufania! - podkreślił. - To na mój wniosek przyznano wam prawo swobodnego poruszania się wokół terenu ośrodka. WOKÓŁ TERENU! A może wydaje się wam, że cały kraj to teren wokół ośrodka, co?

Pokręcili przecząco głowami.

Janoch wyprostował się i z rozpaczą otarł z czoła niewidzialny pot.

- Liczyłem na was - rzekł ciszej. - Byliście pacjentami z najlepszymi wynikami. Gdyby nie to, że waszym rodzicom odebrano prawa rodzicielskie, już dawno wrócilibyście do domu. Nie tacy, jak wy, chodzą po świecie.

Dzieciaki wymieniły spojrzenia, najwyraźniej przekazując sobie pewną wiadomość, ale doktor tego nie zauważył.

- Co teraz zamierzacie?

- Zjeść kolację - odezwała się nieśmiało Monika.

Janoch spojrział na zegarek.

- Rzeczywiście pora. - Znów westchnął. - To biegnijcie, a jutro rano zgłóście się do gabinetu. Sami musicie zdecydować, czy uważacie się za zdrowych, czy nie. Bez tego daleko nie zajedziemy.

- Tak, proszę pana.

† † †

Krystian ocknął się z makabrycznym bólem głowy. Znaj-

dował się w chłodnym, zupełnie ciemnym miejscu. Nie widział nawet czubka własnego nosa. Za to czuł woń stęchlizny, charakterystyczną dla wilgotnych, nigdy nieogrzewanych pomieszczeń. Stęchlizna i coś jeszcze, jakby zapach lekarstw. Niedaleko kapłała woda.

Kap! Kap!

Ten dźwięk doprowadzał go do szału.

Leżał na betonie, zimnym jak tafla lodu. Podłogę pokrywały odłamki gruzu, które boleśnie wbijały się w ciało. Miał trudności z oddychaniem. Nie mógł się ruszyć. Był związany.

Miał być złym człowiekiem i prawie się udało. Coś zawiodło w ostatniej chwili, gdy ostrze noża do krojenia kurczaków zbliżyło się do szyi chłopaka z raną po morgenszternie (jakoś tak... Z powodu bólu głowy niezupełnie udawało mu się trzymać myśli w ryzach). Pamiętał, że najpierw zamierzał skończyć z chłopakiem - który mógł przysporzyć kłopotów - a dopiero potem zająć się dziewczyną. Takie miał zamiary.

Ale coś zawiodło w precyzyjnej, natchnionej łamaniem dekalogu maszynie. Nie potrafił. Mimo szczerych chęci i życiowej determinacji skończyło się na zamiarach.

Nie miał pojęcia, że tak trudno jest zabić człowieka.

- Żartowałem - rzekł, starając się przywołać na twarz uśmiech.

Pewnie nie bardzo mu się udało z tym uśmiechem, bo dwoje zamkniętych w samochodzie autostopowiczów nawet nie drgnęło. Patrzyli na niego, jakby w ogóle nic nie powiedział - dziewczyna z panicznym błaganiem o zmiłowanie, chłopak z nienawiścią.

- Nabrałem was. Nie znacie się na żartach?

Usiłował przełamać impas, ale oni wciąż siedzieli nieruchomo.

Zrozumiał, że mu nie wierzą. Na znak pokoju odłożył nóż. Nic. Ani śladu reakcji. Miał wrażenie, że w ogóle przestali oddychać. Otworzył blokadę drzwi i wtedy dopiero zaczął się

ruch. Chłopak wyskoczył z samochodu, przeturlał się po mchu, istny komandos, i tyle go było widać. Wziął nogi za pas.

Dziewczyna miała mniej szczęścia. Utknęła. Zapomniała, że wcześniej zapięła pas i zawisła w otwartych drzwiach, niczym szamocząca się ryba na skraju podbieraka.

Krystian wysiadł i podszedł, żeby ją uwolnić. Zaczęła wyc, jakby wciąż trzymał w ręku nóż. Wierzgała nogami, kiedy nachylił się ku sprzączce. Nagle trafiła w brzuch; Krystian zatoczył się, potknął na nierówności terenu i upadł na wznak. Nim zdołał wstać, zobaczył nad sobą triumfujące oblicze chłopaka, jego uniesione ramiona, i coś czarnego, może konar drzewa, spadający ze straszliwą prędkością.

Świat się skończył.

A kiedy powrócił, Krystian tkwił w jakiejś cuchnącej piwnicy, okręcony sznurem jak baleron. Trudności z oddychaniem wynikały z faktu, iż zalepiono mu usta. Lekarskim plastrem, sądząc po zapachu.

Dlaczego nie zostawili go w lesie? Nie uciekli gdzie pieprz rośnie, jak - na zdrowy rozum - postąpiłby każdy dzieciak na ich miejscu?

Zagadka. Może wcale nie taka trudna do odgadnięcia.

Oni również zapragnęli połamać dekalog. Poczucie frajdy bycia kimś złym. Naprawdę złym. Do szpiku kości. Po cóż inaczej taszczyliby go do tej ciemnicy, zamiast zawiadomić policję?

Skrzypnęły otwierane drzwi i do środka wpadła smuga światła. W cieniu przemknęły dwie postacie. Na chwilę zrobiło się ciemno, po czym zabłysło światło. Naga, pokryta kurzem żarówka kołysała się przy stropie, wprawiona w ruch podmuchem powietrza.

- Obudził się - powiedziała dziewczyna.

Bez czapki, umyta i uczesana, nie przypominała już postaci z kreskówki. Zaniepokojony Krystian skonstatował, że jest to wygląd zdecydowanie mniej sympatyczny. Nie podobało mu się to, co zobaczył w przymrużonych oczach.

Chłopak z tipsami uśmiechał się szeroko, a i ten uśmiech nie wróżył nic dobrego, zważywszy na przedmiot, który młodzieniec ścisnął w prawej ręce. Nowiutki, nigdy jeszcze nieużywany nóż do krojenia kurczaków. Jego, Krystiana, nóż.

Pierwsza podeszła dziewczyna. Wyciągnęła rękę i przejechała dłonią po pokrytym kilkudniowym zarostem policzku Krystiana. Nagle ręka zatrzymała się, zadrgały palce. Jednym szarpnięciem zerwała plaster z ust więźnia. Krystian wrzasnął.

Uśmiechali się oboje.

- Może pan sobie krzyczeć - oznajmił chłopak. - To głęboka i dawno zapomniana szpitalna piwnica.

- Szpitalna? Mówiliście, że jedziecie na przedstawienie... Bitwa pod...

- Kłamaliśmy. Nie po raz pierwszy zresztą. - Chłopak wymownie wskazał czubkiem noża na przeciwległy róg piwnicy.

Związane mu mężczyźnie trudno było się odwrócić, ale to, co zobaczył - lub wydawało mu się, że zobaczył - wystarczyło za wszelkie wyjaśnienia.

Wolał już więcej nie patrzeć w tamtą stronę. Za żadne skarby świata więcej by tam nie spojrział.

Zawołał o pomoc.

- Ratunku!

- Nawet jeśli ktoś usłyszy, i tak nie zareaguje - skomentowała dziewczyna, spokojnie odczekawszy, aż mężczyzna ucichnie. - W szpitalu psychiatrycznym są przyzwyczajeni do wrzasków.

- Psych...

Krystianowi zaparło dech w piersiach.

- Właśnie tak! - potwierdziła.

- Źle pan trafił - powiedział chłopiec, sprawdzając palcem ostrość noża. - Szczerze mówiąc, najgorzej jak było można.

# NIE WOLNO WCHODZIĆ DO ŁAZIENKI

- **N**IE WOLNO!

Nie do końca przebudzony Roman Domżański rozglądał się po przedpokoju. W ustach czuł gorzki smak wypitego przed chwilą musującego alka primu. Stał w piżamie, trochę zdumiony, trochę przestraszony i nasłuchiwał. Czy naprawdę ktoś zawołał, czy też krzyk rozległ się tylko w jego głowie?

Ocknął się z kameleonowego letargu i położył dłoń na klamce.

- NIE WOLNO WCHODZIĆ DO ŁAZIENKI!

Tym razem wiedział już na pewno. To nie był czyjś konkretny głos, raczej sugestywna myśl, przesywająca obolałą (skacowaną) głowę, wdzierająca się w każdy zakamarek mózgu. Wbrew ostrzeżeniu Roman nacisnął klamkę i wtedy w jego serce walnął młot. Ciężkie, rozżarzone narzędzie Hefajstosa.

- NIE!

Odskoczył, jakby klamka była pod napięciem. Tkwił na środku przedpokoju, czując przepływające przez ciało fale zimna i gorąca. Domżański nie był już młodzieniaszkiem, nie dawniej jak pół roku temu jego kumpel, rówieśnik, miał atak

serca. Wyszedł z tego, ale powiedział: „Stary! Czuję się, jakby mi kto walnął w serce kowalskim młotem!”.

Roman sięgnął ostrożnie do lewej strony klatki piersiowej. Serce biło normalnie, może nieznacznie przyspieszonym rytmem. Wziął głęboki oddech, mimowolnie oczekując klucia w piersiach. Nic. Wszystko w porządku. Pewnie, że w porządku! Miał tylko czterdzieści sześć lat, nie żarł tłustego mięsa i raz w tygodniu grał w koszykówkę.

Co się w takim razie dzieje, do cholery?!

Wczoraj trochę zabalował. Tylko trochę - imieniny szefa w pracy - ale przecież nie na tyle, żeby rano mieć jakieś poprane halucynacje?!

Powiało chłodem. Zamknął okno, które otworzył przed minutą, żeby rannym powietrzem odświeżyć mieszkanie. Czynił to z ochotą, zadowolony, że jest czym zająć się choćby na chwilę, odciąć się od absurdu, który nieoczekiwanie napotkał we własnej, przytulnej kawalerce.

Okno zamykał powoli, uważnie obserwując ulicę. Wyglądała jak każdej środy o siódmej rano. W ogóle wszystko było jak zawsze. Bo dlaczego miałoby nie być? W łazience też zapewne wszystko jest w porządku. Zaraz tam pójdzie i przekona się. Grunt to nie dać się zwariować.

Włączył radio. Jakoś nie mógł się zebrać, żeby pójść do tej pieprzonej łazienki. Postanowił najpierw się ubrać. I tak zmiętrzył sporo czasu, na prysznic nie starczy czasu, trzeba będzie tylko umyć zęby i jazda! Szef nie tolerował spóźnień.

Po kilku minutach znów stanął przed nieszczęsnymi drzwiami. Pewnych rzeczy nie da się odwlekać w nieskończoność.

- NIE WOLNO WCHODZIĆ DO ŁAZIENKI!

- Co za cholera! - wrzasnął Roman Domżański.

Ale nawet nie spróbował dotknąć klamki. Wszedł do ubikacji, wykafelkowanej kłitki z klozetową muszlą i miniaturową umywalką. Wszedł bez problemów, choć był taki moment, że

zawahał się w oczekiwaniu kolejnego zakazu. Załatwiając się, patrzył w górę, na szczyt lewej ściany, na wykusz łączący pomieszczenia w celach wentylacyjnych. Otwór był wystarczająco duży, żeby zajrzeć przezeń do łazienki - wpatrywał się w niego dobrą minutę, walcząc z samym sobą, odpychając ogarniające szaleństwo, lecz przegrał i skwitował porażkę lekceważącym parsknięciem. Zatrzasnął deskę klozetową i wszedł na sedes. Ostrożnie przysunął twarz do półki.

Ciemno.

Wrócił do przedpokoju, aby zapalić w łazience światło. Kontakt był na zewnątrz. Nikt nie ostrzegał, że nie wolno zapalać światła. Wrócił na stanowisko, zdając sobie sprawę, że gdyby teraz zobaczył go ktoś ze znajomych, niechybnie uznałby, iż brak mu piątej klepki. I miałby, co tu dużo gadać, trochę racji. Nikt normalny nie zagląda cichaczem do własnej łazienki.

Zobaczył gruzełkowaty sufit, kilka pasów glazury na przeciwległej ścianie. Wspiął się na palce, lecz otwór był zbyt mały, by można dostrzec więcej. Nasłuchiwał. Cisza.

- Kap!

Omali nie zleciał z sedesu, a to tylko z kranu spadła kropla wody. Uszczelki nie od dzisiaj puszczają, dawno już miał je wymienić.

Wrócił przed łazienkę. Przez chwilę stał w bezruchu, patrzył na klamkę i znów zabrakło odwagi, żeby ją nacisnąć. Spojrzał w dół. Plastikowa kratka wentylacyjna. Uklęknął i schylił głowę. Z tej pozycji widział o wiele więcej niż z ubikacji. Naprzeciwko wanna, po lewej pralka, z prawej prysznicowa kabina. Zasłonka prysznicowa była odsunięta - jeśli już o to chodzi, panie Hitchcock! - i nawet ze swej niewygodnej pozycji Roman Domżański wyraźnie widział, że brodzik jest pusty, a ściany czyste.

Cokolwiek podsuwała mu pracująca gorączkowo wyobraźnia, niczego takiego nie zobaczył. Nic podejrzanego. Ani niezwykłego. Z wyjątkiem zapachu. Skądś znał tę chemiczną woń, ale za diabła nie mógł skojarzyć skąd!



Wstał i desperacko sięgnął za klamkę. Jego łazienka, do cholery! Nikt nie będzie decydował, czy ma do niej wejść, czy nie!

- NIE WOLNO WCHODZIĆ DO ŁAZIENKI!

Nie wytrzymał napięcia. Opuścił rękę. Zaklął jeszcze raz, głośno, żeby wślizgujący się strach nie przemienił się w panikę, i powoli, celowo powłócząc nogami, podszedł do wieszaka. Siłąc się na obojętność, włożył kurtkę, buty, po czym wyszedł z mieszkania, nie zapominając starannie zamknąć drzwi na klucz.

Do diabła z zębami! Kupi sobie miętową gumę do żucia.



- Co tak pusto? - Roman rozglądał się po pracowni. Z pięciu stanowisk tylko jedno było zajęte. - Myślałem, że się spóźniłem.

- Bo się spóźniłeś - oświadczył Lutek, odwracając się od komputera. - Wygląda na to, że grypa sieje spustoszenie. Wczoraj powinni leżeć w łóżku, a nie podlizywać się solenizantowi.

- Albo wykorzystują nieobecność szefa.

- Kota nie ma, myszy harcują.

- Otóż to.

- Być może. Ale coś mi się zdaje, że w twoim wypadku to nie grypa, lecz kacyk - skonstatował Lutek.

Lutek kiedyś był kreślارzem, ale gdy komputery zlikwidowały to żmudne acz popłatne zajęcie, z zadziwiającą łatwością przestawił się na pełne komputerowe projektowanie. Nie miał uprawnień, lecz to załatwiali koledzy. Ważne, żeby pracownia prosperowała.

- Tak jakby - odparł Domżański, popijając wodą aspirynę i krzywiąc w grymasie pobladłą twarz. - Chociaż wcale dużo nie wypilem.

- Tutaj nie - skwitował domyślnie Lutek. Niespodziewanie wymownie (obleśnie) puścił oko. - Ale pewnie z Kryską daliście

jeszcze do wiwatu...

- Z Kryską?
- No... przecież wyszliście razem.
- Aha.

Domżański odwrócił się w stronę okna, udając, że obserwuje ulicę. *Aha, z Kryską. Jasne, wyszedłem z Kryską.*

Problem w tym, że nie pamiętał, żeby wychodził z Kryską. Amnezja. Dziura w mózgu. Normalnie uśmiechnąłby się do Lutka, trochę dwuznacznie, jak to bywa w damsko-męskich sprawach, ale dziś nie mógł tego zrobić. Dziś nic nie było normalnie. Dziś NIE WOLNO WCHODZIĆ DO ŁAZIENKI! Była pusta.

Pusta i czysta ta pieprzona łazienka!

Ale przecież nie widział wnętrza wanny.

Kap!

Jak kapiała ta woda? Jaki to był dźwięk? Czy wanna była może pełna wody?

Mogła nie być pusta. Jezus Maria!

Zamiast samochodów na ulicy, zobaczył Krystynę Borecką, rudą seksowną żonę, trzydziestopięcioletnią panią architekt, dwukrotną rozwódkę i feministkę. Miała szeroko otwarte oczy, pełne przerażenia, zastygłe w szklane kulki. Leżała w jego wannie, z wydętą jak balon spódnicą, spod której nie chciało uciec powietrze.

Woda miała różowy kolor.

- I co? - spytał Lutek.

Domżański odwrócił się od okna.

- Z czym?

- Nie szczym, tylko siusiamy. Jak poszło z Krystyną?

- Daj spokój. Jak miało pójść? - Wzruszył ramionami. -

Odprowadziłem ją na postój taksówek i *adieu l'amour*.

- Bez nerw. - Lutek asekuracyjnie uniósł do góry rękę. - Tak tylko pomyślałem, wiesz, ty rozwodnik, ona rozwódka...

Roman uznał, że w tej sytuacji lepiej będzie się nie odzywać.

Usiadł za biurkiem i włączył komputer. Oczekując na załadowanie Windowsa, nagle wyobraził sobie, że zamiast zwykłego niebieskiego pulpitu na ekranie pojawia się twarz Boreckiej. Czy to możliwe, żeby w tej łazience...? Przecież by pamiętał... Jak można nie pamiętać, że się kogoś...

Właściwe słowo nie chciało wykrystalizować się nawet w myślach. Najgorsze, że nie mógł całkowicie zignorować swych fantasmagorii (fantasmagorie! jak tonący brzytwy chwycił się tego cudownego słowa). Z Krystyną miał dwa niezwykłe incydenty. Za pierwszym razem - do dziś nie miał pojęcia, co go wtedy podkuśiło - dostał w pysk, zupełnie jak na filmach dzierlatki walą agentów zero siedem. Za drugim, miesiąc później, gdy zostali po godzinach, kończąc ważny projekt, sama chwyciła go za fiuta. Świat kobiet jest pełen tajemnic.

Kochali się wtedy trzy razy, za każdym razem na innym biurku. (Na twoim, Lutek, też). Trzy razy! Nie przypuszczał, że w wieku czterdziestu sześciu lat mężczyzną stać jeszcze na taki kaskaderski wyczyn.

A potem koniec. Finito. Minęło jakieś pół roku od tamtego szaleństwa, a Borecka pozostawała wyniosła i nieprzystępna. Gdy raz nie wytrzymał i próbował pogadać, dała mu do zrozumienia, że jeśli nie zachowa dyskrecji, oskarży go o molestowanie w zakładzie pracy.

*Morda w kubel!* Tak powiedziała dostojna pani architekt. Stuknięta feministka.

Roman bezmyślnie wodził opuszkami palców po klawiszach komputerowej klawiatury. Im więcej myślał o Boreckiej i o tym, co mogło wydarzyć się minionej nocy, tym bardziej był na siebie wściekły, że rano nie zajrzał do łazienki. Co za czart ściemnił mu umysł?! Jak mógł tak po prostu wyjść z domu?

Tego dnia niewiele zrobił w pracy. Na szczęście Lutek miał sporo roboty i nie zawracał mu głowy. Przed południem zatelefonowali Jacek i Bożena, z wiadomością, że mają zwolnienia lekarskie na pięć dni, ale postarają się wykurować wcześniej.

Krystyna Borecka nie odezwała się.

- Może by do niej zadzwonić? - zaproponował Roman, tuż przed szesnastą.

Lutek wzruszył ramionami.

- Jej sprawa. Będzie się tłumaczyć przed szefem.

Chyba z zaświatów, pomyślał cynicznie Roman, choć tak naprawdę w to nie wierzył. Uważał się za racjonalistę. Nie dla niego intuicyjne wizje, luki w pamięci i podobne tego typu pierdoły. Ale czy racjonalista sterczy niczym kołek przed drzwiami własnej łazienki?

Pędził do domu swoją octavią, jakby gnał go diabeł. Wpadł na klatkę schodową, wbiegł na górę i zatrzymał się dopiero przed własnym mieszkaniem. Otworzył drzwi, zdjął płaszcz (jakby nigdy nic, cholera, dlaczego wszystko robi jakby nigdy nic?), po czym skierował się do łazienki. Zamiar miał niezłomny.

- NIE WOLNO WCHODZIĆ DO ŁAZIENKI!

Cofnął rękę, po czym wyciągnął ją powtórnie.

- NIE WOLNO WCHO...

- Tak. Jasne - odparł Roman Domżański, po czym wszedł.

Wanna była pusta. Z wylewki zwisała pęczniejąca kropla wody.

Mimo wszystko był zaskoczony. Podszedł bliżej i dotknął dna wanny. Czysto. Jedyne samotna rdzawa plama dokumentowała wielogodzinne kapanie z kranu. Nagle uprzytomnił sobie, że wciąż czuje ten dziwny zapach, na który zwrócił uwagę rano.

Na rozłożonej na pralce gazecie leżał pędzel. Obok puszka. Farba do malowania glazury. Wzrok podążył pod nogi, na posadzkę nowego koloru. Brakowało tylko kartki „świeżo malowane”.

Choć po prawdzie była taka kartka.

W jego własnej, pijackiej głowie. Tej nocy wrócił do domu pijany jak miś koala i zabrał się do pracy, na którą od miesiąca

brakowało czasu. Do odnowienia glazury. I zapamiętał nawet, żeby nie zdeptać własnej roboty...

Spojrzał w lustro, na blade, nieogolone odbicie twarzy i zaczął się śmiać. Dziko. Z ulgą.

Dobry humor minął po dwóch dniach. Krystynę Borecką znaleziono w jej łazience. Leżała w wannie z rozdętą spódnicą, a szeroko otwarte oczy wyglądały niczym szklane kulki, jak to obrazowo ujął pewien dziennikarz.

Woda była różowa.

## POD CHOINKĄ

**P**adał lekki, puszysty śnieg. Pokrywał bielą gałązki niesionej przez nas choinki. Szedłem pierwszy, ściskając mocno drzewko, nie zważając na szpilki kłujące w nadgarstek nad przy krótką rękawiczką. Z tyłu słyszałem kroki taty, który trzymał nasadę pnia. Bałem się, choć tata mówił, że wszystko będzie w porządku. Ale mam osiem lat, więc to chyba nie taki wstyd bać się w tym wieku?

Obok nas szedł ochroniarz, facet wielki jak słoń. W swoim berecie, spod którego wystawały czerwone od mrozu uszy, naprawdę przypominał mi słońca. W dodatku nogi miał grube jak kloce i przestawiał je ociężale, niczym dwa dźwigary. Tylko trąby mu brakowało.

Za to miał pistolet.

Mijałiśmy mnóstwo ludzi, wielu patrzyło w naszą stronę i wtedy bałem się jeszcze bardziej. Na szczęście ochroniarz chyba też to widział, bo co pewien czas, niby od niechcenia, podnosił wyżej rękę, tę, w której trzymał pistolet, i to tak, żeby nie sposób było tego nie zauważyć.

To był legalny ochroniarz i miał zezwolenie na broń. Za tę godzinę, którą nam poświęcił, tata zapłacił prawie tyle co za choinkę. Ale powiedział, że warto i ja mu wierzyłem. Gdy

mama wspomniała coś o wydatkach, tata pokazał jej tylko szramę na swoim policzku i był spokojny. Co prawda, tę szramę tata zrobił sobie sam, gdy kiedyś przewrócił się ze słoikiem w rękach, ale pokazując ją, miał na myśli inną bliznę, tę naszego sąsiada, znacznie większą, pamiątkę sprzed kilku lat, podobno wyniesioną z bójkę o choinkę. W dodatku zabrali mu ją wtedy. Jak widać, można przeżyć Święta bez choinki, bo sąsiad do dzisiaj cieszy się dobrym zdrowiem.

Pewnie, że można.

Sami to kiedyś zrobiliśmy.

Nam się udało. Ale wielu jest takich, którym się nie poszczęściło. To znaczy: wielu takich było.

Każdego roku.

Zobaczyłem nasz dom i od razu przestałem się bać.

Nasza ulica jest bardzo spokojna i nawet gdyby ktoś teraz próbował odebrać nam choinkę, z pewnością mogliśmy liczyć na pomoc sąsiadów. Śnieg prawie przestał padać, ledwie prószyl, jakby wcześniej specjalnie nas osłaniał, byśmy bezpiecznie wrócili do domu.

W oknie zobaczyłem mamę i moją pięcioletnią siostrę, Hanię - zapewne przez cały czas wypatrywały nas niecierpliwie - i poczułem się jak bohater. Podniosłem do góry rękę, tę, w której trzymałem czubek choinki, i pokiwałem im. Hania odmachnęła radośnie.

- Uważaj, bo połamiesz! - krzyknął tata, ale wiedziałem, że tak naprawdę wcale nie jest zły. Myślę, że w takich chwilach też czuje się jak bohater, tylko wstydzi się do tego przyznać.

Przy furtce tata rozliczył się z ochroniarzem i pożegnali się, podając sobie ręce.

- Wesołych Świąt! - Ochroniarz wyciągnął i do mnie swoją wielką dłoń. Uścisnąłem ją, a wtedy on zamachał swoimi wielkimi uszami. Słowo daję, że to zrobił! Może troszeczkę, tak ledwo ledwo, ale zrobił to!

Potem odmaszerował ciężkim krokiem słońca, a zmrożony

śnieg skrzypiał pod jego butami. Mówił, że ma jeszcze dzisiaj dużo pracy. Wyobrażam sobie! Każdy by chciał, żeby jego drzewko ochraniał gość o takim wyglądzie.

Odkąd pamiętam, choinkę zawsze ustawialiśmy w salonie na dole. W tym roku nie była duża, tylko troszeczkę większa ode mnie, lecz tata powiedział, że dla naszej czwórki wystarczy. Będzie może trochę ciasno, ale wystarczy.

- To miejsce jest najlepsze - stwierdziła mama, przyglądając się stojącemu w rogu pokoju drzewku. - Daleko od okna, a szafa doskonale zasłania dostęp z prawej strony. Trzeba podłożyć wykładzinę.

- Spokojnie, spokojnie - odparł tata. - Do jutra jeszcze dużo czasu.

- Tak, dla ciebie. Dla ciebie na wszystko jest dużo czasu.

- W porządku. - Machał ręką, jakby odganiał jakąś natrętną muchę. - Już ją rozkładam.

- Nie powinieneś brać Przema po tę choinkę.

Taka jest moja mama; jak się rozkręci, trudno ją zastopować.

- Niech się chłopak uczy.

Lubię tatę. Gdyby nie tata, nic bym nie mógł robić.



Nigdy nie starcza choinek dla wszystkich. Zapytałem tatę dlaczego, a on odparł, że tak to już jest na tym świecie. Na niektóre sprawy mamy wpływ, a na niektóre nie. Nie rozumiałem tego.

- A jak jest w innym świecie, tato? Lepiej?

Popatrzył na mnie, trochę jakby ze smutkiem, ale potem uśmiechnął się.

- Nie wiem dokładnie - rzekł. - Skąd mam wiedzieć?

A jednak coś wiedział, bo dodał po chwili:

- Mówi się, że tam Święta to symbol spokoju. Bezpieczeństwo.



- A Święty Mikołaj?

Pogłaskał mnie po głowie, jakbym był jakimś dzidziusiem.

- Nie wiem. Może go nie ma?

Nic więcej nie chciał powiedzieć, lecz zrozumiałem, że tam zawsze starcza choinek dla wszystkich, którzy ich potrzebują...

Najgorzej było w zeszłym roku. To była pewnie wina taty, że zabrakło dla nas choinki. Nikt tego głośno nie powiedział, ale przecież to on na każde Święta zajmuje się jej zdobyciem. Wyciągnęliśmy wtedy z piwnicy sztuczną choinkę, nigdy dotąd nieużywaną, przechowywaną na wszelki wypadek. Na taki właśnie jak wtedy. Miała plastikowe igły zielonego koloru, lecz od razu dało się poznać, że to nieprawdziwa zieleń, jest zbyt soczysta. W ogóle cała choinka wyglądała jak pomalowana, ale przynajmniej była duża, sięgała aż do sufitu. Hania, dla której rok to kupa czasu i zawsze zdąży zapomnieć o zeszłych Świętach, cieszyła się tak, jak cieszyć się może tylko taka pięcioletnia ofiara losu. Jak to podsumował kiedyś Muminek: nie rozumiała powagi sytuacji.

Prawdę mówiąc, i mnie się podobała, szczególnie już ubrana, z mnóstwem kolorowych lampek na gałęziach. Tyle że nie pachniała. Mama miała specjalny zapachowy płyn we flakoniku, ale trzymała go w zamknięciu do czasu przybycia Świętego Mikołaja.

A on nie przybył.

Mieliśmy niebywałe szczęście. Nie wiadomo, czy dałby się nabrać na tę sztuczną choinkę, oblepioną do przesady watą i anielskim włosiem, poharataną przez tatę z jednej strony, żeby nie była taka równa. Nieraz zdarza się, że Święty Mikołaj do kogoś nie przychodzi, ale trzeba fartu, żeby nie przybył akurat wtedy, gdy na jego przyjęcie nie jesteś należycie przygotowany.

Za to tego roku byliśmy przygotowani. Na długo przed zapadnięciem zmroku nasza choinka stała dumnie na swoim miejscu, obwieszona delikatnymi bombkami oraz ozdobami wykonanymi przeze mnie i przez Hanię. Na samym czubku

Isniła złota gwiazda.

Stała na podwyższeniu, a pod nią, na miękkiej, miłej w dotyku wykładzinie leżał kocyk i cztery niewielkie poduszki.

Jak powiedziałem, byliśmy przygotowani.

Lecz nie oznacza to wcale, że nie było nam potrzebne szczęście.



Wypatrywaliśmy pierwszej gwiazdki. Na wszelki wypadek szukałem na niebie zaprzężonych w renifery sań Święty Mikołaja. Uważałem, że gwiazdę można przegapić - na przykład może ją akurat przesłonić jakaś chmura - a przecież w gruncie rzeczy i tak wypatrujemy jej tylko po to, żeby wiedzieć, że Święty Mikołaj wyruszył już w drogę. Razem z Hanią biegaliśmy od jednego okna do drugiego, zadzieraliśmy do góry głowy, ale niczego nie było widać. Rodzice siedzieli przy nakrytym odświętnie stole, którego centralne miejsce zajmował zegar.

Ten zegar na pewno dokładnie odmierzał czas. Jak co roku, był świeżo po przeglądzie u zegarmistrza.

Mama z tatą dokładnie wiedzieli, o której godzinie na niebie pojawi się pierwsza gwiazda, zawsze była punktualna, ale ja z Hanią i tak robiliśmy swoje. No bo co by się stało, gdyby w tym roku Święty Mikołaj przybył wcześniej?

- Już czas - powiedziała mama i wstała od stołu.

Twarz miała poważną, wiedziałem, że się boi, choć próbowała tego nie okazywać, pewnie ze względu na nas.

- Na niebie jeszcze nie ma gwiazdki! - zawołała Hania.

- Może rzeczywiście jeszcze trochę... - zaczął tata, ale mama nie dała mu skończyć.

- Czas! - powtórzyła z naciskiem i tata podniósł się, nie mówiąc już nic więcej.

Pierwsza wsunęła się mama. Zahaczyła włosami o bombkę,

która zerwała się z gałązki i spadła na podłogę. Na szczęście się nie stukła, choć - z drugiej strony - to podobno dobry znak.

Choinka stała na specjalnie przygotowanym stojaku, ale i tak było pod nią bardzo mało miejsca. Tata dał znak Hani, która na czworakach, niczym biegnące zwierzątko, dołączyła do mamy.

Potem wpełzliśmy ja i tata. Ułożyliśmy poduszki, żeby było nam wygodnie. Nigdy nie wiadomo jak długo przyjdzie siedzieć pod choinką. Mimo wszystko nie było wygodnie, więc zamieniliśmy się: ja poszedłem do mamy, a Hania do taty. Hania zaczęła grymasić, bo kilka kłujących igieł wleciało jej za kołnierz. Ledwie zdążyliśmy się usadowić, gdy coś zadzwoniło. Najpierw cichutko, jakby z oddali, a potem tuż-tuż, jakby ktoś nad samym uchem potrząsał garścią miniaturowych dzwoneczków.

Mama miała rację, że tak nas popędzała.

W tym roku Święty Mikołaj miał na nosie okulary. Nie przypominam sobie, żeby nosił je w poprzednich latach, albo po prostu zapomniałem. A może jest ich kilku?

Ubrany był jak zawsze, cały w czerwieni, z śnieżnobiałymi wykończeniami na rękawach i obrzeżach kaptura. Gęsta broda zakrywał mu pół twarzy, lecz i tak było widać jego duży, czerwony nos, rumiane policzki i niebieskie oczy, łagodne i wesołe. Pomachał do nas, uśmiechając się zachęcająco, ale widząc, że nie wychodzimy spod choinki, wyraźnie posmutniał.

- Chyba płacze - szepnęła Hania.

- Ciii... - Tata delikatnie położył dłoń na jej ustach.

Święty Mikołaj westchnął, pokiwał głową, jakby chciał pokazać, że rozumie naszą sytuację i że wcale się nie gniewa, po czym zdjął z pleców swój wielki wór i zaczął wyciągać z niego pakunki. Wszystkie pooplatane były kolorowymi wstążkami z napisami. Wytężyłem wzrok i zobaczyłem, że to nasze imiona, moje i Hani, a na jednym przeczytałem nawet *Dla MAMY*. Każdy pakunek miał jedną ściankę przezroczystą, przez którą można było zobaczyć, co jest w środku.

I zobaczyliśmy.

Nie sposób wymienić wszystkiego, co znajdowało się w tych paczkach. Powiem tylko, że jeśli chodzi o mnie, to gdybym miał choć połowę z tego, co widziałem, byłbym najszcześliwszym chłopcem na świecie.

A Święty Mikołaj wciąż wyciągał nowe prezenty, jego worek musiał być zaczarowany, bo sterta, która wyrosła obok, dawno już przekroczyła jego pojemność. Za każdym razem potrząsał kolejnym pakunkiem, uśmiechał się i machał zachęcająco w naszym kierunku.

Lecz my siedzieliśmy cicho. Jak myszy pod miotłą.

A potem Święty Mikołaj przestał się uśmiechać. Wyprostował się i przez dłuższy czas patrzył prosto na mnie, nieruchomy, można by pomyśleć, że zamienił się w kamień. Nie mogłem oderwać od niego oczu, chyba w jakiś sposób udało mu się mnie zahipnotyzować, na szczęście nie na tyle jednak, bym zdołał się wyrwać z objęć mamy, zaciskającej wokół mnie ramiona aż do bólu. Myślałem już, że nigdy nie przestanie; oczy bolały coraz bardziej, nie mogłem nawet ich zamknąć, dopiero mama zorientowała się, w czym rzecz, i szybko nakryła je dłonią.

Gdy ponownie odsłoniła mi widok, zobaczyłem, że Święty Mikołaj stoi tuż przed nami, z szeroko rozpostartymi ramionami. Nie patrzył już na mnie, ale dopiero teraz poznałem, co znaczy prawdziwe przerażenie. Teraz, gdy wystarczyło tylko nieznacznie wyciągnąć rękę, aby go dotknąć.

Skurczybyk.

Sprawdzał choinkę.

Gdyby była sztuczna, już byłoby po nas.

Potem Święty Mikołaj pozbiierał wszystkie swoje wspaniałości i powrzucał z powrotem do worka, połykającego je niczym jakiś nienasycony smok. Odszedł bezszelestnie, przenikając przez szybę okna, i nawet nie obejrzał się za siebie, jakbyśmy nigdy wcale go nie obchodzili. Przez sekundę jeszcze jakiś

czerwony cień wisiał w powietrzu, a nim zniknął, wypadł z niego pojedynczy pakunek. Odbił się od parapetu, upadł na podłogę i przekoziółkował w naszą stronę. Gdy się zatrzymał, jego przezroczysta ścianka skierowana była dokładnie w stronę choinki. Wszyscy widzieliśmy zapakowanego w środku wielkiego pluszowego misia.

*Dla Hani*, przeczytałem na szarfię i chyba przeczytałem to na głos, bo nagle Hania wyrwała się tacie, z wyraźnym zamiarem przyjęcia prezentu. W ostatniej chwili tata złapał ją za nogę i wciągnął z powrotem pod choinkę. Z góry posypał się deszcz ozdób. Tym razem kilka bombek potłukło się. Wiedziałem, że mama będzie zła - teraz jeszcze tego nie okazywała, ale na pewno będzie.

- Musimy poczekać do północy - tłumaczył tata, jednak mógł sobie tłumaczyć, Hania i tak rozpaczła nad tym misiem, jakby utraciła najlepszego przyjaciela.

- Bo Święty Mikołaj może wrócić - powiedziałem, może głupio. Nie słyszałem jeszcze, żeby kiedykolwiek przychodził dwa razy tego samego wieczoru, ale myślałem, że to ją uciszy. Pomyliłem się. Rozwyła się jeszcze bardziej. Naprawdę dziwaczna jest ta moja siostra.

Czekaliśmy i czekaliśmy. Czas dłużył się niemiłosiernie. Wiele razy miałem wrażenie, że zegar, stojący na udekorowanym stole, zepsuł się, bo najwyraźniej jego wskazówki stoją w miejscu, lecz oczywiście wcale tak nie było. Hania w końcu uspokoiła się i zasnęła. Ja nie mogłem zasnąć. Po raz nie wiem który oglądałem misia, leżącego zaledwie dwa metry ode mnie i stwierdziłem, że podoba mi się coraz bardziej. Miał jasnobrązowe futerko, białą łatę na brzuszku i niezwykle sympatyczne ryło. Fajnie byłoby mieć takiego misia. Szkoda, że na szarfię nie jest napisane *Dla Przema*.

Jednak zasnąłem.

Obudził mnie tata.

- Za pięć dwunasta!

Hania przecierała zaspane oczy. Wyglądała tak, jakby nie wiedziała, na jakim świecie żyje. Jak to Hania.

- Uważajcie, dzieciaki! Nie bójcie się!

Na przekór własnym słowom, tata przytulił Hanię do siebie i schował jej głowę w swoich ramionach. Mama chciała zrobić to samo ze mną, ale powiedziałem, że nie jestem małym dzieckiem.

Huknęło, jakby cały dom rozleciał się w kawałki.

We wszystkich oknach posypały się szyby, meble wyfrunęły w powietrze, a zastawiony potrawami stół roztrzaskał się o ścianę. Nasza świąteczna kolacja wbiła się w nią tak bardzo, że potem tata musiał zeskrobywać ją razem z tynkiem. Oczywiście, musieliśmy kupić nowy zegar.

Tylko na naszej choince nie drgnął nawet jeden anielski włos, nie zakołysała się żadna bombka. Również my, skuleni pod nią, ja, mama, Hania i tata, nie odczuliśmy nic, jakbyśmy tkwili w jakimś niewidzialnym bąblu.

Po misiu nie pozostał najmniejszy ślad. Zapewne wybuch rozniósł go w pył. Podczas sprząwania znalazłem, co prawda, jakiś biały kawałek, jakby fragment oka, ale równie dobrze mógł to być odprysk z talerza. Dałem go Hani, należał się jej. W końcu na szarfie wyraźnie napisano, że to dla niej ten prezent.

Gdy wyszliśmy spod choinki, bolały nas wszystkie kości. Lecz najważniejsze, że wizytę Świętego Mikołaja mieliśmy już za sobą. Wesołych Świąt! Aż do następnego roku.

Zostali jeszcze wprawdzie Kolędnicy, ale to już małe piwo. Wystarczy dobrze się uzbroić, zaryglować drzwi i po prostu nie wpuścić ich do domu.

Gdzie tam Kolędnikom do Świętego Mikołaja!

## PP HADES

**B**ogusław Mazur był bardzo zmęczony. Zegar pokazywał dwudziestą trzecią, a wciąż nie widać było końca sterty dokumentacji, przez którą się przekopywał. Nie miał pojęcia, że prowadzenie przedsiębiorstwa - monobranżowego, bądź co bądź - wymaga tylu kilogramów papieru. Z prawej strony czarnego jak smoła biurka gromadził dokumenty, których treść wydawała się zrozumiała, przynajmniej z grubsza. Na lewo rzucał te, które, co prawda, zadrukowano wyrazami brzmiącymi znajomo, lecz połączone w zdania brzmiały bez sensu. Były to głównie formularze dla Urzędu Skarbowego i Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Ten ostatni - jak mawiał świętej pamięci Waldemar Legnicki - tym bardziej szedł w zaparte, im więcej milionów wydawał na bezskuteczną poprawę działania systemu informatycznego.

Legnicki odszedł był z tego padołu już przed tygodniem, a Mazur wciąż nie mógł połapać się w bałaganie. Ale nie narzekał. W gruncie rzeczy był szczęśliwy. Od pięciu lat harował za psi grosz, w przekonaniu, że jego wysiłki nie zostają doceniane (choć w gruncie rzeczy stał się prawą ręką szefa), aż tu po otwarciu testamentu okazało się, że nieboszczyk przepisał mu firmę. Nieźle prosperujący zakład z szyldem:

**Przedsiębiorstwo Pogrzebowe  
HADES**

Pozo- stało jeszcze do załatwienia mnóstwo formalności, aby - mimo jasnego testamentu - stać się rzeczywistym posiadaczem zakładu. Na szczęście Legnicki żył samotnie i nikt z rodziny nie upomniał się o swoje spadkowe prawo, wydawało się więc, że wszystko jest na dobrej drodze.

Mazur przeciągnął się leniwie, rzucając krótkie „Dosyć na dziś!”, kiedy zaczął szczekać pies Huckleberry, nazwany tak na cześć nieocenionego bohatera kreskówki Hanna Barbera, choć był tylko zwykłym, podwórkowym kundlem. Legnicki przywiózł go swego czasu ze schroniska, ponieważ ktoś włamał się do kapliczki i zdjął z klientki biżuterię, w której rodzina zdecydowała się nieboszczkę pochować. Wcześniej kilkakrotnie ginęły kwiaty, ale nikt nie robił z tego afery. Jednak złota biżuteria to zupełnie inna sprawa.

Mężczyzna, który obecnie leżał w kaplicy (jakiś Gadomski czy Gadowski, strażnik zastrzelony podczas napadu na muzeum) nie miał nawet obrączki, lecz złodziej nie mógł przecież o tym wiedzieć.

Pies szczekał coraz zacieklej. Zaniepokojony Mazur wyciągnął z szuflady pistolet wiatrówkowy Walther CP. Kiedyś Legnicki starał się o pozwolenie na prawdziwą broń, ale dostał odpowiedź odmowną, więc kupił śrutowy 4,5 mm, niewymagający zezwolenia. Potem przepisy się zaostrzyły, takie wiatrówki stały się nielegalne, ale nikt się tym specjalnie nie przejął. Przepisy ponownie mogły się zmienić, pewnie nawet już się tak stało, i zapomnianego walthera można było użyć zgodnie z prawem, co zresztą w tej chwili Mazura niewiele obchodziło. Jeśli miało do czegoś dojść, z pełną świadomością popełnianego czynu zamierzał przestrzelić tyłek włamywacza wszystkimi ośmioma pociskami.



Kaplica znajdowała się po przeciwnej stronie podwórza. Było pusto i nie wyglądało na to, żeby drzwi zostały wyłamane. Wielki, połączony krzyż lśnił w ciemnościach, jakby sam z siebie emanował światłem.

- Hak! - półgłosem przywołał psa, który podbiegł, machając ogonem, zaraz jednak powrócił pod namalowany krzyż, z sierścią nastroszoną jak jeżozwierz. Już nie szczekał, za to warczał, z wyraźnym niepokojem przysuwając się do drzwi, to znów od nich odskakując.

Mazur sprawdził, czy w pistolecie tkwi gazowy nabój zasilaający. Był. Ostrożnie podszedł do wejścia i nasłuchiwał. Huckleberry miał rację. Ktoś myszkował w kaplicy. Wyraźnie słuchać było stuki i szelesty. Mężczyzna przez chwilę zastanawiał się, co robić. Wezwać policję? Po namyśle doszedł do wniosku, że sam załatwi sprawę. Hieny lubią się mścić. Poza tym, do cholery, jest się właścicielem zakładu czy się nim nie jest?!

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął klucz. Powoli włożył go do zamka i przekręcił. Na szczęście Huckleberry znów zaczął szczekać, zatem zgrzyt był niemal niesłyszalny. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi; nikłe światło wtargnęło do wnętrza, rzucając wydłużone cienie. Powiało zapachem kwiatów i woskowych świec.

Pies ucichł w jednej chwili.

Trumna była otwarta. Drewniane wieko leżało na posadzce.

Mazur zamarł, nerwowo lustrując pomieszczenie. Prócz otwartej trumny nie zobaczył nic podejrzanego. Wcześniejsze hałasy ucichły, może nie stąd dobiegały? Huckleberry zaszkomlał, poza tym cisza. Nikogo. Chyba... chyba że intruz ukrył się za imitującym ołtarzyk stołem, nakrytym białą narzutą?

- Kto tu? - zawołał półgłosem Mazur, a ozdobnie tynkowane ściany odbiły słowa niepokojącym echem.

Pożałował, że nie wziął latarki, ale nagle uprzytomnił sobie, że przecież może zapalić świecę. Wszedł do środka - pies za nim

krok w krok, niemal przyklejony do prawej nogi, z wciąż usztywnionym włosiem na karku. Przyłożył zapalniczkę do knota. Cienie zatańczyły zniecka, wydawało się, że ktoś skacze wprost na niego. Strach ma wielkie oczy. Mazur przyklęknął i pochylił się, niemal dotykając policzkiem podłogi. Obrus był krótki, więc mógł się przekonać, że za stołem też nie ma nikogo.

Raptowny głośny szelest poderwał go na nogi. Aż podskoczył z emocji, krew uderzyła do głowy. Zaokrąglone oczy mierzyły w otwartą trumnę. To stamtąd.

Powoli wypuszczał powietrze, jakby wydychał niewidzialny dym z papierosa. Czas mijał, a on stał w niezmiennej pozycji, niezdolny ruszyć z miejsca.

Szczury! Nagła ulga spłynęła ciepłym dreszczem przez zeszywniałe ciało. To pewnie cholerne szczury dostały się do kaplicy!

Miałby się z pyszna, gdyby ktoś zauważył, że w kaplicy są szczury. Koniecznie trzeba pomyśleć o deratyzacji.

Nieco uspokojony wziął do ręki świecę. Po kilku krokach żółte światło zajrzało do trumny. W żyłach Mazura krew zamieniła się w rtęć.

To nie były szczury!

Huckleberry przypadł do ziemi, z podwiniętym pod siebie ogonem, z uszami położonymi po głowie.

Nie szczury!

Szeleścił nieboszczyk.

Każdy przedsiębiorca pogrzebowy dobrze wie, czym są *arefleksja* i *vita minima*. Stan śmierci pozornej jest zjawiskiem niezwykle rzadkim, niemniej tkwi głęboko w społecznej świadomości, z przerażającymi (i fascynującymi) opowieściami o ludziach budzących się we własnym grobie, głęboko pod ziemią, skazanych na powtórny, tym razem prawdziwą, przerażającą śmierć. Stąd okres karencji; zwłoki muszą czekać przynajmniej trzy dni, nim można je pogrzebać.

Bogusław Mazur siedział już w swym fachu dobrych pięć lat, znał zasady i wiedział, na co należy uważać. Nigdy dotąd nie zetknął się z przypadkiem letargu, ale czy można to wiedzieć niezbitcie? Czy ktokolwiek wsłuchuje się godzinami w świeżo usypany grób? Stary Legnicki twierdził, że za Stalina nieraz chował ludzi, co do których stanu nie miał stuprocentowej pewności. Ale wtedy, podczas skróconej ceremonii, zawsze stał ktoś w czarnym skórzanym płaszczu i kapeluszu, kto taką pewność chciał mieć, i to jak najszybciej.

Te gorączkowe myśli przemykały przez umysł Bogusława Mazura, wciąż zastygłego w pół ruchu, jakby właśnie i jego dopadła arefleksja.

Postać w trumnie usiadła. Woskowa twarz - z zarostem wyglądającym jak powbijane w skórę druty - zwróciła się w stronę mężczyzny. Płomień świecy odbijał się w oczach koloru słoniowej kości.

To nie są oczy człowieka, pomyślał Bogusław, nie człowieka.

Niemożliwe!

- Chodź, Hak - powiedział do psa nadzwyczaj spokojnym głosem, wciąż wpatrzony w siedzącą w półmroku postać. Później, wspominając tę chwilę, nie mógł pojąć, skąd wziął się w nim ten spokój. Absolutne opanowanie.

Odwrócił się i wyszedł z kaplicy. Po prostu wyszedł, walcząc z sobą, żeby nie biec. Ludzie wierzą w duchy, to fakt. Ale przecież nie przedsiębiorcy pogrzebowi?!

- Nie my! - rzekł sam do siebie i od razu poczuł się pewniej.

Trzeba zadzwonić na policję! Oni go tu przywieźli, niech oni się martwią!

Wszedł do biura, pokrzepiony faktem, iż Huckleberry nie odstępował go na krok. Duchy nie duchy, zawsze raźniej człowiekowi, gdy ma przy sobie żywe stworzenie.

Podniósł słuchawkę telefonu i nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę, że w tym wypadku w ogóle nie może być mowy o

żadnym letargu. Nie chodzi nawet o to, że widział u nieboszczyka w klatce piersiowej dwie dziury po pociskach, które przecież osobiście owiżywał bandażem, nim nałożył papierową imitację koszuli. Rzecz w tym, że zwłoki przywieziono z prosektorium, gdzie dokonano sekcji. Można przeżyć prawie każdy rodzaj śmierci, zgoda. Ale nie sekcję własnych zwłok!

Ktoś zapukał do drzwi.

Słuchawka wysunęła się ręki mężczyzny, z głuchym stukiem upadła na biurko, ześlizgnęła się po krawędzi i zawisała tuż nad podłogą, kołysząc się na czarnym, rolowanym kablu. Bogusław Mazur poczuł pot, spływający ciurkiem po skroni. Nogi miał jak z waty. Gdyby nie to, że pies zaczął nagle szczekać, pewnie by zemdlał.

Pukanie powtórzyło się. Brzmiało zdecydowanie natarczywiej.

Przedsiębiorcy pogrzebowi nie wierzą w duchy. Oczywiście, że nie.

- Pro-szę - wy sylabizował nie swoim głosem. Cokolwiek miało się stać, nikt nie powie, że jest tchórzem.

Do biura weszło dwóch młodych mężczyzn w modnie skrojonych marynarkach. Jeden z nich miał nawet krawat. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w ogłupiałą minę świeżo upieczzonego właściciela zakładu.

- Zabierz pan tego kundla - powiedział ten w krawacie, próbując kopnąć ujadającego Huckleberry'ego.

- Hak, do nogi! - zawołał Mazur, któremu z piersi spadł wielotonowy ciężar. Wreszcie mógł swobodnie oddychać.

Ku jego zdumieniu pies posłuchał natychmiast, choć zazwyczaj miewał własne zdanie w tego rodzaju kwestiach i trzeba go było wiązać przy budzie. Widać przeżycia dzisiejszego wieczoru i na nim odcisnęły swe piętno.

- Bogusław Mazur? - zapytał osobnik bez krawata.

Choć różnego wzrostu, obaj przybysze byli do siebie w jakiś sposób podobni. Mieli tak samo wygolone włosy (na szlachet-

kę) i nijakie, bezbarwne spojrzenia. Nie wzbudzali sympatii, ale co tam sympatia! Widok zwykłych ludzi był wystarczającym darem niebios.

- Tak, to ja. - Wierzchem dłoni otarł zwilgotniałe czoło. - Czym mogę panom służyć?

- Pracujemy tak po nocy?

Młodzieniec w krawacie zbliżył się, lustrując wzrokiem biurko. Oczywiście zauważył rzucony obok telefonu pistolet. Drgnął zaskoczony. Przez moment w niespecjalnie inteligentnych oczach pojawił się wyraz dekoncentracji. Jednym skokiem znalazł się przy biurku, pochwycił walthera i uśmiechnął się półgębkiem.

- Spytałem się o coś! - krzyknął zaczepnie, z gniewnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - Mazur dopiero teraz zauważył prymitywny, atramentowy tatuaż na szyi, wyglądający spod szczelnie zapiętego pod szyją kołnierzyka. I sznyty na zewnętrznej stronie prawej dłoni. Powoli przestał uważać przybycie tych dwóch gości za szczęśliwe zrządzenie losu.

- Może usiądźmy - zaproponował zimno młodzian, bawiąc się pistoletem.

- Oczywiście. - Mazur wskazał na stojące nieopodal biurka krzesła dla klientów. - Ale... - zawahał się - zakład jest już zamknięty.

- A ochrona?

- Proszę?

- Co z ochroną? Nikt nie chroni firmy przed bandytami?

- Nie bardzo rozumiem... - Mazur starał się zachować kamienną twarz. Nie chciał, żeby zauważyli jego niepokój. Zaczął się bać, ale był to zupełnie inny rodzaj strachu niż ten w kaplicy; wcale nie paraliżował, nie obezwładniał panicznie umysłu. Jednakże - jak nieoczekiwanie stwierdził - z dwojga złego wolał już chyba tamten.

- Pana Legnickiego chroniliśmy. No, niezupełnie my oso-

biście. Organizacja. Czyżbyś nic o tym nie wiedział? - Osobnik w krawacie bez zmruczenia powieki przeszedł na „ty”.

Haracz, dotarło wreszcie do Bogusława. Oprychy beczelnie żądają haraczu! Czytał kiedyś w gazecie, że w Słupsku to nagminne, ponoć macza w tym palce mafia z Trójmiasta, lecz rzecz traktował trochę jako sezon na ogórki, dopóki przyjaciel Grześ nie założył internetowej kawiarenki i nie zamknął jej po tygodniu - choć dzień wcześniej twierdził, że zaczyna wychodzić na swoje. Nagabywany wyznał tylko, że nigdy nie poniży się, by płacić mętom haracz, i nabrał wody w usta. Przecież mogłeś zawiadomić policję? - powiedział mu wówczas Bogusław, lecz zamilkł natychmiast, napotkawszy wzrok przyjaciela. Zrozumiał, jak kompletnym jest idiotą, proponując podobne rozwiązanie.

- Nie miałem o tym pojęcia - rzekł pośpiesznie Bogusław Mazur, zgodnie z prawdą.

Zerknął na stertę papierów, leżącą na lewej stronie biurka. Przed oczami stanęła mu kartka w notesie, z nabazgranymi niezrozumiałymi znakami, wśród których tylko cyfry miały jakiś sens. Jeżeli to były kwoty, o których mowa, to, cholera jasna, w niezłe wdepnął bagno!

- Tego się obawiałem. - Młodzian westchnął. - Krótko mówiąc, przyszliśmy po kolejną ratę. Jeśli jej nie dostaniemy, szef załatwi nas na perłowo, ale możemy go udobruchać, gdy wcześniej załatwimy na perłowo ciebie. Czy to jasne?

- Jaki szef?

- Nasz wspólny. Twój również.

- Nie znam żadnego szefa! - rzekł buńczucznie.

- To oczywiste - skomentował zdumiony młodzieniec. - Jeszcze by brakowało, żebyś go znał...

- Kopidole jeden! - dodał ten bez krawata.

- Żebyś go znał, kopidole jeden! - podchwycił posłusznie partner.

Bogusław Mazur milczał. Siedział na krześle, sztywny jak

kołek, i szeroko rozwartymi oczami spoglądał gdzieś w dal. Zapewne obaj bandyci sądzili, że to ich ostra reprymenda sparaliżowała zastraszonego przedsiębiorcę, byli jednak w błędzie.

Mazur wpatrywał się w uchylone drzwi, niezamknięte przez nieproszonych gości. Tam, w mroku, ktoś stał.

Mazur dobrze wiedział kto.

- No to jak będzie? - zapytał bandyta, nieco zbity z tropu przedłużającym się milczeniem. - Zapomniałem powiedzieć, że mój partner oprócz tego, że lubi krzywdzić ludzi, jest piromanem. Niejedną budę puścił z dymem. No nie, Jacek?

- Faktycznie - padła z tyłu odpowiedź.

- Ale ja mogę go powstrzymać. Jeśli będziesz rozsądny i grzecznie odpalisz swoją działkę za ochronę.

Cisza.

- Czy ty mnie facet słyszysz?! - wrzasnął zniecierpliwiony młodzieniec. - Ogłuchłeś, czy co?

- On., już... ma... - rozległ się basowy głos.

Głowy obu opryszków wykonały gwałtowny obrót. Pies Huckleberry, dotąd powarkujący lękliwie, teraz zaskowyczał, jakby go ktoś uderzył. Wcisnął się głębiej pod biurko.

- Ma... ochronę... - dokończyła stojąca w progu postać. Po każdym słowie następowała półsekundowa przerwa, jakby mówienie sprawiało przybyszowi trudność.

Bandyta stojący bliżej drzwi odskoczył jak oparzony. Jego kolega cofnął się o krok i demonstracyjnie zważył w dłoni śrutowego walthera.

- A tyś kto? - spytał. Nerwowo splunął na podłogę. Z antypatycznej twarzy zupełnie zniknęła poprzednia pewność siebie.

Przybysz potraktował pytającego jak powietrze. Wszedł do biura, zamknął za sobą drzwi, a następnie dwukrotnie przekręcił obrotowy zamek.

- Gerda... - wykrztusił jedno słowo, ale wszyscy zrozumieli,

o co chodzi. Zamki typu „Gerda” po dwukrotnym przekręceniu dawały się otworzyć tylko od zewnątrz. Niektóre towarzystwa ubezpieczeniowe ustaliły nawet zniżkę za pewność, iż złodziej, który dostał się przez okno, nic przez drzwi nie wyniesie.

Bandzior nazwany przez swego towarzysza Jackiem wyciągnął z kieszeni nóż. Uwolniona sprężyna wypchnęła czter-nastocentymetrowe ostrze.

- Co to za popapraniec? - zwrócił się do Mazura.

Mówił prawie szeptem, przepadła gdzieś poprzednia arogancja, gdy nazywał gospodarza kopidołem. Nie sposób było nie dostrzec marmurowej cery niespodziewanego gościa, głęboko zapadniętych sinych oczodołów, a przede wszystkim oczu: prawie samych białek, poprzecinanych licznymi, krwawymi wylewami; tylko gdzieś spod górnych rzęs wylaniały się czarne plamy źrenic, z cienką na milimetr tęczówką - może dlatego wciąż trzymał głowę ku dołowi, jakby patrzył na świat spoде łba.

- To mój ochroniarz - podjął Bogusław Mazur.

Głos mu drżał, ale nie zamierzał darować skurwielom, choćby sam miał paść, rozszarpany przez jakiegoś pieprzonego zombi.

- Jeszcze krok i strzelam! - wrzasnął bandyta z waltherem.

Zenon Gadowski zwrócił ku niemu trupią twarz i zrobił zakazany krok.

Młodzieniec strzelił. Strzelał raz po raz, z czymś w rodzaju rozpaczki malującej się na twarzy, ponieważ przeciwnik zbliżał się, jakby hukano doń ślepakami. Dwa ostatnie strzały, siódmy i ósmy, oddał mierząc w głowę, wyraźnie widział dwie ranki, jakie pozostawił śrut, jedną na czole, drugą na policzku, ale nie wyglądało na to, żeby na mężczyźnie zrobiło to jakiegokolwiek wrażenie. Nawet nie leciała krew.

Bandyta cofał się coraz bardziej, aż wreszcie dotknął plecami ściany. Ze ściśniętym gardłem, jak zahipnotyzowany, wpatrywał się w makabryczne oblicze. Nagle potwór zatrzymał się. To



Jacek przyskoczył ze swym sprężynowcem i szerokim zamachem wbił go w plecy mężczyzny. Odsunął się i zamarł, czekając na efekt.

Z pewnością nie tego się spodziewał: nieboszczyk wciąż stał twardo na nogach, sprawiając wrażenie kogoś usiłującego przypomnieć sobie, co też dzisiaj miał kupić w tym sklepie? W końcu odwrócił się powoli i błysnął spojrzeniem białych, przekrwionych oczu.

- Przyjechaliście... samochodem...?

Bandyta przytaknął gorliwie, nerwowo kiwając głową raz za razem.

- Kto... jest... kierowcą...?

- On! - Skwapliwie wystawiony palec wskazujący mierzył w przyklejonego do ściany kolegę.

- No... to... masz... szczęście... A... ty... pecha.

Woskowa dłoń pochwyliła klapy eleganckiej marynarki i przyciągnęła postawnego mężczyznę, jakby był szmacianym manekinem, a nie człowiekiem z krwi i kości. Rozległ się wrzask, zagłuszający nieprzyjemny trzask łamanej kości.

Prawa ręka zawisła bezwładnie.

Potem kolejny wrzask. Lewa ręka.

Gadowski puścił swą ofiarę, która, jęcząc, osunęła się na podłogę. W zwolnionym tempie wykonał ponowny obrót, powracając niesamowitym spojrzeniem do pierwszego bandyty. Wbity w plecy nóż sterczał niczym jakiś makabryczny wieszak.

- Pistolet... - Rozkazująco wyciągnął przed siebie rękę.

Walther natychmiast spoczął w jego dłoni.

- Tobie... daruję... Jakoś... musicie... wrócić... samochodem...

Twarz bandyty dziwnie upodobniła się do twarzy prześladowcy, nabierając tej samej woskowskiej barwy. Wymruczał coś bełkotliwie, chyłkiem okrążył zwalistą postać i pochylił się nad półprzytomnym z bólu kumplem. Pomógł mu wstać, po czym powlekli się do drzwi.

- Gerda... - przypomniał Gadowski i wskazał na okno.

Posłuchali bez słowa, eks-strzelec uchylił jedno skrzydło i po chwili obaj zniknęli w ciemnościach.

Z dworu dobiegał szmer przejeżdżających samochodów, a otwarte okienne skrzydło lekko postukiwało na wietrze. Bogusław Mazur poczuł przebiegający przez plecy zimny dreszcz. Nie spuszczał oczu z mężczyzny, który nieoczekiwanie wybawił go z opresji. Zombi! - powtarzał w myślach, jak zacięta winylowa płyta z dawnych gramofonów. Zombi!

Wyglądało na to, że musi oswoić się z tą myślą.

Sam wygląd nieboszczyka nie budził w nim odrazy. W swojej karierze pracownika zakładu pogrzebowego przysposobił do ostatniej na tym świecie podróży setki zwłok. Wiele z nich było w znacznie gorszym stanie. Na przykład pewien topielec rok temu, który zaginął zimą, a odnalazł się dopiero w kwietniu. Łyżwy, które miał na nogach, zdążyły całkiem zardzewieć. W porównaniu do niego ten tutaj był Bradem Pittem.

Prawdę mówiąc, Mazur uważał, że w wypadku Zenona Gadowskiego odwalił kawał solidnej roboty. Nie pożałował nawet płynnej gliceryny, którą wstrzyknął pod kości policzkowe, niwelując efekt zapadniętych policzków. Niejeden mąż, wracający po nocy do domu, prezentował się gorzej, a mimo to jego żona wcale nie umierała ze strachu.

No! Tylko te oczy! Ale co tam. Zawsze można nałożyć facetowi ciemne okulary. Najlepiej lustrzanki.

Zorientował się, iż rozważa sytuację z czysto zawodowego punktu widzenia. Może to i dobrze. Nie można dać się zwiariować. Otóż to!

- I co teraz? - odważył się zapytać, wciąż woląc patrzeć w jednorazowy czarny garnitur niż w twarz zwałistej postaci.

- Mogę... zostać...? Jako... ochroniarz.

Zaskoczony pytaniem Mazur mrugał nerwowo powiekami. Znikły dreszcze, dotąd uporczywie testujące nerwy czuciowe pleców.

- Czy ty wiesz, kim jesteś? - wydukał, usiłując powstrzymać ogarniającą go histeryczną wesołość.
- Wiem... - odpowiedział krótko zombi.
- Wydaje mi się, że jednak...
- To... dobre... miejsce... dla... takiego... jak... ja.

Mazur usiłował zebrać myśli. W jednej chwili odechciało mu się śmiać. Powstało pytanie, czy podobna propozycja jest w ogóle możliwa do odrzucenia?

Nagle uchylone okno otworzyło się szerzej. Nad parapetem pojawiła się ogolona „na szlachetkę” głowa.

- Zobaczmy, co powiesz na to! - wrzasnął bandzior, demonstrując beretkę, którą wyjął z samochodowej skrytki. - To już nie śrutowa zabawka, pieprzony Frankensteinie!

Bogusław Mazur rzucił się na ziemię. Ukryty za biurkiem podrygiwał raz za razem, gdy padał kolejny strzał. Wreszcie zapadła cisza. Po dłuższej chwili mężczyzna odważył się wysunąć głowę ponad blat biurka. Zombi stał przy oknie, z uniesionymi na wysokość piersi rękami. W zaciśniętych dłoniach trzymał coś, co przypominało szamoczącego się na huraganowym wietrze stracha na wróble, odzianego w modnie skrojoną marynarkę.

- Zenon, nie! - krzyknął Mazur, przypomniawszy sobie nagle pełne dane mężczyzny. Zenon Gadowski, urodzony 16 lipca 1952 roku, zmarły 22 sierpnia 2002 roku.

- Pan zobaczy, co on mi zrobił - poskarżył się zombi. Nieoczekiwanie zaczął mówić płynnie, choć nadal trochę niewyraźnie. Odwrócił się w stronę Mazura i bezlitośnie przeciągnął stracha na wróble przez parapet. Beretta wysunęła się z bezwładnej dłoni i upadła na podłogę.

Na piersi Gadowskiego znajdowało się kilka wielkich jak pięćdziesięciogroszówka otworów. Przestrzelona dolna szczęka osłaniała pogruchotane zęby. Z dziury pośrodku czoła wylewała się jakaś szara maź. Cokolwiek by powiedzieć o skowyczącym w tej chwili, oszalałym z przerażenia bandziorze - strzelcem był

niezłym.

- Co mam zrobić z tym łajnem? - spytał zrozpaczony zombi.

- Puścić - rzekł pośpiesznie Mazur.

- Ale...

- Wszystko ci załatam. Naprawię. Nie takie szczątki składałem, nic się nie martw.

- Tak jest, szefie - powiedział Zenon Gadowski i puścił ciężar, który jak bela krawieckiego materiału przetoczył się po parapecie i fajtnął na drugą stronę okna.

- I przekaz swojemu capo di tutti capi, że PP HADES ma już swojego ochroniarza! - krzyknął w stronę kuśtykającej postaci. - I że w Słupsku niektórych nie da się załatwić. Ani na perłowo, ani w żaden inny sposób!

- Frajerze jeden! - dodał Bogusław Mazur.

# MARTWY MĘŻCZYŻNA

**R**az-dwa. Kołysanie. Jak wahadło zegara. Raz-dwa. To przez ten przeciąg. Na strychu ktoś zostawił otwarte okno.

Raz-dwa. Ciało na sznurze. Raz-dwa.

Z nasączonych przeciwgrzybicznym preparatem desek wystają ostre końcówki zardzewiałych gwoździ. Przytrzymują blachę na dachu. Dach jest spadzisty, nachylony pod dość ostrym kątem, wzdłuż przeciwległych ścian domu niemal styka się z podłogą, ale tu, pod zwieńczeniami krokwi, jest wysoko. Wystarczająco wysoko, by w trakcie kołysania nie zahaczało się o nic nogami. Będzie ze trzy metry. Między belkami wisi pajęczyna. Rozłożysta i gęsta. Dwa pająki ślizgają się po przędzy. Jedna sieć, a dwóch gospodarzy. Na strychu jest dużo miejsca, ale one upodobały sobie ten sam kąt. A może to nie kwestia wyboru, lecz praw rządzących życiem owadów?

Znowu podmuch. Do kołysania dochodzi powolne wirowanie. Zmiana pozycji jest pewną atrakcją - widać inną część strychu. Stare kuchenne meble, zlewozmywak, sterta cegieł. Jakies worki. W środku są... ubrania.

Stare zimowe rzeczy. Niesamowite, że pamięta się takie szczegóły. Ale to dobrze. To bardzo dobrze.

Może nie wszystko stracone.

Tymczasowy problem polega na tym, że kobieta, która przychodzi podlewać kwiaty, jest gapowata. Kilkakrotnie przechodziła przez hol, pod otwartą klapą strychu i ani razu nie spojrzała w górę. Żeby choć raz rzuciła okiem, tak mimochodem, ale nie: podlewa te swoje kwiatki, nalewa do konewki świeżej wody do odstania i wychodzi, zamykając starannie oba zamki.

Jest obca. W swoim własnym domu człowiek nigdy nie zamyka drzwi tak starannie jak u obcych. Różańska. Tak brzmi jej nazwisko. Mieszka po drugiej stronie ulicy.

Znów okręciło go tak, że patrzył wprost w pajęczynę. Jej owadzi właściciele gdzieś się schowali. A może pozagryzali się wzajemnie? Szkoda, jeśli przegapił takie widowisko. Mogło to być jedyne ciekawe wydarzenie od trzech dni. Od Skoku ze Skoczni, a także od czasu, kiedy tamten facet tak paskudnie się powiesił - mniejsza o to, że paskudnie, najgorsze, że akurat w kluczowym momencie. Jakby nie mógł poczekać tych kilku sekund, aż jego świat i tak się skończy.

Zięba, przypomniał sobie. Nazywał się Zięba! Właśnie tak. Trzeba rozmyślać, a wspomnienia pojawiają się same - takie jak te teraz, kiedy widzi ręce chwytające drabinę. Potem wspinaczka, odchylenie klapy i zakurzony strych, wyłaniający się z półmroku. Sznur już zwisa z belki. Zawieszony dawno temu, służył do wciągania ciężkich przedmiotów. Teraz dostał swój ostatni ładunek.

Nie pamiętał, co myślał Zięba w tych swoich ostatnich chwilach. Widział tylko wykonywane czynności, rejestrowane żywymi jeszcze oczami. Potem na jakiś czas zapadła ciemność.



Katarzyna Różańska wyciągnęła z kieszeni fartucha klucze i otworzyła oba zamki. Właściwie mogła dzisiaj nie przychodzić, kwiaty podlała wczoraj. Ale Różańska nudziła się. Odkąd mąż

pozostawił ją samotną, z wystarczającym zabezpieczeniem finansowym, by nie musiała pracować, często się nudziła. Zwłaszcza podczas nieobecności najbliższej sąsiadki, z którą można poplotkować. Ale za to ma okazję nieco się porozglądać. Nie żeby grzebała po szufladach, broń Boże. Najwyżej troszeczkę. Tak dla sprawdzenia, czy wszystko jest w porządku.

Pamięta, jak przed pięcioma laty znalazła w schowku z kamerą kasetę wideo i puściła ją sobie na przestarzałym odtwarzaczu. Ziębowie gdzieś wtedy wyjechali, tak jak teraz, więc mogła to zrobić w ich domu. Obejrzała film porno. Nie byłoby w tym nic specjalnie sensacyjnego, gdyby nie pewien szczegół - aktorami okazali się Ziębowie. Po prostu sfilmowali się podczas uprawiania seksu. Różańską aż kolnęło pod brzuchem, kiedy to zobaczyła. Oczywiście nie pisnęła słówkiem, ale kiedy plotkują sobie czasem, a Adelina Zięba siedzi na kanapie i wcina ciasteczka - widzi nagle jej grube ciało zupełnie nagie, ciasteczko natomiast nie jest już wcale ciasteczkiem.

Poczuła na twarzy lekki podmuch. Gdzieś jakby wieje. Może...

Może strych...?

Odruchowo zadarła głowę.

Zastygła z otwartą buzią, wpatrzona w męskie półbuty; czarne, sznurowane lakierki, które kołysały się nieznacznie w kwadratowym otworze stropu. Minęła dobra chwila, nim Różańska wreszcie wciągnęła do płuc powietrze. Odchyliła się, co pozwoliło jej dostrzec więcej. Nad lakierkami były spodnie, pasek z posrebrzaną klamrą...

Odchyliła się jeszcze bardziej.

- O Boże!

Na przywiązanym do belki sznurze wisiał Zięba.

Zaciśnięta na szyi pętla nienaturalnie wykręcała jego głowę. Ogromny napuchnięty język wystawał z ust, niczym larwa jakiegoś robala. Niespodziewanie noga wisielca poruszyła się. Jakby próbował zrobić krok, lecz nie znajdował pod stopą

oparcia.

Nagły impuls odblokował Katarzynę Różańską. Wrzeszcząc, rzuciła się do drzwi, roztrzęsionymi rękami szamotała się z klamką i w końcu udało się jej wydostać na zewnątrz.



Starszy posterunkowy Ryszard Korotko w milczeniu przyglądał się, jak pakują ciało Zięby do samochodu. Było z tym wszystkim trochę zachodu. Lekarz, który przyjechał karetką, stwierdził zgon i nie chciał zabrać ciała. Trupów nie bierzemy, to karetka reanimacyjna, stwierdził krótko i trudno było dyskutować z tak oczywistą logiką.

Ale coś należało zrobić. Zięba nie żył od około osiemnastu godzin, przez cały czas wisiał na rozgrzanym strychu i nie było nikogo, kto mógłby się nim zająć. Jego żona spędzała urlop gdzieś nad morzem i nie wiadomo, jak szybko zdoła ustalić się miejsce jej pobytu. Będzie miała przykry powrót do domu. Korotko otarł pot z czoła i przeniósł wzrok na stojącą przy nim Katarzynę Różańską.

To był pierwszy nieboszczyk Korotki. Tak to określał w myślach: mój pierwszy nieboszczyk. Korotko miał dwadzieścia trzy lata i niewielkie doświadczenie. Jego szef był akurat na urlopie, a ponieważ na posterunku było ich tylko dwóch, on i Kowalik, jemu, jako młodszemu, przypadła w udziale niewdzięczna rola.

Podczas stażu Korotko miał już do czynienia z truposzami, lecz teraz to było zupełnie coś innego. Musiał postawić na protokole własny podpis. Samodzielnie ocenić zdarzenie i odpowiednio je zakwalifikować. Dobrze chociaż, że sprawa wyglądała na oczywistą. Lekarz stwierdził samobójstwo, potwierdzały to oględziny miejsca zdarzenia, a przede wszystkim znalezione w kieszeni wisielca list pożegnalny.

Niemniej i tak musi spisać zeznania tej Różańskiej.



- Chodźmy - skinął kobiecie głową i wszedł na schody.  
- Nie. Nie tutaj - zaprotestowała z wystraszoną miną. - Lepiej u mnie.

- Oczywiście - zgodził się. - Ale trzeba zamknąć dom.  
Podała mu klucze.

- Niech pan to zrobi! - Szybko cofnęła rękę. - Nigdy więcej nawet nie stanę w progu tego domu. Kwiaty niech zmarnieją, co mi tam!

- Nie sądzę, żeby pani Zięba miała o to pretensję - zauważył Korotko.

Przeszli na drugą stronę ulicy, do domu Różańskiej. Gospodyni przyniosła sok owocowy i usiedli na kanapie. Korotko wyciągnął notes.

- Więc przyszła pani podlać kwiaty? - zaczął.

Skinęła głową.

- Od lat tak robimy. Adela zawsze daje mi klucze, gdy wyjeżdża. A potem ja jej swoje.

- Tak. Może pani powtórzyć, jak go znalazła... to znaczy... pana Ziębę?

- Weszłam do holu i zastanowił mnie przeciąg. Rozejrzałam się i wtedy w górze zobaczyłam buty...

- Czy okno na strychu było otwarte przez cały czas? Od wyjazdu pani Zięby?

- Nie wiem. Wychodzi na tyły domu. Nie zaglądałam z tamtej strony. Ale., może tak. Już wcześniej czułam przeciąg... O Boże!

- Co się stało?

- On... On tam wisiał przez cały czas, podczas gdy ja...

Boże! - Podbródek Różańskiej zadygotał.

Korotko uznał, że lepiej będzie milczeć. Przeczekać.

- Przepraszam. - Różańska otarła palcem kącik oka.

- To nerwy. Bo... jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Wtedy, gdy go zobaczyłam, wydawało mi się, że on... się

poruszył. Pomyślałam... to znaczy... wtedy nie nie myślałam, wybiegłam z domu i dopiero jak zobaczyłam na ulicy pana radiowóz, przyszło mi do głowy, że on jeszcze żyje, że dopiero co...

- Rozumiem - mruknął Korotko, notując. Wracał akurat z przedszkola, do którego odwiózł dzieciaki siostry (służbowym wozem, a czemu niby nie, skoro przez ten cholerny urlop szefa człowiek nie ma czasu na własne sprawy), i zobaczył zasuszoną kobietę po pięćdziesiątce, pokonującą jednym skokiem pięć stopni schodów. Oczywiście zatrzymał się. Każdy by się zatrzymał, widząc coś takiego, nawet gdyby nie był policjantem. Różańska krzyczała, że facet jeszcze żyje, że trzeba go odciąć i wezwać pogotowie, więc zrobił to bez namysłu: przeciął sznur - cud, że razem z nieboszczykiem nie spadł do holu - i natychmiast zadzwonił po pogotowie.

- Wszystko rozumiem, proszę pani - kontynuował - lecz Zięba nie mógł się poruszać. Z całą pewnością nie żyje już od dłuższego czasu.

- Tak, wiem, ale...

Katarzyna Różańska znów zaczęła się trząść, co nieco zaniepokoiło Korotkę. Jeszcze tego by brakowało, żeby baba mu tu zemdląła.

- Może dokończymy rozmowę wieczorem? - zaproponował. - Na posterunku?

- Nie, nie. Wszystko w porządku.

- I tak musi pani przyjść, żeby podpisać zeznanie.

- Wolę to mieć za sobą. Proszę pytać.

- Kiedy wyjechała Adela Zięba?

- W sobotę. Cztery dni temu.

- A pan Zięba?

- On nie wyjechał. Pracował w Dębnicy.

Korotko wyprostował się.

- Czegoś tu nie rozumiem - rzekł ostrożnie. - Do Dębnicy jest dwadzieścia kilometrów. Czy trzeba opiekować się miesz-

kaniem, jeżeli...

- Nie znał pan Zięby, to straszny gamoń... Och! - Różańska przykryła usta dłonią. - Chciałam powiedzieć, że w sprawie kwiatów Adela nie mogła mu ufać. Kiedyś wyjechała na dłużej i przykleiła mu do szyby w dziennym pokoju wielką kartkę z napisem „Podlewać kwiaty!”, a i tak zanim wróciła, większość zdążyła zmarnieć. Zięba nie miał do tego głowy. Poza tym często nocował w Dębnicy, ma tam służbówkę, myślałam, byłam przekonana, że teraz również...

- Rozumiem - uciał Korotko. Jedno było pewne: kiedy Różańska się rozrusza, nie w głowie jej omdlenia. - Czy podlewała pani kwiaty codziennie?

- Właściwie tak.

Twarz kobiety lekko się zarumieniła.

- I nie zauważyła pani żadnych zmian w położeniu przedmiotów, niczego nie brakowało?

- Nie. Nie mam pojęcia, kiedy Boguś wrócił. Musiał chyba przyjechać w nocy.

- Dobrze. - Korotko złożył notes i wstał. - To na razie wszystko. Przypominam, że wieczorem...

Nagle przerwał. Nie zawiesił głosu, nie zawahał się, lecz po prostu urwał w połowie zdania, jak odcięta magnetofonowa taśma. Zachwiał się sztywno, niczym manekin, i upadł na twarz, przewracając ramieniem stolik.

- Proszę pana! Co panu...? Proszę pana! - Różańska kłęzczała przy policjancie i drżącą ręką klepała go po policzku. Kiedy wreszcie się poruszył, pobiegła do kuchni po szklanek wody, bo sok, który wcześniej nalała do szklanek, wylał się wraz z upadającym stolikiem.

Korotko powoli dochodził do siebie. Pociągnął tęgi łyk wody i zakrztusił się. Z trudem usiadł.

- Coś takiego! - powiedział, wciąż pokastlując.

- Ależ mnie pan przestraszył. - Różańska przyłożyła dłoń do biustu.

- Przepraszam. Nie mam pojęcia, co się stało. - Czuł się jak ostatni kretyn.

- Zemdlął pan. Tyle wrażeń. Od niedawna jesteś w policji, prawda, młody człowieku?

- Nie! - zachnął się Korotko. - To nie dlatego. Co też pani przychodzi do głowy!

Pozbierał się z podłogi.

- Wy, mężczyźni, zawsze myślicie, że jesteście twardzi, ale przychodzi taki moment, gdy trzeba się przyznać do własnej słabości...

Korotko nie słuchał. Babsko znów wpadło w trans. Potrząsał głową, jakby w ten sposób mógł wyrzucić z siebie dziwne uczucie otępienia, które ogarnęło go niespodziewanie.

I nagle wszystko minęło. Czuł się zupełnie normalnie.

- Przez sekundę wydawało mi się, że jestem kimś zupełnie innym. Coś niesamowitego - rzekł bardziej do siebie niż do Różańskiej.

- Ale już dobrze?

- O tak. - Uśmiechnął się słabo. - Dobrze, że ma pani taki miękki dywan. Przepraszam za kłopot i dziękuję.

- To ja dziękuję. Rozmowa z panem dobrze mi zrobiła.

- Przypominam, że wieczorem ten protokół...

- Tak. Oczywiście...

- Cholera! - zaklął, trzaskając z wściekłością drzwiczkami radiowozu. Gotów był rozszarpać samego siebie.



Ciemność. Ze trzy razy otworzyły się drzwi i zabłyśła lampa, ale i tak niewiele zobaczył; leżał w plastikowym worku, całym oszronionym, przez który świat na zewnątrz pozostawał tylko zbiorem plam. Był niezadowolony. Tak pragnął wydostać się z tego strychu, a teraz okazało się, że trafił jeszcze gorzej. Kostnica. W ten sposób nigdy nie znajdzie Meleki. Pech. Od samego

początku pech.

Próba z policjantem nie była najmądrzejszym posunięciem. Nie zyskał nic, a stracił sporo sił. Jednak gdy policjant, po odcięciu sznura, przycisnął go do siebie, nie mógł nie spróbować przejścia. Jak miał nie spróbować, skoro znalazł się w tak rozpaczliwym położeniu? W tym stanie za nic na świecie nie zdoła nigdzie dotrzeć.

Gdyby od początku, zamiast w Ziębę trafił w tego policjanta - młody, zdrowy, w dodatku z jakimiś uprawnieniami. Byłoby łatwo. Albo chociaż w kobietę, która go znalazła. Lub w kogośkolwiek innego. Każdy byłby lepszy od samobójcy.

Z tym, że skacząc za Meleką w Sito, wiedział, czym ryzykuje.

Przywołał doświadczenia Zięby, przeanalizował swój pobyt w tym świecie, i im więcej gromadził danych, tym gorzej to wyglądało. Może gdy żona Zięby odbierze zwłoki z kostnicy, będzie chciała pocałować męża na pożegnanie. Albo chociaż przytulić...

Problem w tym, że w miarę upływu czasu tracił siły. Co będzie, jeśli nie zdoła w porę opuścić tego ciała i przyjdzie pora pogrzebu? Wolał o tym nawet nie myśleć.

W tej sytuacji nie miał innej szansy poza tą, której raz już się uchwycił. Starszy posterunkowy Ryszard Korotko. Próba przedostania się do niego zakończyła się wprawdzie niepowodzeniem, ale chyba nie tak znowu zupełnym. Pamiętał, że przez chwilę, przez ułamek sekundy był w nim. Został odrzucony, ale coś mogło zostać.

Musiał w to wierzyć. Na razie nie pozostało mu nic innego.



Był późny wieczór. Korotko zaparkował przed budynkiem kostnicy, gdzie obowiązywał zakaz postoj, ale w końcu gdy się nosi mundur, coś się człowiekowi należy. Podszedł do drzwi,

kręcąc breloczkiem dookoła wskazującego palca. Były zamknięte, ale w środku paliło się światło. Nacisnął dzwonek. Otworzyła mu kobieta, co zaskoczyło Korotkę. Jakoś zawsze wyobrażał sobie, że w takich miejscach pracują zapijaczeni, przedwcześnie postarzeni kalecy, którzy towarzystwem nieboszczyków koją swój smutek lub gaszą nienawiść do świata.

Kobieta była w czystym, białym fartuchu i wcale nie wyglądała na alkoholiczkę.

- Ryszard Korotko, z trzeciego komisariatu - przedstawił się. - Dzisiaj przywieziono tu Bogdana Ziębę. To znaczy jego zwłoki...

- Jest tu taki - skwitowała krótko. Przynajmniej jej zachrypnięty głos odpowiadał wyobrażeniom Korotki.

- Coś nie tak?

- Wszystko w porządku. - Policjant przestąpił próg. - Chciałem tylko coś sprawdzić. Muszę obejrzeć denata.

Dyżurna wydeła usta.

- Rychło w czas. Dobrze, że nie zaczekaliście na ekshumację.

- To zajmie tylko chwilę.

- Jak pan chce. - Wzruszyła ramionami. - Mnie nic do tego. Ale musi się pan wpisać do książki.

- Jasne.

- Proszę za mną. - Poprowadziła go pustym korytarzem, oświetlonym jarzeniowymi lampkami.

Korotko poczuł się nieswojo. Po raz pierwszy w życiu był w kostnicy. Siedząc w komisariacie myślał o samobójcy Ziębę, o swoim zachowaniu w mieszkaniu Różańskiej i jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Zupełnie niewytłumaczalne uczucie, że powinien coś zrobić. I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, żeby pojechać do kostnicy i jeszcze raz obejrzeć ciało. Pomysł absurdalny, ale myśl była natrętna, nie chciała się odczepić, więc w końcu wsiadł w samochód i przyjechał.

- Budynek zawsze jest zamknięty? - zapytał przewodniczki.

- Takie są przepisy. To trupiarnia, nie hotel. Stąd nikt nie wychodzi, a jeśli chce wejść, to i tak musi załatwić to ze mną. - Kobieta wyciągnęła pęk kluczy i włożyła jeden z nich w otwór zamka. - W środku jest zimno, żeby się tylko pan nie przeziębił podczas pogawędki.

Odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

- Muszę pana zamknąć. Lodownia nie powinna się rozmrażać. Przecież nie na klucz! - Zaśmiała się ironicznie. Musiała coś zauważyć w oczach Korotki i to zapewne ją rozbawiło. A może rutyna dawała jej przyjemne uczucie przewagi.

- Oczywiście - odrzekł zimno Korotko.

- Jak pan skończy, będę u siebie - wskazała uchylone drzwi w końcu korytarza.

- Chwileczkę - powstrzymał ją. Zauważył, że wypchane plastikowe worki leżą na kilkunastu półkach. - Który to Zięba?

Wzruszyła ramionami.

- Niech pan szuka z prawej. Mają karteczki.

Drzwi trzasnęły głucho. Przy każdym oddechu z ust Korotki wydobywał się obłoczek pary. Rozejrzał się. Wszystko jest tylko materia. Martwą. To w pokrowcach nie różni się niczym od blatu, na którym spoczywa.

Zwłoki Zięby znajdowały się w pierwszym worku, do którego podszedł. Stał i wpatrywał się w miejsce, gdzie pod folią znajdowała się głowa samobójcy. Dlaczego wsadzają ich w folie? Mróz szczypał w palce. Włożył ręce do kieszeni, skulił się w ramionach i stał tak, zamieniony w kawał lodu, wciąż patrząc na pokrowiec. W końcu zdjął zwłoki z półki. Były ciężkie, aż stęknął z wysiłku. Pochwycił je silniej i skierował się do wyjścia.

Drzwi otworzyły się, zanim zdołał do nich dotrzeć.

W progu stanął wysoki mężczyzna w średnim wieku, ubrany w dzinsy i wytarty sweter. Ze skamieniałą twarzą wpatrywał się w Korotkę.

- Co ty, u licha, wyprawiasz, człowieku?

Korotko zamrugał. Ciało Zięby wyslizgnęło mu się z rąk, przetoczyło po brzuchu i udach, i upadło na posadzkę.

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytała swym niskim głosem stojąca w korytarzu dyżurna.

- Nie, nie. Wszystko gra - uspokoił ją przybysz. - Proszę wracać do siebie.

- Trzeba się wpisać. Inaczej każdy by mógł...

- Zaraz przyjdziemy, pani Maćkowska. Proszę wracać!

Odczekał aż kobieta sobie pójdzie, po czym wkroczył do lodowni.

- Co się dzieje?! - zapytał, wyraźnie wzburzony.

- Pan nie na urlopie, szefie? - wydobył z siebie głos Korotko.

- Na urlopie, a jakże. Ale zadzwonił do mnie posterunkowy Kowalik z wiadomością, że trafił ci się pierwszy trup. Postanowiłem zobaczyć, jak sobie radzisz...

Przeniósł wzrok na leżący na podłodze pakunek.

- Kowalik mówił, że zachowujesz się trochę... hmm, dziwnie.

Korotko podążył za spojrzeniem zwierchnika. Szron odpadł z wewnętrznej powierzchni worka lub stopił się, kiedy przyciskał worek do siebie, więc spoza matowej folii bieląła twarz Zięby. Nieboszczyk miał oczy wytrzeszczone chyba jeszcze bardziej niż wtedy, gdy wisiał na sznurze. Siny język wciąż wystawał z ust.

- Ja... - zaczął Korotko i zamilkł. W głowie miał pustkę.

- Wyjdźmy stąd - zdecydował szef.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, Szuszkiewicz powiedział:

- Widziałem twój raport i zeznanie tej Różańskiej. Sprawa jest czysta. Trzeba będzie jeszcze przesłuchać żonę Zięby, lecz nie sądzę, żeby cokolwiek to zmieniło. Czyżbyś jednak coś miał?

- Nie, nic. Jest tak, jak napisałem w raporcie.

- W takim razie co tu robisz?



Korotko rozcierał z zakłopotaniem dłoń. Powoli rozgrzewał się; nie zdawał sobie sprawy, ile czasu przebywał w lodowni, ale musiało to trwać, skoro zdążył tak zmarznąć.

- Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, szefie... może bez sensu... ale ja...

- Wykrztuś wreszcie.

- Ja nie wiem... Przez cały dzień myślałem o tym Ziębie. Nie chodzi o to, że nieboszczyk zrobił na mnie takie wrażenie, nic z tych rzeczy. Muszę panu powiedzieć, że gdy zdjąłem go ze sznura, byłem najzupełniej spokojny. Opanowany. Gdybym bał się, czy coś w tym rodzaju, to jakoś bym to rozumiał, trudno, ale ja naprawdę...

- Przyszedłeś tu, żeby udowodnić sobie, że jesteś twardym, chłodnym gliną?

- Właśnie o to chodzi, że nie. Ja... - zniecierpliwiony Korotko machnął ręką. - Sam już nie wiem...

- A co, do cholery, zamierzałeś zrobić z ciałem?

Mężczyzna wciągnął głęboko powietrze.

- Nie mam pojęcia - rzekł cicho. - Zorientowałem się, co robię, dopiero gdy usłyszałem pana głos. To działo się jakby... obok mnie. - Mówiąc, Korotko przeplatał nerwowo palce.

- Zostawmy to na razie. - Szuszkiewicz spojrzał w stronę dyżurki, ale koroner nie zareagowała na hałas. - Powiem ci, co teraz zrobimy: posprzątam tam - machnął ręką - położymy Ziębę na miejsce i znikniemy, jakby nigdy nas tu nie było, bez wpisania się do książki tej służbistki. Pojedziemy na posterunek i tam pogadamy. Zgoda?

Wrócili do lodowni. Worek ze zwłokami był diabelnie ciężki. Korotko trzymał ciało za nogi; patrzył na twarz Zięby z wyceLOWANYM prosto w niego językiem. Nie mógł oderwać oczu, chociaż wiedział, że szef cały czas uważnie go obserwuje.

Drzwi kostnicy od środka otwierały się na obrotowy zamek patentowy, dzięki czemu mogli wyjść, nie wysłuchując chropowatego głosu dyżurnej Maćkowskiej.



Szuskiewicz przyjechał z nocnym patrolem, ale odesłał go, gdy się upewnił, że jego młody zastępca rzeczywiście jest w kostnicy. Tak więc teraz obaj wracali samochodem Korotki.

- Gdy zadzwonił Kowalik, pomyślałem, że zawraca mi dupę. - Szuskiewicz siedział za kierownicą i obserwował oświetloną blaskiem latarni ulicę. - Jednak teraz widzę, że pewnie dobrze zrobił.

Korotko milczał.

- Hej, co ty na to?

- Nic.

- Przyjechałem do biura, a tam po pierwsze ciebie nie ma - pojechałeś do kostnicy, oznajmia mi Kowalik - po drugie czeka niejaka Katarzyna Różańska, z którą się umówiłeś, a po trzecie ta Różańska mówi, że zemdlałeś u niej w mieszkaniu. Bez urazy, Korotko, ale niepokoję się o ciebie.

- Rozumiem - odparł zimno policjant. - Teraz czuję się bardzo dobrze. Naprawdę wszystko w porządku, szefie.

- Wierzę ci, że czujesz się dobrze. Ale przyznasz przecież, że tak w porządku to znowu nie jest.

Korotko stał z czoła niewidzialny pot. Szef miał swoją cholerną rację, rozmawiając z nim jak troskliwa kwoka z kurczęciem. Jak to możliwe, żeby człowiek tak mało znał samego siebie?

- Sądzę, że najlepiej będzie, jak weźmiesz kilka dni wolnego - podsumował Szuskiewicz.

- Przecież to pan jest na urlopie. Ktoś musi zostać.

- Zamienimy się. I tak nigdzie nie wyjeżdżam, więc nie sprawi mi to znowu takiej różnicy.

- Dopiero rozpocząłem pracę, nie przysługuje mi urlop.

- Załatwimy i to.

Korotko pokiwał głową. A więc odstawka. Idzie w odstawkę na samym początku. W życiu by się czegoś takiego nie spo-

dziewał. W dodatku uczciwie musiał przyznać, że sam jest sobie winien.

Szuskiewicz zakręcił kierownicą, wcisnął hamulec i zatrzymali się przed posterunkiem.

- I nie przejmuj się tak, chłopie. To tylko kilka dni. Początki nigdy nie są łatwe i naprawdę zostanie to między nami.

Korotko zmusił się do uśmiechu.

Weszli na posterunek. Przy biurku siedział posterunkowy Kowalik i popijał kawę. Wyraźnie unikał wzroku Korotki. Kapuś. Gdyby nie zadzwonił do szefa, wszystko pewnie by się jakoś ułożyło.

- Jak tam? - zapytał Szuskiewicz.

- Spokój - odparł Kowalik. - Różańska podpisała zeznanie. Nie miała nic do dodania, więc puściłem ją do domu. Poza tym przyszedł faks, dane naszego nieboszczyka.

Przewrócił oczami, wymownie zerkając na Korotkę.

- Zięby?

- Zięby - potwierdził Korotko. - Zamówiłem dane na wszelki wypadek. U nas w kartotekach go nie ma, ale pomyślałem, że nie zaszkodzi sprawdzić w rejestrze.

- I dobrze - zgodził się szef. - Wiedziałem, że jeszcze będą z ciebie ludzie. - Odebrał kartkę z rąk Kowalika. - I co?

- Jest czysty.

- Czysty - powtórzył Korotko, gdy i on przejrzał faks.

Czysta nadgorliwość, pomyślał.

- W takim razie zdaj broń i jesteś wolny. Czekam na ciebie w sobotę rano - rzekł Szuskiewicz. - A może cię odwieźć? - zaproponował.

- Nie, dzięki. Chętnie się przejdę.

Korotko wrzucił pistolet do szuflady, zabrał torbę i postarawszy się, by głośno „Cześć!” wypaśćło możliwie swobodnie, opuścił posterunek.

Idąc chodnikiem kopał kamyki, ale nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Myślał o tym, jak wiele wydarzyło się od tego

dnia, jak wiele się zmieniło i jeszcze może się zmienić. Ktoś patrzący z boku zdziwiłby się, widząc człowieka w policyjnym mundurze, który z rękami w kieszeni, z torbą przewieszoną przez ramię, mruczy coś do siebie z gniewnym wyrazem twarzy. Ale dochodziła godzina dwudziesta trzecia i na ulicy oprócz niego nie było nikogo.

Zgrzytnęła kopnięta pusta puszka po piwie.

Korotko zatrzymał się w pół kroku. Przypomniał sobie moment, gdy podszedł do półki, na której leżały zwłoki Zięby. Była to pierwsza półka, do której się zbliżył. I wcale nie przeczytał karteczki, żeby dowiedzieć się, kto leży w oszronionym worku. Bez sprawdzania wiedział, że to Zięba. Po prostu o tym wiedział.



Godzina dwudziesta trzecia dwadzieścia. Policjant, który wysiadł z samochodu nieopodal budynku kostnicy, przyjechał swoim prywatnym wozem, ale Maćkowska nie mogła tego zobaczyć, nawet gdyby wyglądała przez któreś z okratowanych okien - miejsce parkowania było zbyt oddalone i położone w cieniu wielkiego kasztanowca.

Maćkowska zaklęła, gdy ciszę przerwał ostry dźwięk dzwonka. Liczyła na to, że tej nocy będzie już miała spokój. Widać nie było jej to dane. Zaklęła powtórnie i wyszła z dyżurki. Pokaszując, przeszła korytarzem do drzwi. Spojrzała przez wizjer i w świetle lampy zobaczyła młodą męską twarz, przysłoniętą daszkiem policyjnej czapki.

- Wściekli się!

- Zapomniałem wpisać się do książki - powiedział starszy posterunkowy Ryszard Korotko.



Meleka siedział w fotelu i oglądał telewizję. Właściwie to wlepił oczy w ekran, bo jego umysł zajęty był czymś zupełnie innym. Nazywał się Krystian Messer; powoli przyzwyczajał się do tego nazwiska. Minęły trzy dni, odkąd znalazł się w tym świecie.

Do dzisiejszego przedpołudnia był przekonany, że udało mu się uciec przed Lakaką. Wielokrotnie szukał wokół siebie Nici i nie znajdował jej. Mogło to oczywiście oznaczać, że Lakaka wyczekuje, jednak w miarę upływu czasu wydawało się to coraz mniej prawdopodobne - Nić można odnaleźć tylko wówczas, gdy właściciel wykona jakiś ruch. A właścicielem był Lakaka, który nie sprawiał wrażenia człowieka cierpliwego. Najprawdopodobniej przeleciał przez Sito gdzieś dalej; Nić się zerwała albo prostu zawiodła. Bywały już takie przypadki.

Aż tu raptem, dzisiaj, zaraz po śniadaniu, poczuł lekkie mrowienie skóry. A zaraz potem skręt. Delikatne szarpnięcie w samym środku głowy. Od razu wiedział, co się stało.

Napięła się Nić Lakaki.

A potem znów nic, aż do wieczora. Już gotów był uwierzyć, że tylko mu się wydawało, ale tuż przed dwudziestą drugą skręt powtórzył się. Tym razem szarpało kilkanaście minut, po czym nacisk złagodniał, ale nie ustąpił. Teraz dochodziła północ i nieprzerwanie wyczuwał napiętą Nić. Lakaka podążał w jego kierunku.

Meleka nie znał dobrze swego przeciwnika - tyle co widział go podczas wypadku. No i przy Skoku. Nie mógł zrozumieć jego dziwnej taktyki. Gość milczał przez trzy dni, pozwolił okrzepnąć rywalowi w nowym środowisku - to zbyt głupie, by nie miało być częścią większego planu.

Meleka bał się. Nie chciał tego wszystkiego, nie chciał walczyć. Ale jego wola była tu bez znaczenia.

Wyłączył telewizor. Przez chwilę wsłuchiwał się w ciszę, po czym poszedł do przedpokoju, sprawdzić, czy na pewno drzwi są dobrze zamknięte. Były. W kuchni żona zmywała naczynia.

Ewelina Messer. To dopiero historia! Meleka liczył sobie dwadzieścia pięć lat i dotąd małżeństwo nie było mu w głowie. A tu nagle ma żonę i na dokładkę czteroletniego syna. Ubaw po pachy, mogłoby się wydawać, gdyby nie sytuacja.

Trochę trwało, zanim ze wspomnień Messera złożył jako taki obraz całości i musiał przyznać, że był on nadzwyczaj przykry. Małżeństwo Messerów rozpadało się. Wniosek rozwodowy, złożony przez Ewelinę, leżał w sądzie i jego rozpatrzenie było kwestią czasu. To Krystian był winien. Ożenił się późno, po trzydziestce, z młodszą od siebie o dziesięć lat Eweliną. Początkowo wszystko układało się dobrze, ciąża zaraz po ślubie, narodziny syna - Meleka przeglądał te wspomnienia wyrwanymi z czasu fragmentami; przeglądał coś, co było obce, a przecież nie tak zupełnie, bo teraz należało do niego - a potem stopniowo, z początku niezauważalnie, dobrze funkcjonujący mechanizm rozsypywał się, a oni nie potrafili go naprawić. Może przestało się układać, bo nie mieli przyjaciół w tym samym wieku? Krystian przepadał gdzieś wieczorami, później na całe noce. Nie chodziło o kobiety. Przynajmniej nie zawsze. Raczej poker z kumplami. Nocne lokale. Tak się zaczęło. Potem już i to nie wystarczało. A więc... samotne picie. Nie żeby nie próbował walczyć. Były dwie czy trzy próby zejścia z tej równi pochyłej - nieudane mimo przyrzeczeń i deklaracji.

No i: każda czara kiedyś się przepełnia.

Przestajesz dla mnie istnieć, powiedziała pewnego miłego dnia Ewelina. Jesteś martwym facetem.

Od tamtego czasu nie odezwała się do męża słowem. Nie zauważała go.

Nie wiedział, co będzie dalej. Na razie mieszkali razem i Meleka nie przypominał sobie, by Messer poczynił jakieś kroki, żeby to zmienić. Chociaż powinien. Sąd z pewnością przyzna dzieciaka Ewelinie i trudno wymagać, żeby to ona się wyprowadziła.

Tomek Messer spał teraz w dziecięcym pokoiku. Jedyny

szczęśliwy człowiek w tym domu. Liczył sobie dopiero cztery lata i nie miał pojęcia, co się dzieje. W końcu jednak będzie musiał się dowiedzieć.

Maleka poczuł ścisk w okolicy żołądka. Mogły go spowodować niewesołe myśli, ale najpewniej znowu organizm Krystiana domagał się swego etylowego edenu. Maleka doskonale wiedział, o co chodzi, ale nie zamierzał ulec. Gdyby pozwolił Lakace zaskoczyć się pod wpływem alkoholu, to tak jakby sam mu się podłożył. Na szczęście radził sobie całkiem nieźle. Wprawdzie czasem odzywało się, gdzieś z oddali, pragnienie Messera, ale gasił je bez specjalnych kłopotów. Panował nad wszystkim. Wszak Messer był tylko wspomnieniem.



Nocny patrol na drodze do Dębnicy. Dwadzieścia kilometrów jazdy tam i z powrotem. Jeżeli nic się nie dzieje - a przeważnie tak jest - można w ciągu nocy pokonać tę trasę piętnaście razy. Trudno o nudniejsze zajęcie.

Dwaj policjanci siedzący w patrolowym samochodzie odczekał zmienili kierunek jazdy, gdy na przeciwległym paśmie szosy minął ich nieoświetlony pojazd. Nie mieli kłopotów z dopędzeniem go, w ogóle nie mieli kłopotów: wezwanie przez dachowy megafon wystarczyło, by kierowca posłusznie zjechał na pobocze.

Wysiedli obaj, ale tylko jeden podszedł do zatrzymanego samochodu. Po drodze włączył latarkę. Dopiero wtedy przekonał się, że za kierownicą siedzi mężczyzna w policyjnym mundurze.

- Korotko, do diabła! Dlaczego jeździsz bez świateł? - zapytał bez gniewu, ot tak sobie, i nagle poczuł się głupio, gdyż policjant nawet na niego nie spojrział.

- Hej ! - zawołał niepewnie. - Coś się stało?

Głowa Korotki odwróciła się powoli. Wytrzeszczone oczy

przez moment badały pytającego, ale zaraz przeniosły się dalej, w kierunku patrolowego wozu, przy którym drugi policjant zapalał papierosa. Głowa płynnym ruchem powróciła do pierwotnej pozycji, by po chwili powtórzyć manewr. Policjant z drogówki przyglądał się temu ze zmarszczonymi brwiami. Po raz pierwszy w życiu widział, żeby człowiek potrafił w taki sposób kręcić szyją. Jak sowa.

Światło latarki zahaczyło o tylne siedzenie, na którym leżał wielki pakunek, owinięty plastikowym workiem, zaparowanym i pokrytym kroplami wody. Raptem drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Wyciągnięta dłoń rozwarła lekko palce jak do przywitania, ale zaniepokojonego policjanta coś powstrzymało przed jej uściśnięciem. Głowa kierowcy znów skoczyła w bok - ku drugiemu stróżowi porządku, który nachylał się nad okienkiem policyjnego wozu, chowając do środka paczkę papierosów - po czym wróciła na swoje miejsce.

- Hej, Rysiek, mówię do ciebie! Jesteś zalany?

Nieoczekiwanie ręka Korotki wystrzeliła do przodu i chwyciła policjanta za pas. Zaatakowany był niewielkiej postury, zaskoczony kompletnie - nie zdążył nawet wykonać obronnego ruchu, gdy siłą bezładu uderzył czołem w listwę samochodowego dachu. Korotko szarpnął raz jeszcze, pomagając sobie drugą ręką, i wciągnął zwiotczałe ciało do wnętrza, które nagle pojaśniało od żółtawego światła latarki, wypuszczonej z dłoni, ale wciąż dyndającej na pasku. Krew z głębokiego rozcięcia na czole poplamiała mundur Korotki, a kilka kropel prysnęło na twarz.

Policjant przy patrolowym wozie usłyszał hałas. Wyprostował się gwałtownie. Zaskoczyło go, że nie widzi przy zatrzymanym samochodzie swojego kolegi. Rutynowym ruchem sięgnął do kabury po pistolet, gdy nagle zza drzwi przy siedzeniu kierowcy wyłoniła się roślina umundurowana postać. Przez głowę przemknęła mu absurdalna myśl, że oto jego mikry kumpel zamienił się w olbrzyma.



- Ach! To ty, Rysiek! - rozpoznał mężczyznę i jego twarz odprężyla się. Podszedł bliżej. - Co to?! - Zauważył krew na policzku.

Zaciśnięta pięść uderzyła go w szczękę - równie dobrze cios mógł paść z tyłu, policjant byłby tak samo nieprzygotowany. Upadł plecami na asfalt, szeroko rozkładając ramiona. Prawa ręka, ta z pistoletem, uderzyła boleśnie o twardą nawierzchnię i broń wypadła, odskakując w ciemność. Usiłował wstać, ale kopnięcie prosto w twarz przy dusiło go ku ziemi. Oko przeszło potworny ból.

To nie był koniec. Milczący, trochę tylko zdyszany Ryszard Korotko wymierzał kopniak za kopniakiem, a buty miał twarde. Minutę później pobity mężczyzna stracił przytomność. Nim umarł, odzyskał ją jeszcze na ułamek sekundy, by zobaczyć nad sobą twarz o pustym spojrzeniu, na której nie drgał nawet jeden mięsień.

Oprawca stał nieruchomo, jakby wsłuchiwał się w nocną ciszę. Cykady ponownie podjęły swój letni koncert; to, co się stało, miało dla nich takie samo znaczenie, jak każdy inny hałas - minęło i zostało zapomniane. Chwycił zwłoki pod ramiona i zawlókł do samochodu policjantów. Umieścił je na tylnym siedzeniu, po czym wrócił do swojego wozu, z którego wyciągnął funkcjonariusza z rozciętym czołem. Usadowił go obok martwego kolegi, a potem obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Zajączkał rozrusznik.

Wjechał w gęste zarośla i silnik ucichł. Trzasnęły drzwiczki i przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Wreszcie zaszeleściły liście i z ciemności wynurzyła się roślina sylwetka Korotki. Szedł ciężkim krokiem, przygarbiony, z rękami bezwładnie opuszczonymi, przez co sprawiały wrażenie nieproporcjonalnie długich.

Gdy powrócił na szosę, zza zakrętu wyskoczyły dwie planiki światła. Reflektory samochodu. Ciężarówka z warkotem przejechała obok niego, a kierowca z wysokiej szoferki ledwie rzucił

okiem na stojącą na poboczu samotną postać. Korotko wszedł do auta i pojechał w kierunku przeciwnym. Drogą do Dębicy.



Idąc do łazienki, Ewelina niespodziewanie na niego spojrziała. Zatrzymała spojrzenie tylko na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby Meleka ten fakt zarejestrował. Wszak od tygodni był dla niej powietrzem, meblem, który należy ominąć. Ściślej mówiąc, był nim dla niej Krystian Messer, ale teraz na jedno to wychodziło.

Właściwie nic się nie stało. Ewelina zerknęła tylko, ale Meleka znał ją dobrze częścią osobowości Krystiana - trudno nie poznać kogoś dobrze przez pięć lat małżeństwa - i wiedział, jak była uparta. Konsekwentna. Nie spojrzalaby na niego, gdyby nie...

Nagle uświadomił sobie, że myśli jak Krystian Messer. To przecież jemu zależało... Nie. Nie zależało. Może jeszcze kiedyś, jeszcze na początku, gdy lepiej się między nimi układało, wtedy Krystian naprawdę próbował ratować swoje małżeństwo, lecz później przestało to mieć znaczenie. Ostatnio Krystiana nic nie obchodziło i nikt go nie obchodził; może trochę Tomek, ale i tak za mało.

Ewelina zniknęła w łazience. Słyszał szum wody pod prysznicem. Wpatrywał się w matową szybę ponad drzwiami, jakby spodziewał się cokolwiek przez nią zobaczyć. Ale widział tylko niewyraźny cień. Pewnie była naga. Przypomnił sobie, jak zobaczył ją po raz pierwszy, przed trzema dniami. Dopiero co ocknął się po locie przez Sito i z wolna przyswajał sobie przeszłość Messera. Niewiele jeszcze wiedział. Wyszedł z pokoju i usłyszał szum wody, tak samo jak dzisiaj. Nasłuchiwał z zapałem, podczas gdy ona wycierała się ręcznikiem, i zastanawiał się, co zrobi, co powie, gdy Ewelina otworzy drzwi. Już wiedział, że to Ewelina, jego żona, łąpał wspomnienia jak

chwytą się w siatkę narybek z basenu. W chwili gdy Ewelina nacisnęła klamkę, dotarło do niego, że nie będzie mógł z nią rozmawiać, że są dla siebie obcy. Zobaczył ją z rozpuszczonymi mokrymi włosami, w niebieskim szlafroku mocno związanym w pasie, przechodzącą bez słowa, bez jednego spojrzenia, jakby był duchem. Nie pamiętał, nie przypuszczał, że była aż tak ładna. Stał jak wmurowany, wciąż patrząc za nią, choć wiedział, że już do niego nie wyjdzie. Zapewne leżała na łóżku, na którym niegdyś leżał i on, i na którym kochali się tyle razy. Wówczas Melekę rozbawiło, gdy uświadomił sobie, że myśli jak Krystian Messer, ale teraz już nie śmiał się z tego. Bo choć doskonale panował nad własnymi myślami i odsunął w cień osobowość Messera, to jednak z tego cienia wciąż wyłaniało się tamto życie.

Wrócił do swego pokoju i położył się na kanapie. Ale nie zamierzał spać. Przeszkadzało nie tyle drżenie Nici, teraz bardzo delikatne, ile świadomość, co ta wibracja oznacza.

Może powinien był uciekać. Ucieczka to naturalny odruch. Ale maksymalny zasięg łączącej go z Lakaką Nici wynosił około trzydziestu kilometrów i oddalenie się poza ten dystans było niemożliwe. Dlatego, prędzej czy później, musi dojść do konfrontacji. Ostatecznej ucieczki nie ma.

Przed blokiem zatrzymał się samochód, z piskiem hamulców, i w tym momencie w głowie Meleki pojawił się skręt. To nie mógł być przypadek. Skręt jest bólem, przerażeniem. Meleka wstał z kanapy i pokonując panikę, przysunął się do okna. Ostrożnie odchylił firankę. Z wysokości drugiego piętra zobaczył stojący przy krawężniku samochód, z którego wysiadał rosy mężczyzna w mundurze.

Nieoczekiwanie skręt zelżał, ustąpił miejsca drżeniu Nici, będącym prawdopodobnie oznaką skracania jej długości.

Mężczyzna zniknął z oczu Meleki, kierując się prosto do klatki schodowej. Nie było miejsca na złudzenia.

Meleka wszedł do ciemnego przedpokoju i nagle uświadomił

sobie, że popełnił niewybaczalny błąd. Nie powinno go tu być! Nie powinno, ponieważ w pokoju obok spał czteroletni chłopiec, a w następnym młoda kobieta. Oboje nieświadomi toczącej się rozgrywki.

Ruch Lakaki. Jeśli nie zamierza wyważać drzwi - co nie jest proste i może narobić sporo hałasu - musi poprosić, żeby otworzył je mu ktoś z domowników. Meleka odruchowo zaciśnął pięści - owszem, tym kimś może być nawet on sam. Zobaczył siebie z długim kijem, ostrożnie zwalniającego zamek, a potem jednym szarpnięciem otwierającego drzwi - i uderzenie, z całych sił, kijem w mroczną postać stojącą w progu. Rozwiązanie proste, lecz skuteczne.

Miał taki kij. Przygotował go sobie zaraz pierwszego dnia, w pierwszej godzinie istnienia w tym świecie. Drewniana noga wykręcona ze starego stołu. Może powinien zadbać o lepszą broń. Wiele rzeczy powinien zrobić, ale najpierw odkładał je na później, a później uwierzył, że udało mu się od Lakaki uwolnić.

Zatem wrócił do pokoju po ten swój kij, okrągły w przekroju, dzięki czemu pewnie przylegał do dłoni. Stał przed drzwiami i wstrzymując oddech, odchylił klapkę judasza. Najpierw nic nie zobaczył. Ciemność. I nagle z mroku wyłonił się cień. Nieruchoma postać człowieka, stojącego nie dalej niż metr od niego. Oddzielała ich tylko kilkucentymetrowa warstwa drewna.

Meleka odskoczył od judasza. Słyszał trzepot własnego serca i pulsowanie krwi w skroniach. Plan był rzeczywiście prosty: wystarczy otworzyć drzwi i solidnie machnąć kijem. Ale jakoś nie mógł zdobyć się na jego wykonanie.

Drgnął, gdy raptem odezwał się gong. Lakaka był konsekwentny. Nielogiczny, absurdalny, lecz konsekwentny.

Z tyłu otworzyły się drzwi. Zaspana Ewelina mrugała nerwowo. Z tym kijem w samym środku nocy musiał w jej oczach wyglądać idiotycznie.

Znowu zabrzmiał gong. Ewelina zapaliła światło i oboje przymrużyli powieki. Już nie patrzyła na niego, przeszła obok i

nagle zorientował się, że ma zamiar otworzyć drzwi.

- Nie rób tego! - wrzasnął.

Zadrżała, musiał zaskoczyć ją ten okrzyk, ale nie zatrzymała się. Nie słuchała go. Ignorowała. Krystian Messer dla niej nie istniał.

- Nie rób tego. Ewelino!

Zdjęty niemocą patrzył, jak spogląda w judasza i nagle przekręca patent. Sięgnęła do klamki. Mruknęła coś, zorientowawszy się, że drugi zamek również jest zamknięty.

- Chwileczkę, już otwieram! - zawołała.

- Zostaw! - Dopiero teraz zareagował. Rzucił się do przodu. Nie zdążył. Drzwi odskoczyły, jak naciśnięte stalową sprężyną. Zahaczyły krawędzią o Ewelinę, odrzucając ją na ścianę. Meleka poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

Kiedy człowiek w policyjnym mundurze wkroczył do mieszkania, zatrzymało go potężne uderzenie w bark, zadane drewnianym kijem. Zaatakowany mężczyzna zachwiał się, ale nie upadł. Oszołomiony, potrząsnął głową i wtedy kij trafił w nią, jakby była powiększoną nagle piłką do gry w palanta.

Koniec.

Trzy sekundy i po wszystkim.

Meleka stał z opuszczonym ku podłodze kijem, rozglądając się ze spokojem, który spłynął na niego równie nagle jak wcześniej gniew. Policjant leżał na boku, nieruchomy. Wokół jego głowy kwitła czerwona plama.

Ewelina usiłowała wstać, opierając się o szafkę. Płakała. Meleka pomógł jej wstać i objął ramionami. Rzucony kij toczył się po podłodze z głuchym stukiem.

- Ewelina... - szepnął. - Nic ci nie jest?

Rozszlochała się na dobre. Głaskał ją po włosach, nie potrafiąc wykrztusić słowa. To ona odezwała się pierwsza:

- Skąd... skąd wiedziałeś, że on...?

- Wiedziałem. Mówiłem, żebyś nie otwierała.

- Przepraszam... Skąd mogłam... Krystian, co to wszystko

znaczy? - Odchyliła do tyłu głowę i spojrzała mu w oczy. Pas zdartej skóry biegł pionową kreską przez jej twarz; ślad po uderzeniu drzwiami.

- Nie mogę ci teraz powiedzieć. Zaufaj mi.

Natychmiast pożałował ostatnich słów. „Zaufaj mi” - ulubiony zwrot Messera. Ileż razy mówił do Eweliny w ten sposób...?

Na szczęście nie zwróciła na to uwagi.

- O co chodzi, Krystian? - Już panowała nad sobą. Uspokajała się. - Zauważyłam, że ostatnio coś się z tobą dzieje, ale to teraz... Teraz...

- Nie rozumiesz - pomógł jej.

- Nie.

- I tak jest dobrze. Nie nalegaj, proszę. Wyjaśnię ci to później. Później. Na pewno.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy zaskrzypiały drzwi od pokoju Tomka. Dzieciak stał bosy w progu i mrugał, oślepiiony światłem. Ewelina zareagowała błyskawicznie: przypadła do syna, zasłaniając sobą leżącego na podłodze mężczyznę.

- Wracaj do łóżka, nic się nie stało - powiedziała łagodnie i ta umiejętność zmiany nastroju zdumiała Melekę. Razem z synem zniknęła za drzwiami.

Spojrzał na powalonego policjanta. Przegrałeś, Lakaka. Jednak przegrałeś.

Nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że wciąż czuje w głowie napięcie Nici. Bardzo delikatne, dlatego wcześniej nie zwrócił na nie uwagi, ale jednak. Schylił się po kij i zbliżył do leżącego człowieka. Żył. Oddychał. Musi dokończyć dzieła. Uniósł w górę kij.

Z dziecinnego pokoju dobiegał uspokajający głos Eweliny, na który z rzadka odpowiadał cichy sopran Tomka. Jak?! Jak ma to zrobić, kiedy tam oni...?

Nie może. Nie teraz i nie tutaj. Nie przy nich.

- Śpi. - Ewelina zamknęła drzwi.

Poczuł się bardzo niezręcznie, wciąż z nogą stołową w ręku.

- Trzeba ją przykręcić z powrotem - powiedział idiotycznie.
- Trzeba zawiadomić policję - odparła trzeźwo.
- Tak. Oczywiście.
- Zrób to.
- Oczywiście - powtórzył.

Podszedł do telefonu. Ewelina trzymała się za nim jak cień, co sprawiło mu pewną przyjemność. Wykręcił policyjny numer i oczekując na zgłoszenie, doszedł do wniosku, że może to i dobre rozwiązanie. Przynajmniej w zgodzie z tutejszym prawem. *Proszę czekać na przyjęcie zgłoszenia*, powtarzał w słuchawce głos z taśmy. W milczeniu przyglądał się Ewelinie.

- Nie pijesz od trzech dni - powiedziała cicho.
- Czterech - poprawił ją. - Zauważyłaś? - Był zdziwiony.
- Tak. - Nieoczekiwanie jej spojrzenie wyostrzyło się. - Nie myśl sobie jednak...

- Nie myślę.

Dwie rzeczy zaszły równocześnie: w słuchawce odezwał się męski głos i leżący na podłodze człowiek poruszył się. Ewelina stała odwrócona do niego tyłem, ale musiała zauważyć coś w oczach męża, bo odwróciła się gwałtownie. Krzyknęła.

Policjant wstawał. Z trudem przybrał pionową pozycję i skierował ku nim zakrwawioną twarz.

Funkcjonariusz po drugiej stronie telefonicznej linii musiał usłyszeć krzyk Eweliny, gdyż podniósł głos i gorączkowo domagał się podania adresu. Meleka podał mu go, wyrzucając z siebie słowa jak pociski i nie spuszczać oczu ze stojącego w przedpokoju mężczyzny. Rzucił słuchawkę i sięgnął po oparty o ścianę kij.

I nagle stało się coś nieoczekiwanego: policjant odwrócił się i wyszedł z mieszkania. Tak po prostu.

Meleka ochłonał. Ścisnął silniej rękę przerażonej Eweliny.

- Już po wszystkim - uspokajał ją. - To już minęło, on poszedł.

Ze słuchawki dochodził jakiś chrobot. Meleka przyłożył ją do ucha, posterunkowy wciąż był na linii.

- Tak?... Był napad. Ktoś przebrany za policjanta... Dobrze, przyjeżdżajcie, będę czekał. - Odłożył słuchawkę i spojrzał z troską na Ewelinę.

- Muszę iść za nim - powiedział, potrząsając kijem. - Zamknij drzwi na oba zamki i nie otwieraj, dopóki nie usłyszysz, że to ja.

- Nie - zaprotestowała pośpiesznie. - Nie zostawiaj mnie samej!

- Będę w pobliżu. Jak przyjedzie policja, wrócę razem z nimi. Nie bój się.

Ostatnie zdanie powtórzył jeszcze dwa razy. Był zdecydowany. Musiał to załatwić teraz. Może już nigdy nie będzie takiej okazji pozbycia się Lakaki. Musiał zabić tego policjanta. Przynajmniej spróbować.

Wychylił głowę na klatkę schodową. Cisza. Włączył światło i zszedł po schodach.

Wyszedł przed blok. Było jasno od świateł latarni i zupełnie pusto. Nikogo. Ale samochód, którym przyjechał Lakaka, wciąż stał przy krawężniku ulicy. Podchodził do niego powoli, starając się przeniknąć czerń szyby i zajrzeć do środka, lecz dopiero gdy znalazł się zupełnie blisko, mógł z całą pewnością stwierdzić, że nikogo tam nie ma. Tyle że na tylnym siedzeniu leżał jakiś duży pakunek. Nacisnął klamkę: drzwi okazały się otwarte. Wyciągnął rękę i namacał śliski, plastikowy worek.

Skręt.

Coś szarpnęło w środku głowy, silnie i niespodziewanie. Meleka stracił poczucie kierunku, zachwiał się i upadł twarzą do przodu, akurat na worek. Nić! Szarpała aż do bólu. Po omacku, jak ślepiec, wydostał się z samochodu. Ból ustąpił równie nagle jak się pojawił.

Przyjrzał się uważniej. Za plastikową folią dostrzegł zarys ludzkiego ciała. Przeraziło go, że wyczuł kierunek Nici właśnie



z tej strony, bo to oznaczało, że tam jest Lakaka. Nie w policjancie, który gdzieś przepadł, lecz w tym worku, w kimś, kto wyglądał jak trup.

Meleka zatrzasnął drzwiczki i otworzył te z przodu. W stacyjce tkwił kluczyk. Usiadł za kierownicą. Przez dłuższą chwilę czekał na powalający skręt, ale nic się nie stało. Nie wiedział dokładnie, co chce zrobić, ale coś zrobić musiał. Pojechać gdzieś za miasto, wyrzucić pakunek z tylnego siedzenia, utopić, rozbić na miazgę czy jeszcze co innego.

Ostre światła policyjnego radiowozu zaskoczyły go. Za późno, by teraz odjechać. Od razu zauważą. Wygramolił się z samochodu i podszedł do wysiadających dwóch mężczyzn.

- To ja dzwoniłem. Nazywam się Krystian Messer - powiedział, po czym w kilku słowach streścił wydarzenia. - Gdzieś wsiąkł, drań!

- Chodźmy do pana mieszkania - zaproponował jeden z policjantów.

- Nie wierzycie mi?  
- Dlaczego pan tak sądzi?  
- On musi być gdzieś w pobliżu, trzeba go szukać.  
- Chcemy najpierw obejrzeć ślady w mieszkaniu. Im szybciej nas pan zaprowadzi, tym szybciej się z tym uporamy.  
- Chodźmy - zaczynał się denerwować.  
- Nie zamyka pan? - policjant wskazał na samochód.  
- Ach tak? - Meleka zorientował się, że uważają, iż to jego własność. Zważywszy na pakunek z tyłu, nie zamierzał protestować pomyłki. Pochylił się nad stacją i wyciągnął z niej kluczyk.

Policjanci przepuścili go przodem, żeby prowadził. Nagle kazano mu się zatrzymać. Meleka odwrócił się i zobaczył, że funkcjonariusze pochylają się nad krzakami przy chodniku. Jeden z nich zaklął i włączył latarkę.

- Leży tu jakiś gliniarz - poinformował. Ostatnie słowo zabrzmiało dziwnie w jego ustach.

Drugi policjant wyciągnął z kabury pistolet.

- To on - stwierdził Meleka, zobaczywszy okrwawioną twarz. Nigdy nie będzie w stanie jej zapomnieć. Wysłannik Lakaki. Lakaka prawdopodobnie usiłował ściągnąć go z powrotem, ale rannemu nie starczyło sił. Upadł i potoczył się pod krzaki, dlatego Meleka go nie zauważył, choć przechodził najwyżej trzy metry od tego miejsca.

- Oddycha - powiedział policjant. - Wezwij pogotowie - polecił koledze, który jednak nie od razu pobiegł do radiowozu, lecz wskazał znacząco na Melekę.

Tamten skinął ze zrozumieniem głową, powstał z klęczek i również wyciągnął pistolet.

To normalka, przekonywał sam siebie Meleka. Nie wiedzą, czy mówię prawdę, więc mają prawo postępować w ten sposób. Wszystko się wyjaśni. Może niezupełnie wszystko, ale tyle, ile wystarczy ludziom z tego świata.



O czwartej dzwonek telefonu wyrwał Szuszkiewicza ze snu. Aparat telefoniczny stał tuż przy łóżku, a sierżant spał czujnie, ale i tak leżąca obok małżonka obudziła się i posłała mu mordercze spojrzenie. Była wściekła od chwili, gdy poinformował ją, że przerywa urlop, więc taki telefon dolewał tylko oliwy do ognia.

Bo było oczywiste, że jest to telefon służbowy, o tej godzinie nie zdarzały się inne.

Szuszkiewicz udał, że nie zauważył przebudzenia się żony.

- Tak?

Kowalik poinformował, że zadzwonili z Dębnicy, pytali o Korotkę, i powiedzieli, że jadą do nich faceci z Wydziału Wewnętrznej Komendy Wojewódzkiej.

Szuszkiewicz rzucił słuchawkę i wyskoczył z łóżka. Szykowała się grubsza afera. Ledwie zajechał pod posterunek i

wysiadł z samochodu, z piskiem hamulców zatrzymała się obok niego beżowa furgonetka, z czarnym paskiem na przednich drzwiach. Pasek był charakterystyczny - wtajemniczeni wiedzieli, co oznaczał.

Wydział Wewnętrzny.

Wysiedli i od razu podeszli do Szuszkiewicza. Było ich trzech, ale tylko jeden - w brązowej skórzanej kurtce - wyglądał, zdaniem sierżanta, na mężczyznę. Dwaj pozostali mieli najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu i postury niewskazujące na sportowe zamiłowania.

- Cześć, Szuszkiewicz - powiedział ten w skórze.

Szuszkiewicz widział go po raz pierwszy w życiu, podobnie jak dwóch pozostałych, ale nie zdziwiło go, że znają jego nazwisko. O hienach z Wydziału Wewnętrznego mówiło się, że mają wkute na pamięć kartoteki policjantów całego województwa. Taka maniera.

- Dokąd wysłał pan Ryszarda Korotkę?

Pytał napastliwie, jakby miał o coś pretensję. Szuszkiewicz poczuł, że się nie zaprzyjaźnią, i to bez względu na okoliczności.

- A co...

- Dokąd!

- Nigdzie go nie wysyłałem. Chyba że ma pan na myśli urlop. Faktycznie jest na nim od wczorajszego wieczoru.

- A kiedy widział go pan ostatnio?

- Kilka godzin temu. Około dwudziestej trzeciej, wtedy właśnie dałem mu wolne.

Weszli na posterunek. Za biurkiem Kowalik wyprężył się służbowo i zerknął na ścienny zegar, jakby stracił nadzieję, że jego dyżur kiedykolwiek się skończy.

- Przecież to pan jest na urlopie - zauważył śledczy.

- Już nie - odparł Szuszkiewicz. - Wczoraj go przerwałem.

- Dlaczego?

Szuszkiewicz zerknął na Kowalika, który z kamienną twarzą

wpatrywał się w ścianę.

- Wczoraj Korotko znalazł wisielca. Samobójcę...

Opowiedział o wszystkim, o kostnicy, o dziwnym zachowaniu Korotki i również o tym, że zamierzał zatuszować incydent, bo szkoda mu było chłopaka.

- Popełnił pan błąd - powiedział bezlitośnie drugi śledczy. Młody chłopak, pewnie ledwie po szkole. W Szuszkiewiczu zawrzało, ale zachował kamienną twarz. - Korotko usiłował dokonać zabójstwa - kontynuował chłopak. - Na szczęście trafił na twardego gościa, oberwał i odwieziono go do szpitala.

Wyraz niedowierzania na twarzy Szuszkiewicza nie powstrzymał młodzika:

- Mówi panu coś nazwisko Messer? Krystian i Ewelina Messer?

Szuszkiewicz mechanicznie pokręcił głową.

Niespodziewanie zadzwonił telefon. Kowalik wzdrygnął się, jakby mu ktoś strzelił nad uchem z korkowca i przestał wpatrywać się w ścianę. Podniósł słuchawkę.

- To do was - powiedział.

Odebrał najniższy z śledczych, ten, który dotąd jeszcze się nie odezwał. Zamienił kilka zdań, po czym oddał słuchawkę Kowalikowi.

- Fiuuu - gwizdnął.

Spojrzał na Szuszkiewicza, potem na swoich kolegów, wpatrzonych wyczekująco.

- Dziś w nocy zaginał wóz patrolowy z dwójką funkcjonariuszy - poinformował. - Znaleziono ich półtorej godziny temu w samochodzie zepchniętym w przydrożne zarośla. Jeden nie żyje, drugi jest ciężko ranny, z fatalną raną głowy. Przed chwilą otrzymałem wiadomość, że zidentyfikowano odciski palców zdjęte z radiowozu. Zgadnijcie, do kogo należą?

- Nie - powiedział Szuszkiewicz. - Robicie sobie jaja.

- Do Korotki? - wykazał się błyskotliwością młody śledczy.

- Do Korotki - potwierdził policjant.

Szuskiewicz milczał. Nie potrafił zebrać myśli, poza jedną: czy ostatniej nocy Rysiek wyglądał na wariata? Musiał przyznać, że na całkiem normalnego na pewno nie. Dlatego odesłał go na urlop. Ale żeby...

- Jedźcie na miejsce zbrodni, rozejrzyjcie się - polecił śledczy współpracownikom. - A ja z sierżantem pojedę do kostnicy.

- Dokąd? - zdziwił się Szuskiewicz.

- Do kostnicy. Może Korotko szukał tam czegoś, o czym panu nie powiedział.



Beżowa furgonetka wjechała na chodnik, zatrzymując się przed kostnicą. Szuskiewicz kilkakrotnie naciskał dzwonek, ale wciąż nikt nie nadchodził. Zniecierpliwiony funkcjonariusz WW odsunął go i szarpnął za klamkę. Ku zdumieniu sierżanta drzwi otworzyły się. Pamiętał, jak pełniąca dyżur kobieta skrupulatnie je zamykała.

Echo odbijało rytm ich kroków, gdy szli po kamiennej posadzce korytarza. Szuskiewicz zawołał, ale nikt się nie pojawił. Otworzył drzwi kantorka - ani śladu dyżurnej; odsunięte na bok krzesło, niedopita kawa i zapalone światło, choć na dworze zrobiło się zupełnie jasno.

Towarzyszący mu śledczy dotknął szklanki z kawą.

- Zimna - stwierdził.

- Chłodnia znajduje się tam - Szuskiewicz wskazał przez korytarz.

Te drzwi również nie były zamknięte na klucz. Powiało mroźnym powietrzem.

- Tutaj położyliśmy tego Ziębę. - Szuskiewicz podszedł do półki z prawej strony. W oszronionym worku majaczył zarys ludzkiej sylwetki, był nawet wyraźniejszy niż w innych workach, leżących na sąsiednich boksach.

- Nie ma kartki identyfikacyjnej - zauważył śledczy.
- Rzeczywiście.
- Nie było jej wtedy?
- Nie pamiętam. Może urwała się, gdy Korotko zdejmował

zwłoki z półki.

Śledczy zbliżył się i dotknął worka.

- Karteczka identyfikacyjna powinna być - rzekł cicho. Szarpnął za końcówki sznurka zamykającego worek. - Cholera! Jak oni to...? Ma pan nóż? - Odwrócił się przez ramię w stronę Szuszkiewicza.

- Syczoryk.

Mężczyzna przeciął sznurek, a gdy i to niewiele dało, naciął brzeg zeszytniałej folii. Szarpnął, odsłaniając zwłoki.

- Pomyłka - rzekł. - Pomylił się pan.

Szuszkiewicz nie odpowiedział. Nieruchomymi oczami wpatrywał się w odsłoniętą twarz.

- To kobieta - mówił śledczy. - Musimy szukać na innych półkach... - nagle przerwał, dopiero teraz zdziwiony milczeniem sierżanta.

Szuszkiewicz chrząknął.

- Ta kobieta to Maćkowska - powiedział bezbarwnym głosem.

Śledczy szybkim ruchem rozerwał dalszą część worka. Zwłoki były ubrane, co prawie nigdy nie zdarza się w kostnicy. Na szyi Maćkowskiej wyraźnie odznaczały się sińce i zadrapania naskórka.

- Została uduszona - oznajmił.



Meleka obudził się. Dobrze, że istnieje coś takiego jak sen, dzięki któremu można choć na krótko zapomnieć o tym co złe, co trawi człowieka od środka, jak najgorszy pasożyt. Ale teraz powróciła jawa, a wraz z nią poczucie zagrożenia.

Teoretycznie sytuacja nie wyglądała najgorzej. Wygrał pierwsze starcie, policjanci uwierzyli mu i wreszcie sobie poszli, jednak świadomość, że Lakaka nie został pokonany robiła swoje. Musiał coś zrobić ze zwłokami w samochodzie. Zrobić coś, żeby Lakaka przestał istnieć.

Spojrzał na zegarek, dochodziła ósma. Nie spał dużo tej nocy, ale - mimo wszystko - zdziwił się, że aż tyle. Policjanci przesłuchiwali jego i Ewelinę ponad godzinę; najpierw ci, którzy przyjechali na wezwanie, a potem jeszcze trzech innych. Wreszcie dali z tym spokój i odjechali. A gdy Meleka położył się spać, zaszło coś nadzwyczajnego: pod jego kołdrę wślizgnęła się Ewelina.

- Boję się - szepnęła, jakby czuła się w obowiązku wytłumaczyć. - Nie. Ani się waż! - Odsunęła się, gdy chciał ją objąć.

Cofnął rękę i więcej nie próbował. Ale cieszyło go to, co słyszał w jej głosie. Lodowiec tajał, choć jeszcze wczoraj wydawało się to niemożliwe.

Z ulicy dobiegł odgłos zapalnego silnika i nagle przyszło mu do głowy, że to może samochód z Lakaka. Miał co prawda kluczyki, ale...

Wyślizgnął się z łóżka - ostrożnie, żeby nie zbudzić Eweliny - i podszedł do okna. Alarm był fałszywy; za zakrętem zniknął jakiś kabriolet, podczas gdy tamten wóz stał na swoim miejscu.

Usłyszał hałas w przedpokoju i przez otwarte drzwi zobaczył Tomasza. Wyszedł do niego, nakazując ciszę palcem przyciśniętym do warg.

- Mama jeszcze śpi - powiedział szeptem.
- Dzisiaj ty wstałeś pierwszy - rzekł Tomek. - Czy coś się stało, tatusiu?
- Nie. Dlaczego tak sądzisz?
- Nigdy nie wstajesz przed mamą.

Meleka poczuł się skarcony.

- Teraz będzie inaczej - odparł.

Przez dłuższą chwilę syn przyglądał się ojcu. Jego twarz

zdradzała wysiłek dziecięcego umysłu.

- Czy to znaczy, że pójdziesz ze mną do Parku Zająca?

Meleka uniósł brwi, ale po chwili hasło wywołało wspomnienie. Park Zająca był małym, objazdowym lunaparkiem, który rozlokował się przed miesiącem na skraju Dębnicy.

- Nie byłeś tam jeszcze? - zapytał.

Powinienem być to wiedzieć, pomyślał z nieoczekiwaną złością.

- Byłem, ale z mamą.

- I chcesz iść jeszcze raz?

- Jacek był tam ze swoim tatą.

Meleka uśmiechnął się.

- Czy jest jakaś różnica, z kim tam pójdziesz?

Tomek nie spuszczał z niego oczu. Po chwili wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

- Oczywiście, że pójdziemy do Parku Zająca - rzekł Meleka.

- Dzisiaj?

- Dzisiaj.

Okrzyk wzniesiony przez Tomka obudził Ewelinę.



Meleka wstał od stołu.

- Wracam do pracy - powiedział, podchodząc do okna.

Jedząca śniadanie Ewelina uniosła głowę i popatrzyła na niego badawczo.

- Jeżeli będą cię chcieli z powrotem - rzuciła sceptycznie. Od momentu przebudzenia Meleka dostrzegał na jej twarzy jakiś smutek.

- Przypuszczam, że będą - odparł. Naprawdę w to wierzył. Pracę stracił przed miesiącem, został zwolniony za alkohol, ale pracodawcy w gruncie rzeczy bardziej zależało, żeby nie dawał złego przykładu. Przynajmniej ze wspomnień Messera wyłaniał



się taki obraz i chociaż nie musiał być obiektywny, to jednak mogło tkwić w nim ziarno prawdy. A przynajmniej chciał w to wierzyć.

Rozmawiał z Eweliną, ale nie potrafił uwolnić się od potrzeby kontrolowania, czy samochód z nieboszczykiem w plastikowym worku nadal stoi przed blokiem. Wciąż kręcił się przy oknie i zerkał na ulicę. Obsesja. Może i tak, ale kluczyki w kieszeni nie pozwalały zapomnieć, że można zrobić coś jeszcze ponad to, co udało mu się osiągnąć. Nie powinien czekać, skoro wie, gdzie jest Lakaka.

- Muszę wyjść - zdecydował się.

- Co? - Ewelina uniosła w górę brwi. - Zaczekaj. Nie tak raptownie. Przygotuj się do tej rozmowy.

- Ach, nie! Nie chodzi o pracę. To odkładam to do jutra. Mam coś do załatwienia... - Nieoczekiwanie wyczytał z jej twarzy jakąś zaciętość. Coś zapewne sobie pomyślała, ale nic nie mógł na to poradzić. Były dziesiątki takich poranków, gdy wychodził załatwiać jakieś sprawy, a potem wracał nieprzytomny z przepicia.

Trudno, żeby o tym zapomniała.

- Wychodzimy z tatą do Parku Zająca - powiedział Tomek, niewyraźnie wymawiając słowa z powodu kanapki, którą wpychał do ust.

- Idziecie? - spojrzała wymownie na Melekę.

Poczuł się winny za nie swoje winy. Nie potrafił zrzucić tego z sumienia, jakby Krystian Messer wciąż w nim tkwił. Może rzeczywiście tak było. Nie znał dokładnie zasad skoków przez Sito.

Nagle zdał sobie sprawę, że Ewelina czeka na odpowiedź.

- Idziemy - potwierdził. - Zaraz po śniadaniu. Przecież mówiłem, że mam coś do załatwienia.

- Już jest po śniadaniu - zawołał Tomek, zeskakując z krzesła.

- No to jazda - zdecydował Meleka.

Ale i tak, zanim ruszył włożyć buty, raz jeszcze spojrzął na ulicę, na zaparkowany przed blokiem samochód.



Po trzeciej kolejce odeszli od karuzeli i znaleźli się przed budką strzelnicy.

- Zestrzel coś - powiedział Tomek. - Tata Jacka zestrzelił cztery kwiaty.

Meleka westchnął. Nie umiał strzelać ani on, ani Krystian Messer, więc miał pewność, że nic z tego nie będzie.

- A ty nie chciałbyś? - zapytał.

Tomek przysiadł z emocji.

Pracownik strzelnicy zaproponował koło, co z uwagi na możliwości chłopca wydawało się rozsądne. Koło było osadzoną na osi tarczą, podzieloną promieniami na kilkanaście kolorowych trójkątów. Zadaniem strzelca było wymierzenie w kręcącą się, migającą kolorami płaszczyznę i naciśnięcie spustu, czyli tak zwany strzał na oślep. Następnie koło zatrzymywano i dokonywano sprawdzenia, w jakie miejsce trafiła lotka. Ewentualna nagroda zależała od koloru, w który trafiono.

Meleka chwycił Tomka pod pachy i uniósł w górę, umożliwiając dotknięcie stojącej na ladzie wiatrówki. Chłopiec przymierzał się ze skupieniem godnym snajpera, a tymczasem koło migało kolorami tęczy. Meleka patrzył na barwne plamy i nagle ten widok skojarzył mu się z hipnotycznym seansem. Wirowanie. Nieprzerwany, jednostajny ruch. Krążą kwarki, nukleony, elektrony wokół atomowych jąder, krążą gromady galaktyk, gromady gromad, i wreszcie krążą wszechświaty. I nie ma pewności, że na tym koniec. Ruch obrotowy jest regułą, stanem naturalnym, każdy inny to lokalna anomalia bez znaczenia.

Obrotowy ruch wszechświatów. I Obserwator. Jego pozycja ma podstawowe znaczenie przy ruchu każdego rodzaju, a zatem

również i w tym wypadku. Wystarczy Obserwatora unieruchomić, a wszechświaty zaczną przemykać przez niego, kontynuując swój obrót dookoła nieodgadnionego jądra. Właśnie tym jest Skok. Związany ze swoim wszechświatem Obserwator nagle traci tę więź; rozpoczyna spadanie, choć w rzeczywistości właśnie dopiero teraz pozostaje w stanie spoczynku. Światy przenikają przez niego niczym woda przez kuchenne sitko.

To właśnie przeżyli obaj: Meleka i Lakaka, a przed nimi wielu innych, od czasu, gdy odkryto sposób na Skok.

Wyzywającym był Lakaka. Każdy może wyzwąć przeciwnika, a Arbitraż decyduje, czy miał takie prawo i czy strona wyzwana musi się podporządkować. W tym wypadku Arbitraż przyznał słusność żądaniom Lakaki, legalizując pojedynkowy charakter Skoku. Meleka nigdy nie pochwalał pojedynków i nie przypuszczał, iż kiedykolwiek mogą go one dotyczyć, aż nastąpił ten dzień, gdy prosto w twarz wykrzyknięto mu formułę Skoku.

Decyzja Arbitrażu była prawomocna i jakiekolwiek pretensje Meleka mógł kierować tylko do Lakaki i do ludzi jego pokroju, którzy nie potrafili wybaczać.

Prawdę mówiąc, było co wybaczać. Lakaka był pieniaczem, ale miał też swoje racje. Brzęk tłuczonego szkła i trzask rozdzieranych blach, to wszystko, co Meleka pamiętał z tamtej koszarnej chwili. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Samochód wyrósł nagle przed nim jak duch. Potem uderzenie. Krzyk. Koniec. Córka Lakaki zginęła na miejscu.

A potem postawiono ich na Skoczni i spięto Nicią, której czynna końcówka przypadła w udziale Lakace, jako stronie poszkodowanej. Odczytano formalną instrukcję, sekundanci udzielili ostatnich rad, po czym rozpoczęto odliczanie. Skoczyli. W przepaść bez dna.

Ile jest wszechświatów? Koło można podzielić średnicą na pół, potem każdą połowę znowu na dwie identyczne części - i tak dalej. Każde takie pole możemy dzielić dalej, bo dysponu-

jemy nieskończenie cienką linią podziału. Pozornie wynika z tego, że Obserwator nigdy nie wróci do własnego wszechświata, skoro droga przed nim nieskończona. Ale to tylko filozoficzny paradoks, w tym Wszechświecie tożsamy z zagadką Zenona z Elei. W praktyce Obserwator nie tylko może powrócić, ale nawet musi, ponieważ koło ma skończony, wymierny obwód, a Obserwator zawsze znajduje się w którymś z jego punktów.

Inna sprawa, czy zostanie przez swój macierzysty wszechświat na powrót przechwycony, czy też przeleci dalej, czekając na swoją szansę przy kolejnym zbliżeniu.

Podczas spadania Meleka był kilkakrotnie porywany przez któryś z przemykających wszechświatów. Wpadał w ciało jakiegoś mieszkańca, za każdym razem jednak szarpnięcie Nici wyrwało go powtórnie. Aby mógł pozostać, musiał zdarzyć się przypadek równoczesnego wniknięcia w mieszkańców tego samego wszechświata obu spiętych Nicią przeciwników. Dlatego również Meleka niejednokrotnie wyszarpywał Lakakę z ciała, w które z kolei jemu udało się spaść.

TRRRACH!!!

Operator strzelnicy zatrzymał koło. Lotka tkwiła w polu barwy żółtej. Meleka zadał sobie trud i przeliczył kolorowe trójkąty, było ich czternaście. Czternaście małych wszechświatów. Mężczyzna obsługujący strzelnicę wręczył im sztucznego kwiatka.

Przez całą drogę powrotną wysłuchiwał paplaniny Tomka. Sprawiało mu to przyjemność. Czuł się odprężony, po raz pierwszy od wielu dni. Ale kiedy dotarli do bloku, w którym znajdowało się ich mieszkanie, poczucie zagrożenia powróciło. Meleka zatrzymał się, z twarzą bladą jak papier.

- Tato! Tato! - dotarło do niego natarczywie wołanie syna. Pomacał ręką w kieszeni. Kluczyki były tam nadal.

- Tato!

- Wracamy do domu - rzucił nerwowo. - Szybko!

Tym, co go przeraziło, była pustka przed blokiem. Samochód

z Lakaką zniknął.



- Co się dzieje? - Szuszkiewicz wjechał na podjazd i zaciągnął ręczny hamulec.

Przed posterunkiem stała laweta z dźwigiem, przeznaczona do transportu porzuconych bądź nieprawidłowo zaparkowanych pojazdów. Dźwig stawał właśnie na parkingu zdjęty z platformy ładunek. Był nim prywatny wóz Korotki. Akcję obserwowali dwaj policjanci z Wydziału Wewnętrznego. Trzeci śledczy, wciąż towarzyszący Szuszkiewiczowi, niespiesznie opuścił radiowóz i podszedł do współpracowników.

- Znaleźliście - stwierdził bez emocji.

- To było do przewidzenia. Czymś musiał tam dojechać. Ale... - mówiący zawiesił w górze wskazujący palec. - W środku mamy jeszcze jednego nieboszczyka, szefie.

Śledczy pochylił się i spojrzał przez przyciemnioną szybę.

- Fiuuu - gwizdnął, zupełnie jak wtedy na posterunku, kiedy odebrał telefon o identyfikacji odcisków palców. Widać był to jego ulubiony sposób wyrażania zdziwienia. - W plastikowym worku - rzekł, wyprostowując się i patrząc wymownie na Szuszkiewicza.

- Coś nie tak, szefie? - zainteresował się młody śledczy.

- Z kostnicy zniknęły zwłoki niejakiego Zięby - wyjaśnił funkcjonariusz. - Założę się, że to on. Otwieramy!

- Przy Korotce nie znaleziono żadnych kluczyków. - Młodzian rozłożył ręce. - Trzeba się włamać.

- No to się włamuj. - Szef schylił się do klombu i wyjął pokaźny kamień, który wręczył współpracownikowi.

Szyba przy siedzeniu kierowcy rozprysnęła się pajęczą siecią i trzeba było ręcznie wyjmować odłamki. Ręka śledczego, lawirując między sterczącymi odłamkami szkła, sięgnęła wreszcie klamki i drzwiczki się otworzyły. Powiało straszliwym

smrodem.

- Zięba nie żyje od czterech dni - rzekł Szuszkiewicz.
- Czy jest ktoś, kto mógłby go zidentyfikować?
- Jego żona - odpowiedział Szuszkiewicz. - W nocy Kowalik zlokalizował wreszcie miejsce jej pobytu i zdołał się dodzwonić. Powinna tu być jeszcze dzisiaj.



Chórzysta umilkł, lecz niskie tony organów nadal rozbrzmiewały w pomieszczeniu. Katarzyna Różańska trzymała Adelę Ziębę pod rękę i płakała razem z nią.

Lakaka czuł obecność obu kobiet, słyszał wszystko, co działo się wokół niego, ale nie mógł tego zobaczyć. Z chwilą, gdy udało się mu zapanować nad Korotką, to on był jego oczami. A potem te oczy zgasły i świat pochłonęła ciemność, z której na próżno usiłował się wydostać. Bał się. Strach rozłokował się w każdym zakamarku jego umysłu. Usiłował nad tym zapanować, ale udawało mu się to tylko na chwilę, potem przerażenie znów powracało.

Lakaka wiedział, gdzie się znajduje i dlaczego stojące przy nim kobiety płaczą. Przewidywał, co nastąpi za kilka minut: skrzynia ze zwłokami Zięby zostanie spuszczone do dwumetrowego dołu i rzucone łopatą porcje ziemi zastukają o wieko. Będą coraz cichsze, coraz słabsze, aż wreszcie ucichną na zawsze. Jak długo pozostanie czynny jego umysł? Jak długo myśli błąkać się będą w prostopadłościanie zakopanej w ziemi skrzyni? W tym miniaturowym wszechświecie bez gwiazd, bez ruchu, bez życia?

Coś zgrzytnęło i Lakaka zorientował się, że trumna się przemieszcza. Nie! Usiłował szarpnąć się w gwałtownym proteście. Rozpaczliwe pragnienie wydostania się poraziło niematerialnym bólem.

Nie róbcie mi tego! Błagam!

Obłąd, obłąd, obłąd!



Lakaka mylił się. Trumna ze zwłokami Zięby nie powędrowała do grobu.

Katarzyna Różańska trzymała wdowę pod rękę i płakała razem z nią, podczas gdy piętro niżej palacz nacisnął przycisk uruchamiający komorę kremacyjną pieca. Napięcie tysięcy woltów w ciągu kilkunastu sekund zmieniło ludzkie ciało w białoszary proszek, który podmuch wentylatorów skierował do niewielkiej retorty.

Człowiek opuścił świat. Człowiek opuścił Wszechświat.



Każdy kęs obiadu rósł Melece w ustach, chociaż przez ostatnią dobę prawie nic nie jadł - od chwili, gdy samochód z Lakaką zniknął. Co prawda znowu nie czuł napięcia Nici, tak samo jak na początku, ale tym bardziej go to niepokoiło. Tak jak wtedy, nie wiedział, gdzie jest Lakaka, lecz teraz nie miał już złudzeń, że zdołał się od niego uwolnić, że Nić urwała się i może przebywać w różnych światach.

Jadł obiad, patrzył na kobietę i chłopca, ludzi, których zaczął nazywać swoją rodziną i nie wiedział co ma robić. Może powinien odejść, póki nie jest z późno?

- Nie smakuje ci? - zapytała Ewelina.

Skręt.

Nic napięła się znienacka, bez ostrzegawczego drgnięcia. Szarpnięcie zaskoczyło silnym bólem, ostrym jak cięcie gilotyny. Przed oczami zamigotała jasność, stroboskopowo zmieniająca się w czern.

Fotony i ich brak.

Znał to. Został wyrwany z kolejnego wszechświata.

Lakaka pociągnął go przez Sito. Spadali.

† † †

- Nie smakuje ci? - powtórzyła Ewelina.

Krystian Messer patrzył na żonę w osłupieniu. Tkwił z widelcem uniesionym ku ustom i zastanawiał się, czy śni.

Nie mógł jeść obiadu w domu, bo Ewelina od dawna gotowała tylko dla siebie i Tomka. Ewelina nie mogła się do niego uśmiechać. Nie mogła patrzeć mu w oczy ani o nic pytać.

Miał ogromną ochotę odpowiedzieć na jej pytanie, zaprzeczyć, że wręcz przeciwnie, obiad bardzo mu smakuje, ale bał się odezwać.

Bał się przebudzenia.

† † †

- Nie!

Leżący na szpitalnym łóżku mężczyzna szarpnął się konwulsyjnie, uderzając obandażowaną głową o oparcie. Lekarz i pielęgniarka przytrzymywali go nie bez trudu.

- Coraz gorzej - powiedziała pielęgniarka. - To się nasila.

- Zastryk uspokajający - zdecydował lekarz. - Szybko!

- Mam go puścić?

- Dam sobie radę.

- Nie róbcie mi tego. Błagam! - krzyczał mężczyzna i zdołał usiąść, pomimo silnego uścisku lekarza. Oczy miał zamknięte. Jego skóra obficie wydzielala pot, który wsiąkał w pizamę.

- Proszę się uspokoić, panie Korotko, spokojnie - mówił rutynowym głosem lekarz, lecz jego słowa trafiały w próżnię. Nie był słyszany.

Ryszard Korotko nie odzyskał przytomności od chwili przywiezienia go do szpitala, choć właściwie nie bardzo było wiadomo dlaczego - rana po uderzeniu kijem w głowę nie



wydawała się aż tak poważna. Nie zaobserwowano również typowych objawów wstrząśnienia mózgu.

- Obłąd, obłąd, obłąd! - zaczął wykrzykiwać Korotko, szarpiąc rękaw lekarza.

Pielęgniarka podała strzykawkę.

- Cholera! - Lekarz zachwiał się na skutek szarpaniny pacjenta. - Pasy! Przynieście jakieś...

Nie dokończył, gdyż przypadkowy cios Korotki trafił go w brzuch.

- Ja płonę! Nie! Nie chcę! - Pacjent stoczył się z łóżka. Natychmiast zerwał się na nogi i biegał po sali, jak ślepiec potykając się o meble.

- Nie!

Przestraszona pielęgniarka przysunęła się do ściany, wciąż ze strzykawką w dłoni. Nagle otworzyły się drzwi i do sali wbiegli dwaj sanitariusze.

- Płonę! Nieee! - Korotko podarł piżamę na strzępy i ranił ciało paznokciami. Jego ruchy stawały się coraz wolniejsze, aż wreszcie upadł na podłogę. Jęcząc, podrygiwał, niczym przewrócony na grzbiet owad.

I wtedy jego skóra zaczęła czerwieniec. Puchła w oczach, przybierając coraz intensywniejszą barwę.

Pojawiły się bąble.

- Pomóżcie mi! - wrzasnął lekarz, rzucając się na Korotkę. Sanitariusze skoczyli na pomoc.

- Siostró, zastrzyk!

Pielęgniarka oprzytomniała. Z kłębowiska ciał wydostała rozpaloną rękę, żywą, lepką ranę, w którą igła strzykawki weszła jak w masło. Nie było czasu na szukanie dogodnego miejsca.

Gdy wreszcie ucichł krzyk, wszyscy tkwili w tych samych pozycjach, jakby spodziewali się, że to jeszcze nie koniec. Wreszcie ktoś kaszlnął i to podziałało jak sygnał; zaczęli wstawać kolejno, oddychając głośno po wysiłku.

Na podłodze pozostał tylko pacjent, poparzony na całym ciele, leżący na wznak, z rozłożonymi szeroko rękami. Miał otwarte oczy - po raz pierwszy, odkąd przywieziono go na oddział. Spojrzenie wydawało się nieprzytomne, ale gałki oczne się poruszały.

- Co mu się stało? - odezwała się pielęgniarka.

Lekarz pokręcił głową.

- Podobno sfiksował - rzekł jeden z sanitariuszy. - Zdaje się, że wykradł z kostnicy jakieś zwłoki. Od razu powinni umieścić go na psychiatryku, nie u nas.

Pielęgniarka zacisnęła usta.

- A potem zabił dwóch swoich kumpli z drogowki... - kontynuował sanitariusz, ale urwał, zgaszony spojrzeniem lekarza.

- Bo jeśli nie sfiksował, to może lepiej byłoby dla niego, gdyby umarł tutaj? - dokończył cynicznie, kiedy lekarz wyszedł.



Stali na Skoczni, twarzą w twarz, a łącząca ich Nić rozpadała się, znacząc ślad destrukcji drobną iskrą, wędrującą niczym po tłącym się lonicie.

Lakakę ogarnął spokój. Odczuwał olbrzymią ulgę, jaka przydarza się czasem przy przebudzeniu w środku koszmarnego snu. Widział znajome wnętrza, znanych sobie ludzi i to wystarczyło, by na jego twarzy pojawił się ślad uśmiechu. Wrócił. Przed nim stał Meleka, którego pochmurne oblicze przypominało pomalowaną na białą maskę.

W hangarze było mnóstwo ludzi: technicy, obserwatorzy i sekundanci.

Lakaka wpatrywał się w cyfry ściennego zegara. Wyświetlacz pokazywał godzinę 12:31. Wciąż 12:31. W ich własnym Wszechświecie nie minęły nawet sekundy. Spojrzał na Melekę, który wyglądał na nie mniej zdumionego. Tkwił na swojej

części platformy niczym doskonały gipsowy odlew.

- Wszystko sprawdzono - odezwał się mechaniczny głos. - Powrót bez uszkodzeń. Można zatrzymać procedurę.

- Procedura zatrzymana.

Pozwolono im opuścić stanowiska, co Lakaka uczynił bezwładnie. Meleka wciąż się nie ruszał. Wodził wokół wzrokiem, który sprawiał wrażenie nie do końca przytomnego.

Lakaka mógł już sobie iść. Wrócili obaj, wynik pojedynku pozostał nierozstrzygnięty i zgodnie z prawem nie można go było powtórzyć. Sprawa została skończona raz na zawsze. Ale nie potrafił się powstrzymać, by po tym wszystkim, co przeszedł, nie spojrzeć po raz ostatni w oczy przeciwnika.

- No i co, Meleka? Nie udało się?!

Zapytany milczał. Ledwie spojrzał w jego kierunku.

- Hej, panie Meleka! - zawołał zaniepokojony sekundant, stojący tuż obok. - Słyszysz mnie pan?

- Dlaczego nazywa mnie pan Meleką? - spytał Ryszard Korotko.

# VAMPIR

Uliczka była cicha. Mario Iglesias stał w cieniu drzewa, zasłonięty przez pień przed wzrokiem nadchodzącej kobiety. Rogalik ponurego księżyca wyłonił się zza chmur, zrobiło się jaśniej, jednocześnie na elewacji przylegającego do chodnika budynku pojawiły się dwa wydłużone cienie - mężczyzny oraz drzewa. Zaniepokojony Mario przysunął się do pnia i cienie zlały się w jedno. Kobieta zwolniła kroku. Coś zauważyła?

Nie zamierzał czekać dłużej. Dopadł ofiary kocim ruchem - był na tyle szybki, że nie zdążyła krzyknąć, nim zacisnął obie ręce na jej szyi. Odciągniętym kciukiem wyszukał chrząstkę tarczowatą; pogłodził to miejsce, pozostawiając zaczerwieniony ślad. Kobieta rzeziła cicho, podejmując daremne próby wyrwania się z uścisku. Mario zwlekał, obdarowując się tą chwilą, podczas której przerażenie gasiło życie kulającej się przed nim kobiety.

Kilka minut rozkoszy dla niego, kilka minut cierpienia dla niej.

Zresztą, co naprawdę jest cierpieniem?

Dłużej nie mógł wytrzymać łaknienia i wbił zęby w wyprężoną szyję, w miejsce, które wcześniej wyszukał kciukiem. Niegdyś, dawno temu, gdy robił to po raz pierwszy, spodziewał

się krztuszącego smaku krwi, agonalnych drgawek ofiary i wszystkich tych innych rzeczy, które zakodowało w umyśle człowieka kulturowe dziedzictwo. Teraz wiedział, że nie tędy wiedzie jego droga. Nie poprzez krew.

Ale pozostała ekstaza.

Kobieta zniknęła jak dobra wróżka z bajki. Otoczona rojem migających gwiazd, w srebrze i złocie ulotnych serpentyn, delikatnych śniegowych płatków. Mario nadal trzymał ręce na wysokości jej ramion, ale dłonie miał puste. Poniżej wisiała pusta sukienka, wydęta, jakby wciąż jeszcze okrywała właścicielkę. Za moment materiał zmarszczył się i sukienka spłynęła z wiatrem na chodnik. Z wnętrza wypadł śnieżnobiały stanik, wciąż zapięty.

Mario Iglesias odsunął się. Głęboko nabrał do płuc powietrza - aż ukłuło w mostku - ale krótki, ostry ból przywrócił harmonię umysłu. Jeśli na wargach miał krew, to może kropkę czy dwie.

Rozejrzył się. Nikogo. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Tak być powinno. Wyjął z kieszeni plastikowy worek i pozbierał do niego ubranie i biżuterię. Było takie miejsce w parku, gdzie zakopywał takie rzeczy. Nie wiedział, co się z nimi działo potem. Kiedyś z ciekawości rozkopał jeden dołek. Nie znalazł nic.

Odchodząc, nie obejrzał się za siebie, ale nad punktem, gdzie zniknęła kobieta, wciąż wisiała ulotna mgiełka. Miała tam pozostać bardzo długo, być może na zawsze. Niczym potępiona na wieki dusza. Amen.

Dotykając ręką policzka, Mario Iglesias poczuł pod palcami mokry ślad. Łza. Nie po raz pierwszy się wzruszył i pewnie nie ostatni.



Mario Iglesias. Trzydzieści siedem lat, przeciętna aparycja, ubiór niewyróżniający z otoczenia. Spacerował ulicami miasta i

przyglądał się ludziom. Na tym polegała jego praca.

Między innymi na tym.

Zaglądał ludziom w twarze. Robił to każdego dnia. Chodził i patrzył. Był jak fotograf i fotograficzny aparat razem wzięte.

*Ciach!*

I jest anfas.

Anfas, wchłaniany przez uważne źrenice Iglesiasa, wędrował przez setki tysięcy matryc, wstępnie wyselekcjonowanych spośród milionów innych. Przeważnie anfas zatrzymywał się, przystając do któregoś wzorca, lecz czasem, niezmiernie rzadko, przelatywał niczym woda przez sito i wtedy zaczynała się ciekawsza część roboty. Zdecydowanie przyjemniejsza.

Najpierw należało sprawdzić, czy z pewnością chodzi o Intruza. Iglesiasowi nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby analiza matryc okazała się błędna, ale taka była procedura. Pewność, że wyselekcjonowany osobnik rzeczywiście jest podrobiony, musiała być stuprocentowa. Przeważnie wystarczała zwykła rozmowa. Intruz z reguły doskonale orientował się w swojej sytuacji, choć dawno temu niejaki Decray poinformował Maria, że może być inaczej.

Dyskretna likwidacja Intruza kończyła temat. A matryce dalej trzaskały w głowie, niczym listwy tkackiej maszyny.

*Mężczyzna-ciach! Następny, ciach! Kobieta-ciach.*

Czasami, tak jak dzisiaj, Mario siadał w jakiejś kafejce, zawsze przy oknie, i popijając kawę skanował przechodzących chodnikiem ludzi. Nie szkodzi, że szyby czasem były brudne, matryce radziły sobie nie z taką jakością obrazu.

*Następny proszę - ciach!*

Znów nic. Jak zazwyczaj. Monotonia.

*Ciach!*

Iglesias zastygł w pół ruchu, kubek z kawą trzymając przy ustach. Gorący, ciemnobrazowy płyn ciekł mu po brodzie, ale on nie zwrócił na to uwagi. Patrzył na przebiegającego przez plac chłopca, spod którego nóg leniwie odfrwały gołębie.

Anfas dzieciaka przeniknął przez matryce i legalność osoby została potwierdzona.

Nie był Intruzem. Wszystko wydawało się w porządku.

Niezupełnie?

*SKIP--. Replay!*

Wiek 5.05-5.55. Klasa otwarta, czaszka zero, oczy niebieskie, pigment Q5, włosy 0.09, skóra...

*RETURN. Dość!*

Pod względem legalności wszystko pasowało. Chłopiec nie był Intruzem, skoro jego anfas w siedem setnych sekundy odnalazł swój wzorzec. Można by przejść nad tym do porządku dziennego, gdyby nie pewien drobiazg: Mario pamiętał szczeniaka. Pamiętał go zwyczajną, ludzką pamięcią. Nie jakimś cholernym matrycowym analizatorem skaningów, ale swoim własnym, człowieczym umysłem. Dziecko łatwo zapamiętać. W całym mieście było ich może z tuzin.

Widział chłopaka nie dalej jak pięć dni temu, na tym samym placu.

Problem w tym, że pamięć stała przechowywała anfasy około dwóch tygodni - czasem dłużej, jeśli nie była przepełniona, ale nigdy krócej. Ta archiwizacja służyła do celów wstępnego filtrowania skaningów. W praktyce oznaczało to, że twarze, które oglądał po raz wtóry, nim minęło czternaście dni, nie były w ogóle analizowane. Ich podobizny nie przechodziły przez matryce.

Oszczędzało to czas.

Jakim więc cudem anfas chłopca znalazł się w zasięgu matryc, skoro minęło raptem kilka dni?

Do diabła! Ufał własnej pamięci!

Zdecydowanym ruchem odstawił kubek z kawą i wybiegł z kafejki. Kawa była zapłacona. Zawsze płacił rachunki przed konsumpcją. Na wszelki wypadek. Na taki jak teraz.

Chłopiec wchodził na szerokie schody, prowadzące do gmachu kościoła. Od drzwi dzieliło go kilka stopni i trzynie-

trowy pas posadzki. Jeśli dzieciak się nie zatrzyma, Mario nie miał szans go dogonić. I nawet specjalnie się nie starał. Kościół to nie stóg siana.

Nagle zahaczył o coś butem, potknął się, uderzył boleśnie w kolano. Wylądował na rozpostartych dłoniach; przez moment tkwił w tej nieoczekiwanej pozycji, nie mogąc zrozumieć, co się stało. Obok leżała młoda dziewczyna. Bardzo ładna. Czarnowłosa niczym Cyganka. Krótka sukienka zadarła się, odsłaniając zgrabne nogi aż po majtki.

- Czy pan zwariował?! - wrzasnęła.

- Tak przypuszczam - odparł z humorem i wstał.

Podał jej rękę, ale nie skorzystała z pomocy. Syknęła niecierpliwie, że sama sobie poradzi. Strzepnęła sukienkę.

- Przepraszam. Nie zauważyłem pani - podjął, lecz ona odwróciła się bez słowa, z oburzoną miną. Podniosła upuszczoną wcześniej torebkę i w pośpiechu zbiegła po schodach.

Jej twarz Mario Iglesias miał zapamiętać na długo. O wiele dłużej niż te ułamki sekund, gdy jej anfas przelatywał przez matryce, swobodnie, jak spadająca gwiazda, by w końcu na którymś z wzorców potwierdzić swoją legalność.



Leżał na kanapie, w mieszkaniu znajdującym się na dwudziestym trzecim piętrze punktowca, położonego w sercu miasta. W budynku było bez liku komfortowo wyposażonych apartamentów, lecz zaledwie kilkanaście z nich miało lokatorów. Na swoim piętrze Mario Iglesias był jedynym mieszkańcem. Brakowało chętnych. Choć można spojrzeć na to również z innej strony: tych kilkunastu chętnych uzasadniało fakt istnienia punktowca.

Nie spał. Z jego software'u wyeliminowano sen. Zbędny balast. Mimo to zawsze był rześki, gotów do działania. Leżał na kanapie, bo to lubił, nie dlatego, że czuł się zmęczony. Czasem



zastanawiał się, czy wciąż jest człowiekiem, czy też - przyobleczoney software'ową mimikrą - tylko zewnętrznie człowieka przypomina. Zaprzętał sobie głowę tego rodzaju rozważaniami, ale teraz miał problem. Nie mógł zrozumieć, jak tamten chłopiec mógł mu się wymknąć?

Wymknął się, bo Mario nie potrafił wejść do kościoła.

Stał przed otwartym skrzydłem masywnych dębowych drzwi, surowo rzeźbionych i ciemnych ze starości, niezdolny do jednego jedyne go kroku. Absurd, niewyobrażalny absurd! Niewidzialna przeszkoda okazała się nie do pokonania. Dla kogoś z zewnątrz musiał wyglądać jak epileptyk, miotający się w ataku choroby. Z równym powodzeniem mógłby próbować wzbic się w powietrze, by polecieć razem z gołębiami.

Szukał innego wejścia - nie znalazł. Zatem czekał. Bardzo długo. Do końca dnia i prawie całą noc. Chłopiec nie wychodził. Umarł tam czy co?! Jeszcze kilkakrotnie usiłował przekroczyć próg kościoła, lecz bez rezultatu.

Co się stało z chłopcem?

Mógł wyskoczyć oknem, ale odczyt wskazał, że gnojek ma pięć lat, wyglądał zresztą na tyle. Jak taki malec może nagle wyfrunąć przez okno? A nawet jeśli, to po co?

Matryce nie zgłaszały zastrzeżeń. Według reguł wszystko było w najlepszym porządku. Na dobrą sprawę chłopiec nie powinien go interesować. Jakiś bufor pamięci puszcza lipę na matryce. Co go to w ogóle obchodzi? Jego zadanie polega na wyszukiwaniu Intruzów, ten malec Intruzem nie był, czyż nie tak? Tak.

A jednak obchodziło.

Może nie na tyle, by tkwić przed kościołem do końca świata, wystarczająco mocno jednak, by rozmyślać o tym w czasie przeznaczonym na nudę, w swoim mieszkaniu na dwudziestym trzecim piętrze przeszklonego wieżowca.

Tknięty nagłą myślą Mario podniósł się z kanapy i skierował ku narożnikowi pokoju, będącego w zasięgu Projektora Zda-

rzeń. Raptem cztery metry kwadratowe podłogi. Projektor Zdarzeń, nazywany również Przeglądarką, był częścią magii tego świata. Mario połączył się z portem Sieci, podał hasło, swój numer identyfikacyjny i zażądał transmisji zdarzenia, określając godzinę.

Obecnie była czwarta rano. Stracił mnóstwo czasu, zaczajony przed kościołem. Mimo wszystko miał nadzieję, że Sieć nie zdążyła spakować fragmentu, na którym mu zależało.

Nie zdążyła. Przekaz był wierny.

*Chłopiec wchodził na szerokie schody, prowadzące do gmachu kościoła. Od drzwi dzieliło go kilka stopni i trzymetrowy pas posadzki.*

*Świat zatańczył. Na stopniach szeroko rozpostarte dłonie. Jego własne.*

- *Czy pan zwariował?!*

*Krótką sukienka dziewczyny zadarła się, odsłaniając zgrabne nogi aż po majtki.*

- *Tak przypuszczam.*

STOP! SKIP--.

Iglesias raz jeszcze przyglądał się scenie. To nie były wspomnienia, które zniekształcić może ułomna pamięć, lecz fakty. Rejestracja z kamery, którą stanowiły jego oczy. Widział wszystko, co miał wtedy w zasięgu wzroku, nawet szczegóły normalnie umykające uwadze.

Przekonał się, że zderzenie z dziewczyną nie było przypadkowe. Pojawiła się nagle, z prawej strony, i celowo zahaczyła go nogą. Po prostu mu ją podstawiła - sztubacki chwyt. A potem szybko położyła się na stopniach, unosząc rąbek sukienki. W ostatniej chwili, gdy już odwracał głowę w jej stronę, nerwowo zamknęła torebkę. Zbyt nerwowo. Chowała coś?

- *Czy pan zwariował?*

Iglesias cofnął Projektor. Dał szersze pole widzenia, chociaż obraz stał się przez to mniej wyraźny. Biegnie przez plac. Chłopiec wchodzi na schody. Dziewczyna? Jest! Stoi przy

balustradzie, wyraźnie obserwuje szczeniaka.

Zrozumiał. Asekurowała go. Pilnowała gnojka. Trzeba przyznać, że umiejętnie.

- *Tak przypuszczam.*

† † †

Sieć przypomniała Iglesiasowi, że jest niedziela. Pora do trumny. Nie lubił tego. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kiedyś z niej nie wyjdzie. Oczywiście to tylko idiotyczna fobia.

† † †

*Jest!*

Kafejka. Za zabrudzoną szybą plac. Kawa na wargach Mario Iglesiasa.

Przez plac z rzadka przechodzili ludzie. Gołębi było zdecydowanie więcej, jakby to one były gospodarzami, a dwunożne istoty jedynie atrakcyjnym dodatkiem. Minęło kilka godzin obserwacji, a do kościoła weszły zaledwie dwie osoby, w tym ksiądz, o którym można by pomyśleć, że nikomu nie jest specjalnie potrzebny, ale Iglesias doskonale wiedział, że to nieprawda. Z księdzem i kościołem było po trosze tak, jak z pustostanami w wieżowcu, w którym mieszkał. Wszystko było komuś do czegoś potrzebne. Wszystko.

Jest!

Piąty dzień czekał na tę chwilę i oto jest! Wspaniały widok i wspaniały odczyt z matrycy: *Wiek S.05-5.55. Klasa otwarta, czaszka zero, oczy niebieskie, pigment Q5...* Ten sam odczyt, znów niezatrzymany w buforze wstępnym. Ten sam anfas, docierający do swego matrycowego wzorca. Ten sam chłopiec i równocześnie nie ten sam, skoro został ponownie dopuszczony do weryfikacji, jak ktoś zupełnie nowy albo przynajmniej sprzed więcej niż czternastu dni. Bez sensu. Tak jakbyś prawym okiem

widział coś innego niż lewym. Oczywiście, że bez sensu.

Tak jak przypuszczał, dziewczyna wyszła z kościoła w chwili pojawienia się chłopca. Stara znajoma w seksownej minispódnicy. Damski ochroniarz. Musiała obserwować plac przez któryś z witraży. Iglesias widział ją wchodzącą do kościoła już ze dwie godziny temu i zaczynał zastanawiać się, czy monumentalny sakralny gmach nie pożera ludzi. Kamienny potwór.

Dlaczego by nie?

Dziewczyna oparła się o balustradę i obserwowała nadchodzącego malca. Poderwał się od stolika. Biegł, nie zamierzając dłużej się bawić się w podchody. To tylko pięcioletni szczeniak i podlotek, cóż mogą wskórać?

Dostrzegła go i rozpoznała. Widział to w jej oczach, szeroko rozwartych, nagle przestraszonych. Dopadł chłopca i w locie zgarnął go ręką. Trzymał pod pachą, jak pakunek.

- Nie ruszaj się! - krzyknął do dziewczyny

To, co zobaczył w jej oczach, nie było strachem, lecz gniewem. Dziką, niecierpliwą wściekłością. Jeszcze nie rozumiał, jak bezsensowny jest jego okrzyk. Dziewczyna zdecydowanym ruchem otworzyła torebkę i...

Srebrna kula.

To dziwne, że widział tę kulę. Była wielkości grochu, leżała w ciemnym zagłębieniu, na samym dnie torebki, a on ją widział, jakby miał oczy sokoła. Obnażył zęby, błyskawicznie przemieniające się w kły.

Za późno!

Ból w sercu zatrzymał go w pół kroku.

Znikał rojem migających gwiazd, w srebrze i złocie ulotnych serpentyn, delikatnych śniegowych płatków.

Istnieje obiegowa opinia, że niektórzy ludzie w chwili śmierci oglądają całe swoje życie. Mario do nich nie należał. Ale to nie znaczy, że metafizyczny projektor nic mu nie zaoferował. Owszem. Zaoferował pewną chwilę, która zmieniła jego

życie.

Tę pierwszą.

W agonalnym kinie zaprezentowano film z odległego o nieskończoność wszechświata, który wszak Mario Iglesias uważał za rzeczywisty. Obraz o spotkaniu z człowiekiem o nazwisku Decray, przedstawicielem Towarzystwa Asekuracyjnego.

- Naszą specjalnością są ubezpieczenia na życie - powiedział Decray. Dość dziwnie brzmiały te słowa, zważywszy na to, iż pomieszczenie, w którym przebywał wtedy Mario, było celą śmierci. Oczekiwał w niej na wykonanie wyroku, mającego nastąpić za niespełna dwie godziny.

- Jestem wiceprezesem firmy i od lat nie kontaktowałem się z klientami - mówił Decray, niespeszony wrogim spojrzeniem. - Lecz do pana pofatygowałem się osobiście, niech może to będzie gwarancją moich intencji.

- Trochę jakby się pan spóźnił... - stwierdził ponuro Mario. Na śmierć skazano go za wyjątkowo odrażające zbrodnie. Dziesięcioletnia dziewczynka, wykorzystana najpierw seksualnie, tylko otwierała tę listę.

Decray spojrzął na zegarek.

- Za jakieś dwie godziny mają cię powiesić.

Dwa dni wcześniej Mario miał atak szału. Tłukł głową o ściany, rozbijał dłonie o żelazne kraty. Ale to już minęło. Odeszło w przeszłość, jak wkrótce odejść miało wszystko.

- Brr... - warknął zniecierpliwiony.

W jego oczach błysnął wesoły ognik, gdy Decray odsunął się gwałtownie, jeśli nie wystraszony, to z pewnością zaskoczony.

Przez następną minutę siedzieli naprzeciw siebie i mierzyli się spojrzeniami. Mario na swojej pryczy, Decray na jedynym krześle, na stałe przytwierdzonym do podłogi. Stojący przy drzwiach celi strażnik zaczął się niecierpliwić i przesunął pałką po kratkach, przypominając o swoim istnieniu.

- Bardzo chcę się dowiedzieć, czy chcesz żyć, Mario -

odezwał się w końcu Decray.

- Jasne - odparł Mario ochryplym głosem. - A pan, panie Decray?

- I owszem. Ale ja żyję i prawdopodobnie jeszcze przez wiele lat nie mam się o co martwić. Natomiast co do ciebie...

- Czy wyglądam na zmartwionego?

- Nie. I trochę mnie to smuci, gdyż zastanawiam się, czy przypadkiem nie jesteś idiotą.

Oczy Maria zwięziły się, strażnik ścisnął w rękę pałkę, ale nie musiał interweniować. Decray najwyraźniej doskonale wiedział, na ile może sobie pozwolić.

- Myślę, że doskonale pan wie, kim jestem - rzekł Mario. - Mów pan, czego chcesz, albo spieprzaj !

I Decray powiedział mu. Firma nazywała się D.L.NET. Zarządzała Siecią. Światem poza Światem.

- Chcę, żebyś został obywatelem tego edenu.

Do rzeczywistości D.L.NET-u trafiali ludzie po swojej śmierci. Ci, którzy za niebotyczne pieniądze opłacili swoje ubezpieczenie. Prawdziwe ubezpieczenie na życie. Albo tylko tak wyglądało, że tam trafiają. Nie było możliwości sprawdzenia tej prawdy: komunikacja z tamtą rzeczywistością nie była możliwa, przynajmniej nie na obecnym etapie. Pozostawała wiara w potęgę teorii, wszechmoc algorytmów i geniusz programistów.

Wiara jest dość mocną stroną ludzi.

- A w zamian? - zapytał Mario.

- Proszę?

- Czego oczekujecie w zamian? Przecież to oczywiste, że nie funduje mi pan tej przyjemności z czystej sympatii.

- Zdarzają się włamania - wyjaśnił Decray. - Sieć jest rozległa, zatrudniamy tysiące ludzi i czasem nie sposób nad wszystkim zapanować. Zdarza się, że jacyś nawiedzeni hakerzy wprowadzają nielegalne osobowości. Nazywamy je Intruzami. Zawsze wykrywamy próbę wtargnięcia, ale już w kilku przy-

padkach interweniowaliśmy zbyt późno. Problem w tym, że po wprowadzeniu software'u nie ma możliwości dalszej jego kontroli.

- Nie chcecie Intruzów - podsumował Mario.

- Są nielegalne. Nikt nigdy nie zapłacił ani centa za ich pobyt w Sieci.

- Ach! Teraz rozumiem. - Mario wstał ze swojej pryczy. - Mam pozabijać skurwysynów!

- Dość drastycznie pan to ujął - skomentował Decray. - Ale rzeczywiście o to mniej więcej chodzi.

- Nie boicie się, że mogę w tej waszej Sieci niezłe narozrabiać?

Decray również wstał.

- Powiem ci w tajemnicy - powiedział teatralnym szeptem. - Boimy się.

A potem odchylił się do tyłu i opadł na swoje krzesło.

- Ale oficjalnie nie boimy się - dodał. - Wcale a wcale.

Iglesiasowi najwyraźniej nie spodobały się te słowa.

- To nie będę ja, prawda? Coś ze mną zrobicie? To jasne, że nie wpuścicie mnie takim, jakim jestem - zauważył.

- Owszem, mamy zamiar zmodyfikować nieco twój software - przyznał Decray. - Ale nie za wiele. Nam jest potrzebny ktoś taki jak ty, nie człowiek z ulicy.

- Często grzebiecie w człowieku?

- Nigdy - oświadczył z przekonaniem Decray. - Dopiero na tobie zamierzamy wypróbować nowe algorytmy.

- Łzesz jak pies.

- Skąd, do diabła, możesz o tym wiedzieć?

Przez moment w oczach Iglesiasa pojawił się błysk triumfu.

- To proste - rzekł. - Poznałem po twoich oczach. Jedna z moich dziewczynek błagała, żebym ją wypuścił. Przysięgała, że nikomu o mnie nie powie. Nikomu. Nigdy. Miała w oczach to samo co ty.

A potem Mario Iglesias się zgodził.

Nie wiedział tylko, dlaczego wychodząc, Decray zapytał go, czy lubi hrabiego Drakulę.



Na prowadzących do kościoła schodach leżało ubranie Mario Iglesiasa, rzucone niczym łachman. Uwolniony chłopiec toczył się w dół, po kamiennych stopniach, wśród krzyków nadbiegających ludzi i własnych pisków.

Czarnowłosa Cyganka, piękna jak dzieło genialnego artysty, śpieszyła mu z pomocą.



Trumna otworzyła się i Mario Iglesias wyszedł z niej rześki jak zawsze. Proces archiwizacji był bezbolesny i nie pozostawił żadnych skutków. Kolejna cotygodniowa kopia powędrowała w odległe nośniki Sieci, na wypadek awarii.

Nigdy jeszcze nie było awarii. Przynajmniej Iglesiasowi nic na ten temat nie było wiadomo.

Położył się na ulubionej kanapie. Spać nie potrafił, ale lubił tak leżeć, wpatrzony w sufit, i nie myśleć za wiele. Mimo chodem zerknął na klosz nocnej lampki stojącej na stoliku i zastygł z zapartym tchem. Tej lampki nie powinno tu być. Zawsze stała w sypialni. Owszem, niedawno myślał o tym, żeby ją przestawić, tutaj wieczorami byłaby bardziej potrzebna, ale nigdy tego nie zrobił.

Jeszcze nie wierzył, dopóki nie sprawdził kalendarza. Był piątek. Mario wchodził do trumny w niedziele. Wyłącznie w niedziele. Ponieważ na wykonanie pełnej archiwizacji Sieć potrzebuje około czterdziestu minut, również tego samego dnia z niej wychodził. Natomiast dzisiaj był piątek. Nie niedziela, jak w dodatku doskonale pamiętał. Jak mógłby przysiąc.

Pamiętał nieprawdę.



Oznaczać to mogło tylko jedno: trumna zadziałała transmisją dosięciową.

Poczuł się nieswojo. Subiektywne cofnięcie czasowe nie stanowiło problemu - natomiast była nim świadomość własnej śmierci. Bo musiał umrzeć, skoro Sieć skorzystała z trumny i odtworzyła zarchiwizowane tam miliardy megabajtów. Odtworzyła Mario Iglesiasa. Kopię sprzed pięciu dni.

- Jak umarłem?

Dowiedział się tego. Własną śmierć obejrzał w Przeglądarce. Nie opuścił ani minuty, chłonął obraz za obrazem, i gdy do końca zapisu pozostał kwadrans, a tamten Iglesias wciąż tkwił przy kolejnej filiżance kawy, wpatrzony w kościelne schody, zaczął wątpić, czy dowie się czegokolwiek. Ale widok pewnej młodej damy z wypchaną torebką na ramieniu, wychodzącej na spotkanie chłopca w wieku lat pięciu, wyjaśnił mu wszystko.

- *Nie ruszaj się!*

Gniew w oczach dziewczyny. Otwarta torebka i metaliczny błysk na jej dnie. Niemal czuł własny język, na próżno szorujący po wyrastających nagle kłach. Nie sposób uchylić się przed srebrną kulą.



- Potrzebujesz pomocy?

Ksiądz był ubrany w czarną sutannę, tak długą, że w dole ledwie wystawały błyszczące czubki starannie wypastowanych butów. Wyłonił się z bocznej nawy niczym duch, zapewne obserwował Maria już wcześniej, lecz ten nie zauważył tego, zaaferowany ponowną nieudaną próbą sforsowania drzwi kościoła. Nosił w sobie cień nadziei, że tamto wspomnienie było niewiarygodnym przekłamaniami. A może absurdalnie łudził się, że wszystko dotyczyło poprzedniego Iglesiasa. Nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek miał problemy z dotarciem w jakiegokolwiek miejsce świata Sieci.

- Potrzebujesz pomocy, synu?
- Tak - odparł szczerze. - Nie mogę tu wejść.
- Ależ możesz. Wystarczy przekroczyć próg.

Ksiądz nie zachowywał się protekcjonalnie; nie uśmiechał się, co spодobało się Iglesiasowi.

- To dla mnie zbyt trudne - wyznał. Słowa zabrzmiały dwuznacznie, człowiek w sutannie zapewne nie wziął ich dosłownie i świadomość tego wywołała u Maria zakłopotanie.

Ksiądz wyciągnął rękę, z wyraźnym zamiarem pochwycenia dłoni Maria, ale on się odsunął. Zrobił to odruchowo, bez wyraźnego powodu. Kapłan zamrugnął w zakłopotaniu, lecz nie wyglądał na dotkniętego odrzuceniem pomocy.

- Kiedy ostatnio byłeś w kościele? - zapytał, z łatwością pokonując próg, który dla Iglesiasa był takim problemem.

- Tutaj nigdy. W tamtym życiu owszem. Kiedyś. W dzieciństwie.

- Odsunąłeś się, gdy chciałem cię dotknąć. Boisz się mnie? Mario wzruszył ramionami.

- Proszę! - podał księdzu rękę. Ten uściśnął ją, z miną jakby udało mu się dokonać czegoś nadzwyczajnego.

Jest trochę nawiedzony, pomyślał Iglesias. Zresztą nie mogło być inaczej.

- W takim razie chodźmy - rzekł ksiądz.

- Chodźmy - powtórzył Mario. Nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął wierzyć, że teraz się uda.

Już przy drugim kroku wiedział, że nic z tego nie będzie. Ksiądz dowiedział się niemal w tym samym momencie i pewnie dopiero wówczas zrozumiał, że nie duchowe rozterki miał na myśli ten dziwny mężczyzna, mówiąc, iż wejście do kościoła jest dla niego zbyt trudne. Z krzykiem puścił dłoń Iglesiasa. Drugą ręką złapał się za nadgarstek. Zdezorientowany Iglesias z przerażeniem obserwował, jak dłoń, która ścisnęła go przed sekundą, robi się najpierw czerwona, a potem czernieje niczym rzucona w żar kartka papieru.

Duchowny wskoczył do kościoła, swojego azyłu. Odbijające się od wysokich ścian echo potęgowało jego krzyk.

- Jezu Chryste!

Oszalały z bólu miotał się po kościelnym przedsionku, by wreszcie, tknięty jakimś boskim przecuciem, podbiec do chrzcielnicy. Rozpaczliwym gestem zanurzył w niej ręce.

Święcona woda chlusnęła na boki, mocząc sutannę. Czy żałował w tej chwili swojej decyzji sprzed lat, gdy wybrał wieczność w tej stworzonej przez ludzi krainie zamiast trafić do boskiego raju, w który niezłomnie wierzył?

*Kościół musi być z człowiekiem wszędzie. Taka jest jego misja?*

A teraz stał - wsparty o chrzcielnicę - i cierpiał, jak nie zdarzyło się mu od dawna, może nawet nigdy. Jakby nagle samo piekło upomniało się o ten kawałek edenu.

Niespodziewanie ból minął. Ksiądz z niedowierzaniem wyjął ręce z wody. Ich jednakowa biel zdumiała go, ale na pobladłym obliczu pojawiła się ulga. Przyłożył dłoń do policzka, nie mogąc uwierzyć, że jest zupełnie zwyczajna. Że nic się nie stało.

- Kim jesteś? - krzyknął w stronę nieznanego.

Cóż miał mu odrzec Mario Iglesias? Przez chwilę patrzył w twarz mężczyzny, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, a potem powoli zszedł po schodach. Na krótką chwilę jego wzrok zatrzymał się na powietrznym zawirowaniu, na drgających molekułach nad dwoma środkowymi stopniami. Wieczne wspomnienie zagłady software'u.

W pewnym sensie mógł traktować to miejsce jak własny grobowiec.

Przeszedł przez nie i nie poczuł nic. Zupełnie nic.



Znowu tu był. Minęło wiele dni, a on wciąż wracał. Kłaniał się księdzu, gdy udało mu się go spotkać, a ten niezmiennie

przyśpieszał kroku, w ukrywanym popłochu dopadając wrót kościoła. Iglesias dostrzegwał potem w uchylonych drzwiach błady zarys twarzy i parę obserwujących go oczu.

Ten rodzaj bojaźliwego zainteresowania w jakiś sposób mu schlebiał. Przynajmniej miał jakąś rozrywkę, wyczekując godzinami, już nie w kawiarence, lecz na placu, wśród gołębi. Katusze księdza sprawiały mu przyjemność, której wcale się nie spodziewał.

Ale nie dla przyjemności wracał wciąż przed kościelny fronton.

To fatum zapętlilo jego życie. Fatum miało czarne włosy, urodę Cyganki i cudownie zgrabne nogi, których nie chowało pod długą spódnicą.



Nie doczekał się jej przed kościołem. Nieoczekiwanie ona wykonała pierwszy ruch. Pewnego dnia po prostu odwiedziła go w mieszkaniu na dalekim piętrze wieżowca.

Gdy usłyszał pukanie, sądził, że to pogłos z odległego korytarza. Żył samotnie i nikt nigdy go nie odwiedzał. Pukanie powtórzyło się i dopiero wtedy zerwał się z tapczanu, na którym leżał pogrążony w kontemplacji wspomnień. Ostrożnie podszedł do drzwi, przyłożył do nich ucho - nie miały judasza - wreszcie spytał, kto tam. Odpowiedzi nie było. Pomimo to otworzył.

Stała w progu, uśmiechając się szeroko, jak przybywający z wizytą stary przyjaciel. Ale jej oczy zaprzeczały uśmiechowi. Prócz czujności wychylało się z nich coś, co Mario doskonale znał z dawnych czasów. Strach. Czarne włosy lśniły, niczym natłuszczone delikatnym olejkiem. Lewą ręką podtrzymywała otwartą torebkę, gotowa w każdej chwili do niej sięgnąć, sądząc po tym, jak niecierpliwie gładziła sprzączkę.

*Ciach!*

Jej anfas zatrzymał się w matrycy, kolejny raz potwierdzając legalność. Opłaciła pozagrobowe życie.

- Więc to naprawdę ty?! - Głos miała chropawy, zupełnie inny niż wtedy, na schodach. Bała się i to pewnie strach nie pozwalał na pełny oddech. - Jak to zrobiłeś?

- Jak mnie znalazłaś? - odpowiedział pytaniem.

- Co dzień sterczysz pod kościołem.

- Śledzisz mnie.

- A miało być odwrotnie, co?

Przytaknął.

- Jak to możliwe? - zapytała znowu dziewczyna.

- Co?

- Że żyjesz.

- Wejdz - rzekł i odsunął się, robiąc przejście.

- Nie ruszaj się!

- Przecież nie będziemy tak rozmawiać.

- Właśnie że będziemy. Tam, nad kościelnymi schodami, wciąż jeszcze migocze twój cień, a ty chodzisz sobie po mieście, jakby nic się nie stało. Chcę wiedzieć, jak to robisz.

- Powiem ci - rzekł Iglesias, z przyjemnością obserwując grę uczuć na kobiecej twarzy. - Pokażę ci dom czarodzieja, ale w zamian chcę usłyszeć twoją historię.

Patrzyła nieufnie.

- Jaką historię?

- Na przykład kim jest szczeniak, dla którego tak się angażujesz. Skąd masz taką ładną torebkę. Może coś jeszcze. Opowieść za opowieścią. To uczciwa wymiana, nie sądzisz?

- Nie sądzę.

Mijały milczące sekundy, aż wreszcie się zdecydowała:

- Dobrze. Wejść.

Rzucił się na nią, gdy tylko zrobiła krok. Upadli. Torebka poleciała gdzieś w kąt. Przygniótł dziewczynę, zablokował ręce, i jej twarz znalazła się kilka centymetrów pod jego twarzą. Z uniesionymi brwiami patrzył w ciemne oczy, gorejące wście-

kłością. Czuł w nozdrzach zapach przyspieszonego oddechu.

Pożądanie.

Nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek je poczuje. Czy inne uczucia również tkwią w ukryciu, by w odpowiedniej chwili wyrwać się z nicości? Ścisnął mocniej. Prawą ręką sięgnął w dół, do majtek.

Szarpnęła się.

- Decray! - wrzasnęła panicznie.

Zamarł.

- A co myślisz?! - krzyczała, usiłując się wyrwać. - Skąd srebrne kule w mojej torebce? Skąd, idioto?!

Zwolnił uścisk. Stoczył się na podłogę. Leżeli obok siebie, dysząc jak pozostawione przez odpływ ryby.

- Jesteś taka jak ja - powiedział Iglesias.

Usiadła.

- Nie!

- Nie?

- Nie. Nie jestem mordercą.

- Wampirem.

- Nie jestem.

- Jasne! Domyślam się, że Decray mówił ci o mnie?

- Mówił. Lecz nie wiedziałam, że to ty, dopóki przed kościołem nie zobaczyłam przemiany twoich zębów. Strzeliłam, ale przez ten ułamek sekundy, nim zniknąłeś, dostrzegłam te kły.

Iglesias podniósł się na łokciach i usiadł.

- Nie jesteś mordercą? - przypomniał jej własne słowa. - To po co ci srebrne kule?

Zbyła go milczeniem.

- Na takich wścibskich jak ja? - próbował zgadnąć.

- Na przykład - odparła niechętnie. - Decray ostrzegwał mnie przed tobą. Mówił, żebym uważała, aby nie wchodzić ci w drogę.

- Sukinsyn dał ci srebrne kule na mnie?!

- Wspominał o takiej ewentualności.

Zamrugał z zakłopotaniem oczami.

- Dlaczego?

- Moja misja jest ważniejsza od twojej zabawy.

Aż zachłysnęła się oddechem.

- Zabawy! - wykrzyknął. - D.L.NET wydał miliony na mój software, nie mówiąc już o łapówce za przesunięcie wyroku o miesiąc, a ty nazywasz to zabawą?

Wzruszyła ramionami.

- Dawno tu jesteś? - zapytał.

- Osiem tygodni. Miałam prawie czterdzieści lat. Teraz, jak widzisz, znacznie mniej. Przynajmniej to jedno mi się podoba.

- Co to za misja?

- Nie twój interes.

- No to czyj? - nalegał. - Decraya?

Nie odpowiedziała. Pozbierała się z podłogi, a Mario czujnie zerwał się wraz z nią. Patrzył nagłaco.

- Decraya - zgodziła się nieoczekiwanie. - Już od trzech lat nie pracuje w firmie. Wyrzucili go za machlojki.

- Coś takiego! Jakie machlojki?

- Oj, jakie, jakie... Różne. Na przykład za aferę z Mario Iglesiasem. Co myślisz, że akcjonariusze z uśmiechem zaakceptowali wprowadzenie do Sieci zabójcy? Kiedy sprawa się wydała, nie tylko on polecał.

- To dlatego przyszłaś mnie zabić? Wyeliminować dla poprawy samopoczucia akcjonariuszy?

- Skąd. To tylko druga rada Decraya, na wypadek kłopotów.

- A pierwsza?

- Możemy pracować razem. Nie wiadomo, co teraz dzieje się w realnym świecie. Może D.L.NET już o nas wie i jest w stanie przeszkodzić. Wówczas twoja pomoc może okazać się istotna.

- Czy to propozycja współpracy? - Mario Iglesias bezradnie

rozłożył ręce. - Przecież nawet nie wiem, o co chodzi.

- Podobam ci się, prawda? - Raczej stwierdziła fakt, niż zapytała. - Bardzo ci się podobam. To wprost nie do wytrzymania, prawda?

- Dlaczego zmieniasz temat?

- Nie zmieniam. Temat jest wciąż ten sam. Decray powiedział, że będę ci się podobała. I to tak bardzo, że prawdopodobnie zrobisz wszystko, co zechcę.

Roześmiał się pobłaźliwie.

- I tak po prostu mi o tym mówisz?

- Powiedział, że to bez znaczenia. Podobno dokonali kilku sztuczek z twoim software'em i nic nie możesz na to poradzić. Ale jeśli będę podejrzewała, że jest inaczej, to znaczy, że coś spartolili, wtedy powinnam cię załatwić.

- Nie takie to proste, jak widzisz. Twój Decray nie powiedział ci o pewnych sprawach. Na przykład, że potrafię przeżyć likwidację software'u.

Patrzyła na niego z uśmiechem, którego nie mógł zrozumieć.

- Masz na myśli trumnę? - zapytała, unosząc w górę brwi.

Zaskoczyła go. Nie od razu był w stanie zdobyć się na replikę.

- To znaczy, że wiesz? - Oprzytomniał. - Przecież się mnie bałaś? Udawałaś? - zapytał z niedowierzaniem.

- A co myślisz? Że jak miałam tu wejść? Cześć, Mario, jak leci, będziemy pracować razem? Decray uprzedzał, że jesteś brutalny. Najpierw działasz, potem myślisz. Nie - uśmiechnęła się kącikiem ust - powiedział: „Działa i czasem nawet pamięta, że coś się stało”. Nie miał o tobie najlepszego zdania.

Spoważniała.

- Albo się mylił, albo to ty się zmieniłaś - dodała. - Nie myśl, że staram się być miła, po prostu stwierdzam fakt. W każdym razie w jednym miał rację: nie potrafiłam cię upilnować.

Odruchowo wygładziła sukienkę.



- Usiądźmy na kanapie - zaproponował Mario. - Jeśli sprawy mają się tak, jak twierdzisz, to i tak musisz powiedzieć mi wszystko.

Nie powiedziała wszystkiego.

Nie opowiedziała, dlaczego przyjęła propozycję Decraya, dlaczego z takim uporem, każdego dnia wyczekuje w niszy kościoła, obserwując przez witraż plac z gołębiami. Dlaczego - gdy nadchodzi pięcioletni chłopiec - wybiega na schody, nie wahając się użyć broni, jeśli ktoś taki jak Mario próbuje mu przeszkodzić. A przede wszystkim nie powiedziała, jak bardzo tęskni za tym malcem, jak wolno płyną dni oczekiwania na następne spotkanie.

Nie powiedziała mu tego, ale i tak dostał swoją garść informacji:

Po odejściu z D.L.NET-u Decray nie spoczął na laurach. Oficjalnie założył firmę produkującą wirtualne oprogramowanie, przede wszystkim gry i filmy erotyczne, ale była to tylko przykrywka. Nie był człowiekiem, który da się zdegradować z roli Boga. Udało mu się ściągnąć z firmy kilkunastu informatyków i to na nich oparł nielegalną część swojej nowej działalności. Zrobił to, przed czym przez lata rozmaitymi sposobami bronił D.L.NET-u - na przykład wynajmując Mario Iglesiasa. Włamał się do Sieci.

Pomysł był taki: Nie stać cię na ubezpieczenie w D.L.NET? Oplaty są tak ogromne, że prawie nikt nie może sobie na nie pozwolić? Ale może stać cię na króciutką wycieczkę do krainy szczęśliwości? Wycieczkę na plecach (czy raczej w głowie), legalnego software'u.

Decray miał asa, o którego postarał się przed laty, będąc jeszcze szanowanym wiceprezesem, a o czym nie wiedział nikt. Kiedyś wiedziało dwóch informatyków firmy, ale w swoim czasie obaj zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Asem Decraya był ukryty wolny software już zalegalizowany, lecz nie wprowadzony do Sieci. Pochodził od chłopca, którego wadliwe

geny w rzeczywistym świecie potrafiły walczyć o przetrwanie tylko przez pięć lat. Potem dzieciak umarł, lecz oprogramowania nie wprowadzono do Sieci. Pozostał własnością Decraya. Dusza uśpiona w pudełku.

Decray przeczuwał, że kiedyś mu się przyda, i w końcu ta chwila nadeszła.

Ze światem Sieci było trochę tak, jak z czasem. Co minie - już za tobą, już się z tym nie skontaktujesz. To był świat oddzielny, szczelny dla wszelkiej informacji. Software znikał w nim jak kamień w studni. Było oczywiste, że tam jest, ale w którym miejscu i co się z nim dzieje...?

Decray wymyślił sposób kontrolowania software'u. Kluczem był wolny software - obiekt ukończony, całkowicie zaprogramowany, jednak pozostawiony na odrębnym nośniku widocznym przez Sieć tylko wówczas, kiedy Bóg tego zapragnie. Pośredniczący w komunikacji interfejs łączył software z innym oprogramowaniem - zniekształcał dane niczym wirus. Zakażony wolny software po serii prób naprawy zostawał przez Sieć odrzucony z powodu licznych błędów. Wraciał na nośnik. Po drodze odfiltrowywano oprogramowanie wirusowe. Jaka korzyść?

Obserwator.

Obserwator to człowiek, który chętnie płaci małą fortunę za wycieczkę do innego świata. Jest bardzo zadowolony z turystycznej wyprawy. Nie przeszkadza mu, że wędruje w ciele ułomnego dzieciaka. To, co zobaczył, nie było fikcją. Działo się naprawdę. Naprawdę widział ludzi, którzy zmarli dziesiątki i setki lat temu.

Ich eden.

† † †

- Jak ci na imię?
- Rosemary.

- Nie masz innych ubrań?

Spojrzał na jej nogi, ledwie osłonięte krótką spódniczką. Śmiała się i odparła, że chciała mieć pewność, iż ją rozpozna.

- Wiem, że takie nogi zapamiętuje każdy mężczyzna.

Śmiał się razem z nią. Widać sądziła, że jest zabawna, ale Maria rozśmieszyła raczej sytuacja. Zastanawiał się, do jakiego stopnia Rosemary ma pojęcie o anfasach, przepływających przez niego jak ryby przez nurt rzeki.



- Mapa Sieci, którą dysponuje Decray, jest przestarzała, pochodzi sprzed trzech lat. Stąd trudności w określeniu miejsca, w którym ma pojawić się software z turystą - mówiła Rosemary.  
- Wiadomo tylko, że gdzieś w mieście. Turysta ma dwa dni na dotarcie do kościoła, skąd następuje transfer wsteczny. Powrót do rzeczywistości.

- A jeśli nie? - zapytał Iglesias.

- Musi. Software nie jest kompletny. Nastąpi rozpad osobowości.

- Dlaczego właśnie kościół?

- Nie wiem. Może przypadek, a może Decray spodziewał się, że to miejsce jest tutaj opustoszałe? W każdym razie w starym świecie oni przez cały czas kontrolują ten punkt. Tyle potrafią. I tylko tyle.

- Ksiądz wie?

- Ksiądz Marek nie wie o niczym - odparła Rosemary. - Mówię mu, że czekam na brata.

- A gdy chłopiec nadchodzi?

- Raz poprosiłam, by zostawił nas samych. Nigdy więcej nie musiałam, to bardzo grzeczny człowiek.

- Owszem, grzeczny. - Iglesias uśmiechnął się do własnych myśli. - Czy mówił ci, co mu zrobiłem?

- Skrzywdziłeś go?!

- Właściwie to nie. Ale coś próbowało. Nie ja. Coś.
- O czym ty mówisz? - Popatrzyła z niepokojem.
- Sam chciałbym wiedzieć - odrzekł Mario.

Rosemary czekała, pewna, iż usłyszy coś więcej, ale tak się nie stało.

- O czym myślisz?

Zamrugał, wracając do rzeczywistości.

- Zastanawiam się. Jeśli Decray ostrzegł cię przede mną, jeśli jestem tak ważny, to nie mógł po prostu pokazać ci mojego zdjęcia?

- Pokazał. Wyglądałeś zupełnie inaczej.



Stał przed otwartymi wrotami kościoła. Spoglądał na plac, gdzie gołębie podskakiwały na kamiennym bruku. Matryce rutynowo chłoneły anfasy przechodniów.

Czekał na chłopca. Gdy powracał spojrzeniem do wnętrza kościoła, widział plecy Rosemary, siedzącej na skraju ławki.

- W jaki sposób turyści wracają? Wprowadzasz ich do kościoła i co? - zapytał wcześniej.

- Po prostu dostatecznie długo siedzimy w jednym miejscu. Ludzie Decraya namierzają kościół przez cały czas - od chwili, gdy żądny wrażeń turysta wdarł się w nasz świat. Nie mogą wiedzieć, czy ktokolwiek jest w środku, ale potrafią zidentyfikować moją srebrną kulę - jedyny łącznik z realnym światem, jaki do tej pory udało się zaprogramować. Wtedy wiedzą, że jestem, a ze mną turysta w softwarze chłopca. Mogą włączyć procedury powrotu.

- Kim jest dla ciebie ten malec? - spytał. Zauważył, jak silnie się angażuje, kiedy o nim mówi.

Rosemary milczała. A potem weszła do kościoła, do którego on nie miał dostępu, i usiadła na ławce. Zgarbiona, wyglądała jakby się modliła. A może tak właśnie było?

Nagle zobaczył chłopca. Powrócił spojrzeniem do Rosemary, wciąż siedziała w kościelnej ławie, nieświadoma, że dziś zaczęło się wcześniej. Nadchodził dualny software, zlepek niekompletnych obiektów, tolerowany jakimś cudem przez Sieć.

Mario Iglesias otworzył usta, pragnąc uprzedzić kobietę, ale nie wydobył z siebie głosu. Jego twarz niespodziewanie poszarzała. Patrzył na zbliżającego się dzieciaka, a gdzieś w nieskończonej kombinacji bitów jego psychiki dojrzewało coś, o czym przed sekundą nie miał pojęcia. Coś, co musiał zrobić.

Zlikwidować Intruza.

Zaprzagnął tego nade wszystko. Już samo pragnienie było jak świeży powiew wiatru na wiosennej łące.

A potem złapał chłopca.

Ostrożnie sięgnął językiem do podniebienia. Obnażył wargi. Ścisnął przerażoną małą postać, kołysząc się rytmicznie, jakby w takt tanecznej piosenki. Kilkakrotnie przykładał kciuk do szyi, a potem cofał z zastygłym uśmiechem na twarzy.

Jeszcze nie teraz. Nie teraz.

W końcu pochylał się nad wiotką szyją, z twarzą gładką i pogodną, jak do pocałunku. Kiedy skończył, chłonął obraz znikającego chłopca, dzieło sztuki obsypywane tysiącami iskier. W chłodnej ciszy kościelnego cienia puste dziecięce ubranie zsunęło się na posadzkę.

Poczucie pełni było tak silne, że Mario nie zdążył zareagować na atak demona, który zerwał się z ławki i z ogłuszającym grzmotem ruszył wściekle na niego.

- Dlaczego?! - krzyczała Rosemary. - Dlaczego to zrobiłeś?

Nie wiem - zamierzał powiedzieć. - To takie przyjemne. Takie przyjemne.

Ale nie powiedział nic. Nie zdążył, wpatrzony w rozwartą czelusć torebki, w czarną dziurę wsysającą go do piekła.



Piątek.

Siedząca na kanapie Rosemary patrzy na trumnę. Trumna nie jest żadną żalobną skrzynią, której wieko ukrywa zwłoki przed światem żywych. Jest szczególnym miejscem na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca, miejscem, gdzie otoczenie odbija się niezliczoną ilość razy w niezliczonej ilości drobnych luster. To nie są prawdziwe lustra. Sieć mami wzrok patrzących, ukrywając zawartość pionowego walca wysokości dwóch metrów i metrowej średnicy.

Któregoś razu Rosemary podjęła próbę wejścia w tę szklaną iluzję. Nic się nie wydarzyło. Po prostu wyszła z drugiej strony, jakby walec wcale nie był bryłą, lecz cienką kartką papieru. Dla niej nie miał wymiaru. To była trumna Mario Iglesiasa. Szczepke wątpiła, czy w jakimkolwiek innym miejscu Sieci ktoś jeszcze posiada swoją trumnę.

Rosemary czekała.

Wiedziała, że jest za wcześnie, ale nie potrafiła zrobić nic innego, gdy niewiele już minut zostało. Czekala tak w każdy piątek, od wielu miesięcy. Każdego piątku z trumny wychodził Mario Iglesias. Zdumiony jej widokiem uśmiechał się nieśmiało, a ona pokazywała mu kalendarz. Gdy pytał ją, czy nie posiada innych ubrań, śmiała się i mówiła, że chce mieć pewność, iż ją rozpozna.

- Wiem, że takie nogi zapamiętuje każdy mężczyzna.

Śmiał się razem z nią.

Potem rozmawiali. Mówiła, że sama wszystko mu opowie. Nie dopuszczała do Przeglądarki, co nie było trudne, gdyż zauroczony jej obecnością zdawał się wcale o tym nie pamiętać.

W pewnej chwili szła do kuchni, gdzie w szufladzie ze sztucami leżała jej torebka. Wymowała ją powoli, z jakąś masochistyczną nadzieją, że może w tym momencie Mario wejdzie i spyta, co się dzieje, lecz on nigdy tego nie robił. Siadała więc na krześle, otwierała torebkę i wołała go. Czasem przychodził od razu, czasem trochę to trwało, zawsze jednak

stawiał się nietknięty żadnym przecuciem, patrzył na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, właściwie do końca nic nie rozumiejąc, choć kuchnia lśniła od tęczyowych blasków, niematerialnych drobin baśniowych fajerwerków: śladów setek jego śmierci. Czasem Rosemary wydawało się, że w końcu kiedyś zabraknie na to wszystko miejsca, że kuchenne ściany rozlecą się jak szklana bańka, do której wtłoczono zbyt wiele powietrza.

Potem wracała przed kościół. Nienawidziła człowieka o nazwisku Decray, lecz równocześnie mu wybaczyła. Nienawidziła, gdyż to on był winien jej cierpienia.

Wybaczyła, w podzięce za cud - za ponowne wprowadzenie do Sieci pewnego pięcioletniego chłopca, gdy wydawało się, że wszystko już stracone, gdy tak tragicznie pomyliła się co do Iglesiasa.

Nigdy nie zapomni tej cudownej chwili, kiedy z resztką zdesperowanej nadziei wyczekiwała na placu i nagle dostrzegła ruch wśród gołębi. To on je przepłaskał. Jej chłopiec.

Żył.

Wciąż taki sam, niekomunikatywny, autystyczny, niedostępny. Ale żył. Nie wiedziała, czy to Mario Iglesias spóźnił się wtedy, a software ułamek sekundy wcześniej został przejęty do starego świata, czy też może Decray znalazł sposób jego odnowy. Nie miała możliwości dowiedzieć się tego.

Za to teraz, w każdy piątek, wracała do mieszkania na dwudziestym trzecim piętrze opustoszałego wieżowca. Siadała na kanapie, naprzeciw trumny i czekała z otwartą torebką, na której dnie świeciło ziarno grochu.

Srebrna łza dla wampira.

# DZIECIAKI

**W**iktor przeprowadził się do domku letniskowego nad jeziorem, żywiąc cichą nadzieję, że dzieciaki tu nie dotrą. Nie był jedynym, który wpadł na taki pomysł. W okolicy stało ze trzydzieści posesji i niemal we wszystkich krzątali się właściciele, chociaż niektóre domy nie nadawały się do całorocznego zamieszkania. Ale tej zimy nikt się tym nie przejmował. Ci, którzy nie mieli kominków, powstawiali kozy i dało się wytrzymać. Woleli trochę zmarznąć niż ryzykować nocleg w mieście.

Każdy by wolał, ale nie wszyscy mieli taką możliwość. Niektórym musiały wystarczyć stalowe nerwy.

Domek Wiktora znajdował się na małej wyspie, którą do niedawna ze stałym lądem łączył drewniany pomost, ale Wiktor spalił go tego samego dnia, w którym podjął decyzję o przeprowadzce.

- Palisz za sobą wszystkie mosty - ironizowała Magda Bielecka, sąsiadka z szeregu działek pod Laskiem Północnym.

Czasami Wiktor żałował, że spalił ten most. Postąpił chyba zbyt impulsywnie. Dzieciaki dzieciakami, ale człowiek musi przecież jakoś funkcjonować - chodzić do pracy, na zakupy, i tak dalej. Latem i jesienią nie stanowiło to problemu, na brzeg przedostawał się rowerem wodnym, lecz gdy nastały mrozy i



powierzchnia jeziora pokryła się lodem, rower stał się beużyteczny. Początkowo radził sobie za pomocą kajaka, wypożyczonego z wędkarskiej przystani. Kajak łamał cienką taflę niczym miniaturowy lodołamacz, to znów ślizgał się jak bojer na grubszym lodzie. W mroźne poranki trzeba się było sporo napocić, a nierzadko i zmoczyć, nim człowiek dotarł do brzegu.

Teraz był styczeń, wyjątkowo mroźny w tym roku, i kłopot się skończył. Wiktor maszerował po lodzie do przystani, gdzie parkował swój samochód, lub w stronę przeciwną, gdy po południu wracał do domu. Ale tylko czekać aż przyjdzie wiosna i kołomyja zacznie się od początku...

Jeszcze wpadnie pod lód i utopi się, psiamać!

Nie trzeba było palić tego pomostu!

A jednak odgradzony wodą czuł się bezpieczniej. Przynajmniej potrafił spokojnie spać do rana.



Stał na werandzie w zapiętej po szyję kurtce i palił papierosa. Termometr pokazywał minus jednaście stopni, ale świeciło słońce i za ażurem oszronionej pergoli było całkiem przytulnie.

Wiktor rzucił palenie ładnych parę lat temu, lecz przed kilkoma miesiącami wrócił do nałogu. Nie był osamotniony w tym comebacku. Pewnego dnia poszła fama, że dzieciaki nie cierpią papierosowego dymu i się zaczęło. Lata pięćdziesiąte zeszłego wieku, kiedy odnotowywano największe zużycie tytoniu na statystycznego mieszkańca, można było uznać za czas nikotynowej abstynencji w porównaniu do tego, co się działo teraz.

Na dobrą sprawę palił każdy albo przynajmniej popalał wieczorami. Nikt nie czepiał się nieletnich. Tu i ówdzie, głównie w telewizji, dawało się słyszeć trzeźwe głosy, że cała koniunktura to sprytnie zagranie pijarowców Philipa Morrisa, niemające nic wspólnego z rzeczywistością, ale niewiele to zmieniło.

Zawsze lepiej próbować coś zrobić niż siedzieć beczynnie i czekać, czy przyjdzie twoja kolej.

- Znacznie lepiej. - Wiktor kaszlnął i wierzchem dłoni dwukrotnie otarł nos. Jak zawsze zimą, miał lekki katar. - Człowiek nie jest owcą na rzeź i nie powinien się jak owca zachowywać.

Splunął za balustradę.

Czytał kiedyś, że ludzie samotni często gadają do siebie. Zaczynało się to sprawdzać.

Psiamać!

Usłyszał warkot silnika i odwrócił głowę w tamtym kierunku. Zobaczył samochód. Najpierw tylko się zdziwił, zaciekawiał, ale chwilę później otworzył szeroko usta i tak zastygł, z papierosem tkwiącym między dwoma palcami uniesionej ręki.

Co, u diabła?!

Zamrugnął oczami załzawionymi od mrozu i słonecznego blasku.

Zielony opel astra nie zwalniał, choć droga, którą jechał, właśnie się kończyła. Była to prywatna droga Wiktora, właściwie prowizorycznie utwardzony żuźlowy dojazd do pomostu, po którym pozostało jedynie kilka sterczących z lodu osmalonych kikutów. Dawniej dało się wjechać na wyspę z ciężarem nie większym od półtorej tony - taki udźwig gwarantował dostawca legarów - ale każdy, nawet ktoś, kto byłby tu tak stałym bywalcem, żeby jechać na pamięć, widział przecież, że teraz pomostu po prostu nie ma!

Że poszedł z dymem, psia jego mać!

Trrrach!

Strzeliło coś, może opona, a może pękł resor, gdy rozpędzony samochód wpadł na lód, po krótkim acz malowniczym locie z metrowej skarpy. Prysnęły na boki lodowe odłamki, przemieszane ze strugami wody i plastikowymi kawałkami rozbitego zderzaka.

Wyglądało na to, że podróż szalonego kierowcy się skoń-

czyła, tymczasem silnik parsknęła, zaskowyczała, i niespodziewanie opel wślizgnął się przednimi kołami na lód. I ruszył. Niewiarygodne, ale wypełził z płycizny, jakby był jakąś monstualną zieloną foką, a nie blaszanym pudłem z silnikiem 1,6.

Wiktor dobrze wiedział, jaka jest pojemność silnika, ponieważ kontynuujący karkołomną jazdę samochód był jego własnością. Nie dawniej jak wczoraj pozostawił go na przystani, tak jak czynił to codziennie po powrocie z pracy. Tablica rejestracyjna niweczyła wszelkie nadzieje na zbieg okoliczności, choć jedyne kluczyki Wiktor wciąż miał przy sobie. Wytężał wzrok, usiłując dostrzec twarz kierowcy, ale nie widział ani twarzy, ani nawet zarysu sylwetki, bo przednia szyba zmienia się w siatkę krystalicznych pęknięć, całkiem jak trzeszczący pod oponami lód.

Dzieciak - to była pierwsza konkretna myśl oszołomionego Wiktora. Któryś z dzieciaków włamał się do samochodu, pomajstrował i udało mu się uruchomić silnik! To by nawet pasowało. Dzisiejszej nocy słyszał wybuchy, wyjrzał nawet przez okno (oczywiście, Broń Boże, nie zapalał światła). Widział łunę nad Laskiem Północnym, musiała być niezła impreza, ale wydawało mu się, a nawet był wręcz przekonany, że to gdzieś dalej, bliżej miasta. Na uspokojenie łyknął pięćdziesiątkę żołądkowej, potem jeszcze jedną i udało mu się zasnąć. Zamierzał dziś odwiedzić Romka i pogadać o tym, że dzieciaki bawią się coraz bliżej, i może jeszcze coś dałoby się zrobić, jakoś przeciwdziałać, zabezpieczyć się, sam nie wiedział co jeszcze... Pewnie próżne gadanie, stwarzanie pozorów działania, jednak mimo wszystko takie rozmowy uspokajały.

Ale dzieciak w dzień? Tu pojawiała się wątpliwość. Drobną bo drobną, ale zawsze wątpliwość.

W dzień dzieciaki zazwyczaj spały. Odsypiały nocne balangi.

Lądowały akumulatory, mawiał Roman Bielecki.

Tymczasem samochód, który cudem wydostał się z przy-

brzeżnej matni, wolniutko sunął po lodzie; wprost ku wyspie, ku letniskowemu domkowi, na którego werandzie zdekoncentrowany mężczyzna zastanawiał się, czy nie powinien się zbierać. Po prostu odwrócić się i dać drapaką na drugą stronę jeziora, korzystając z okazji, że szczęśliwym trafem ma na sobie szalik i ciepłą kurtkę (no i racja, dzięki paleniu papierosów na świeżym powietrzu!). Zwlekał, gdyż sunący w poślizgu opel z wolna odwracał się bokiem. Jeszcze trochę i przez boczną szybę można będzie zobaczyć kierowcę.

Może to nie dzieciak? Strachy na Lachy?!

Wiktor nerwowo zaciągnął się zapomnianym papierosem, którego wciąż trzymał pomiędzy palcami, a który okazał się gorzki jak piołun, bo na wietrze dopalił się do samego filtra. Z niesmakiem rzucił peta na ziemię.

Niestety opel nie zdążył pokazać swej bocznej szyby. Nie spodziewanie rozległ się głuchy trzask i przez całą szerokość zamarzniętego jeziora pomknęła kreska szczeliny, momentalnie rozszerzająca się, niczym rozpadlina podczas trzęsienia ziemi na filmie o zagładzie dinozaurów. Samochód zapadł się w nią tylną osią, przód się uniósł, najpierw nieznacznie, potem coraz bardziej. Przednie koła wciąż się kręciły. Pozbawiony podparcia zielony potwór zawył obrotami silnika. Nim zatonął, zatrzymał się jeszcze na sekundę, zamarł w groteskowej pozie „Titanica”, po czym osunął się, bulgocząc.

Zapadła cisza.

Chwilę później z głębiny bezszelestnie wypłynęły odłamki kry.

Wiktor flegmatycznym ruchem sięgnął do kieszeni po otwartą paczkę. Czuł dziwny spokój. Doprawdy dziwny, zważywszy na to, co się wydarzyło. Ani śladu poczucia nerwowości czy chaosu myśli. Ulotnił się nawet paniczny imperatyw ucieczki, któremu przed minutą omal nie uległ. Zapalił papierosa, chowając w zamkniętej dłoni płomyk zapalniczki. Nie spuszczał oczu z miejsca, gdzie zatonął samochód. Wyrwa w

lodzie była tam większa, woda wydawała się lekko spieniona, ale nic poza tym. Można by pomyśleć, że nic się nie stało...

A może rzeczywiście nic? - olśniło go nagle, i choć nie było mu zimno, poczuł przebiegający przez plecy dreszcz. Może ktoś ma bujną wyobraźnię i śni nonsensowne koszmary?

Może temu komuś po prostu odbiło?

Mózg mu się zlasował od ciągłego napięcia! I życia w samotności...

Wiktor wziął się w garść. Przerębła na pół jeziora wysniona nie była. Sama z siebie się nie wzięła. Jeśli już coś jest niedorzeczne, to raczej wmawianie sobie umysłowej... hmm... niedyspozycji! Należy raczej zastanowić się, co teraz robić. Jeżeli kierowcą był dzieciak, krzyżyk na drogę - zamarzaj wodo, zakryj ten grób!

Ale jeśli nie?! Jeśli w zatopionym dojcmlandbatyskafie szamocze się Bogu ducha winny człowiek, choćby zwykły złodziejaszek, do środka wlewa się lodowata woda i powietrza coraz mniej? A Wiktor stoi tu sobie, jakby nigdy nic, i spokojnie, cynicznie, pali cholernego papierosa?

Rzucił peta, ruszył się wreszcie, zeskoczył z werandy na twarde, chrzęszczący śnieg. Szybkim posuwistym krokiem dotarł do skraju przerębli, uważając, czy lód nie jest zbyt słaby. Nie był. Nawet nie trzeszczał, wielodniowe mrozy zrobiły swoje. Wiktor ukląkł i nie zważając na paraliżujące zimno, rozgarnął unoszącą się na wodzie kaszkę ze śniegu i lodowych odłamków. Usiłował przebić wzrokiem czarny odmęt, ale nie zobaczył niczego. Może gdyby opel był biały...

Przez pewien czas tkwił w klęczącej pozycji, z przekrzywioną głową. Nasłuchiwał. Nic. Cisza tu, na zamrzniętym jeziorze - nawet wiatr nie szumiał w drzewach odległego brzegu - i cisza pod lodem. Ani śladu odgłosu z podwodnego świata. Kimkolwiek był kierowca, i tak już po wszystkim. Stało się, co miało się stać. Utopił się, zamarzył, albo jedno i drugie równocześnie...

Raptem w przerębli mignął szary, podłużny kształt. Pojawił się i zniknął. Przestraszony Wiktor cofnął się zbyt gwałtownie; stracił równowagę i upadł na bok. Pozbierał się błyskawicznie i już stał na nogach, patrząc podejrzliwie w zmaconą wodę.

Śnieżna kasza falowała leniwie.

To pewnie zwabiona światłem ryba. Albo złudzenie.

Najpewniej ryba.

Ryba.

Powtarzał to sobie, odchodząc pospiesznie w kierunku wewrandy. Wolał nie myśleć, że mógł widzieć rękę dzieciaka, że może tak niewiele brakowało i wciągnęłaby go pod wodę, utopiłaby jak psa... Uff, otarł rękawem gorące nagle czoło. Nie postąpił rozważnie, podchodząc tak blisko. Właściwie to zachował się jak głupek. Kto inny, jak nie dzieciak, mógł wpaść na pomysł, żeby półtonowym (lekką licząc) samochodem urządzić sobie bojery? Pomysł wariacki. Irracjonalny. Bez sensu. A takie przecież są dzieciaki. Cali oni!

Wiktor bał się dzieciaków i nie było w tym nic dziwnego. Dzieciaków bali się wszyscy. Niektórzy mniej, niektórzy bardziej - ktoś tam popełnił samobójstwo, ktoś oszalał, ktoś inny z premedytacją dał się zabić - bali się wszyscy, ale tylko niektórzy nienawidzili ich tak jak Wiktor. On, gdyby to tylko było możliwe, pozabijałby wszystkie, jak leci, pozarzynał, powystrzelał, podusił - obojętnie, byle tylko znalazł się jakiś sposób.

W końcu nie było ich tak dużo.

Uwinąłby się w dzień albo dwa.

Przy drzwiach Wiktor zerknął przez ramię w stronę przerębli. Pusto. No i dobrze. Przez to wszystko człowiek boi się własnego cienia. Albo jakiejś głupiej ryby!

Ale gdy zarygłował drzwi, ustawił fotel przy samym oknie i patrzył na jezioro przez dobrą godzinę. Jeszcze tylko by brakowało, żeby jednak wylazł stamtąd cholerny czteroręki potwór!

Potem przypomniał sobie, że miał dziś w planie odwiedzić

Bieleckiego. Przecież nie będzie siedział tu wiecznie i gapił się przez okno.

Przechodząc obok przerębli, z satysfakcją zauważył, że krawędzie skła cienka, przezroczysta tafla. Pewne rany zablizniają się błyskawicznie.



Wiktor zszedł z lodu, łamiąc butami rachityczną zamrożoną trzcinę. Wspiął się na przybrzeżną skarpę, ale po krótkiej chwili zastanowienia nie skręcił do Lasku Północnego. Roman może parę minut poczekać, zdecydował i powędrował dróżką wzdłuż linii brzegowej, ku przystani. Zamierzał upewnić się, że to rzeczywiście jego oplem urządzono tamto widowisko. Widział, co prawda, numery rejestracyjne, ale teraz nie był już przekonany, że odczytał je dokładnie. Mógł się zasugerować. Małe szanse, ale zawsze, a tu tylko pięć minut drogi i będzie wiedział na pewno.

Już z daleka, jak tylko wyszedł spośród drzew, przekonał się, że nie ma mowy o żadnej pomyłce. Na parkingu stały dwa samochody i żaden nie był oplem. Nawet nie były zielone. Mimo to szedł dalej przez zmrożoną zaspę, do drewnianego domu będącego własnością Związku Wędkarskiego. Dom pełnił również funkcję hotelu dla niezrzeszonych, ponieważ posiadał kilkanaście dość komfortowych pokoi. Ale to latem.

W grubo ciosane bale, stanowiące elewację frontowej ściany, powbijano mnóstwo prętów i haków, na których wędkarze zwykli wieszać swoje akcesoria, głównie podbieraki i pontonowe wiosła. Teraz świeciły golizną rdzewiejącej stali, chociaż na jednym wisiało coś w rodzaju gumowych spodni z kaloszami. Z komina wydobywał się biały dym, co napawało optymizmem - Wiktor obawiał się, że dzieciak, nim wpakował się do opła, mógł nieźle narozrabiać.

Trochę się nawet wystraszył, bo drzwi były zamknięte i nikt

nie odpowiadał na stukanie kołatką, ale kiedy przez okno zajrzał do środka, zobaczył rozpalony w kominku ogień, a przy biurku podrygującą sylwetkę młodego Kulika. Chłopak miał ledwie piętnaście lat i mieszkał tu razem z ojcem, zatrudnionym jako dozorca. Siedział przy komputerze, a na głowie miał słuchawki. Dlatego podrygiwał, pewnie ganiał w jakiejś zwariowanej, pełnej krwi i przemocy grze, albo słuchał psychodelicznej muzyki. I oczywiście gównu go obchodziło, co naprawdę dzieje się w prawdziwym świecie! Miał głęboko w dupie, że ktoś puka do drzwi, zaniepokojony, że może coś mu się stało!

Takiemu nawet dzieciaki niestraszne. Nie jest w stanie wyobrazić sobie, że to wszystko może również dotyczyć jego! Dzieciaki? - Aha. Talibowie też szaleją w Afganistanie, no i co? Czy tacy jak ten smarkaty Kulik w ogóle potrafią myśleć?! Odróżnić rzeczywistość od gry?

W zeszłym tygodniu ten młody idiota zorganizował śpiewaną balangę przy ognisku...

Przy ognisku!

W czasie gdy - jak wszystkim wiadomo - po okolicy szwendają się dzieciaki!

A stary Kulik, pijaczyna, zamiast zająć się synem, pewnie błogo śpi w którymś pokoiku, w niewypranej pościeli po jakiejś wyperfumowanej wczasowiczce!

Rozeźlony Wiktor omal nie wybił szyby. Ledwie się powstrzymał. Ostatecznie z rezygnacją machnął ręką i odszedł. Miał trzydzieści osiem lat. Nie tak znowu wiele: może powinien rozumieć, że młodość ma swoje prawa. Ale nie rozumiał. Skakali przez ognisko na golasa przy klipach z MTV! - przypomniał sobie. I to z dziewczynami!

Ręce opadają.

Tylko patrzeć, jak doczekamy się własnych dzieciaków!

Żadni czteroręczni kosmici nie będą potrzebni.





Spory piętrowy dom położony był przy samym Lasku Północnym. Kilkanaście dorodnych sosen włąziło na działkę od strony zachodniej i Roman Bielecki uwielbiał przechwalać się, jakie to prawdziwki znajduje na swoim terenie. I to już od czerwca. Wiktor szczerze wątpił, czy i dzisiaj stary ramol jest z tego stanu rzeczy zadowolony. Odkąd pojawiły się dzieciaki, zdecydowanie lepiej było mieszkać w środku wsi. O tyle bezpieczniej, że jak już miały zamiar zaszaleć, zawsze pozostawało więcej czasu na ucieczkę. Jak dzieciaki już zaczęły zabawę, nie kończyły, póki nie pozostał kamień na kamieniu. Dlatego - w tych ciężkich czasach - lepiej było mieszkać na wsi niż w mieście. Światła rampy przyciągały najgorsze tałatajstwo.

Rzecz jasna najlepiej mieć domek na otoczonej fosą wyspie.

- Halo! - zawołał Wiktor zza furtki. - Jest tu kto?

Furtka nie była zamknięta i kiedyś wszedłby na teren posesji bez pytania, ale to się zmieniło. Zdziwiająco wiele rzeczy zmieniło się w ostatnich miesiącach. Świat stawał na głowie.

Wiktor obawiał się psa Bieleckich - tego samego rozpieszczonego owczarka alzackiego, który jeszcze przed rokiem lizał mu ręce, twarz, i którego trudno było odpędzić, tak domagał się zabawy. Ale pewnego dnia pies przepadł, a kiedy wrócił po tygodniu, wygłodzony i wynędzniały, to już nie był ten sam miły zwierzak. Bez kija nie podchodź, zwykło się mawiać w takich przypadkach. Może to i naginanie faktów, ale Wiktor przypuszczał, a nawet był przekonany, że biedak musiał natknąć się na dzieciaki. Jakoś im umknął, lecz po takiej traumie nawet zwierzę nie będzie normalne. Nie ma co się dziwić, bez dwóch zdań!

- Wchodź! - W otwartym oknie pojawiła się ładna twarz Magdy Bieleckiej. Kobieta była sporo młodsza od swego starszego się męża. - Romek gdzieś poszedł z Maćkiem... I z psem - dodała, uprzedzając pytanie.

Maciek był synem Bieleckich. Zabawnym, wygadany trzynastolatkiem, zamierzającym - całkiem na serio - zostać w

przyszłości maklerem giełdowym. Wiktor był niedzisiejszy: giełda kojarzyła mu się raczej z wystawionymi na sprzedaż używanymi samochodami, ale podziwiał chłopców, którzy w dzisiejszych czasach mieli w ogóle jakieś plany i marzenia, prócz wyszukiwania w Internecie co krwawszych gier komputerowych.

Wszedł do domu i pocałował Magdę. Nie w policzek, na przywitanie, lecz tak, jak mężczyzna całuje kobietę. Odsunęła się dopiero po dłuższej chwili.

- Nie powinieneś tu przychodzić - powiedziała. - A przynajmniej nie wtedy, kiedy nie ma Romana.

- Nie wiedziałem, że go nie ma. Poza tym nie sądzisz, że to dopiero byłoby podejrzanе? Gdybym nagle przestał przychodzić?

Kobieta milcząco wzruszyła ramieniem.

- Chciałem z kimś pogadać. Nie odwiedzasz mnie już... - Wiktor urwał. Starał się, żeby nie wyszło na to, że się skarży, ale chyba mu się nie udało.

- Nie - ucięła krótko Magda i to wystarczyło. Niczego innego zresztą się nie spodziewał. Już jakiś czas temu zaakceptował sytuację. Pogodził się z faktami, które nie zależały od niego. Wszystko ma swój początek i koniec. Żywił nadzieję, że ta historia z dziećmiakami również.

Usiadł na krześle.

- Wiesz, dzisiaj zdarzyło się coś niesamowitego...

Opowiedział o samochodzie. O swoim własnym oplu, który skończył jako rdzewiejąca na dnie jeziora puszka po konserwie, w dodatku nie całkiem pusta.

- Jeżeli jechał nim dziećmiak... - Magda zawahała się. - Nie. Nie sądzę, żeby się utopił. Gdyby to było takie proste... no wiesz... - wykonała dłonią gest symulujący podrzynanie gardła - ktoś już wcześniej by na to wpadł. Może po prostu zamarzył? Wiesz przecież, że są czymś w rodzaju gadów, więc byłoby naturalne, gdyby niska temperatura powodowała wychłodze-

nie...

- Kobieto! - przywrócił ją do pionu. - Na dworze jest minus jedenaste. W porównaniu do tego pod lodem jest cieplutko i przytulnie.

- No tak - zgodziła się. - Ale w takim razie co? Uważasz, że wciąż żyje?

Wydawała się lekko przestraszona.

Wiktor pokręcił głową.

- Wylazłby - oznajmił. - Obserwowałem to miejsce przez dłuższy czas i nic. A więc może jednak się utopił.

- Przecież mówiłeś...

- Posłuchaj! - przerwał jej, zniecierpliwiony. - Jest taka teoria, że całkiem łatwo je zabić. Że udawało się za każdym razem, tyle że nikt niczego nie zauważył.

- Co ty pleciesz?

- Cofają czas. Jak coś jest nie tak, cofają go. O sekundę, może trochę mniej, może więcej. O tyle, że nikt tego nie zauważa.

- Nie kapuję.

- A co tu kapować? Taka umiejętność, dla nas magiczna, ale dla nich zwykły odruch. Uważaj: strzelam do ciebie, ty cofasz czas, kula znów jest w lufie, strzelam znowu, i to samo. Można tak i sto razy.

Zaśmiała się, najwyraźniej nie sądząc, że mówi serio.

- Sto razy to sto sekund. Cały świat musiałby się zatrzymać, dostać czkawki, a w końcu gdyby ruszył... nie, takiej dziury byś nie przeoczył.

- Niby czemu nie? - zaoponował. - Wręcz przeciwnie. Nie ma sposobu, żeby coś takiego zauważyć. Nie masz w pamięci tego, co było, albo raczej co będzie za tę sekundę.

- A dzieciak...? - Mina Magdy świadczyła, że wreszcie zaczęła chwytać sens wypowiedzi.

- On tę pamięć ma. To jego przewaga. Dzieciak wie, co zrobił i czemu chce zapobiec. W końcu przerwie tę czkawkę,

odsunie się, ucieknie, zmiażdży niedoszłego zabójcę, ma wiele możliwości. Każda pętla, powiedzmy nasze umowne sto wystrzałów, prędzej czy później będzie miała swój koniec.

- Liczba prób jest nieważna. Czas jest cierpliwy.
- Otóż to! - Wiktor podniósł triumfalnie ręce.
- Wszystko pasuje - zgodziła się Magda. - Ale nie wyjaśnia, dlaczego ten twój dzieciak nie cofnął czasu, żeby się wydostać.
- Skurwiel się spóźnił - wycedził Wiktor, z dziką satysfakcją w oczach. - Minęło za dużo czasu. Cofał go, założył się, że go cofał, ale sekunda to za mało. Wciąż był pod wodą! Wyobrażasz sobie tę paniczną pętlę, zanim się poddał, zanim zrozumiał, że już po nim?

Patrzyli na siebie, on z uniesioną głową, wbity w oparcie drewnianego krzesła, ona stojąc nad nim, lekko pochylona. Nieoczekiwanie wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. Delikatnymi ruchami przesuwiała kosmyki pomiędzy palcami.

- Potrzebujesz pomocy.
- Nie wiedział, czy to pytanie, czy też Magda stwierdza niezbity fakt. Odsunął się, nieco urażony, ale nie cofnęła ręki.
- Więc po co przyszedłeś?
  - Właściwie to po nic. - Zniżył głos. Mówił z wahaniem, jakby zastanawiał się nad każdym wypowiedzianym wyrazem. - Palilem rano papierosa na werandzie i postanowiłem, że odwiedzę Romana.

- Romana?
- Tak.
- Nie mnie?

Wiktor zacisnął usta, po czym wykrzywił je w nikłym uśmiechu.

- Przecież kazałaś o sobie zapomnieć! To twoje słowa.
- Wysunęła palce z jego włosów, cofnęła rękę.
- I zapomniałeś?

Milczał. Szeroko otwartymi oczami chłonał niedowierzające, gniewne kobiece spojrzenie. Doskonale rozumiał tę niewiarę.

Sam by tak patrzył na siebie, gdyby mógł.

- Nooo... tak. - Tylko na taki komentarz było go stać. Bo cóż tu komentować?

Spuścił wzrok, już upokorzony na całego. Najśmieszniejsze (jeśli w ogóle można tu mówić o śmiechu), że naprawdę zapomniał. Wybierając się do Bieleckich, nie pamiętał o Magdzie, jakby była kimś bez znaczenia, obcym, a nawet w ogóle nie istniała. Teraz czuł się paskudnie z tą świadomością...

ale...

...wiedział, czyja to wina.

Dzieciaków.

Zmieniły jego życie w obsesję. Sam siebie nie poznawał.

- Czym będę teraz dojeżdżał do pracy? - wrócił do sprawy zatopionego samochodu, pragnąc porzucić śliski temat.

- A co mnie to ob...

Zaszczekał pies. Magda urwała w pół słowa, a Wiktor poderwał się z krzesła.

- Wracają! Roman i Maciek!

- Pójdę już - rzekł pośpiesznie Wiktor.

- Przecież przyszedłeś do Romana! - zawołała drwiąco Magda.

- Rozmyśliłem się.

Pospiesznie wyszedł z domu i wybiegł przez furtkę, która - jak na złość - zaskrzypiała niczym drzwi w upiornym zamczysku. Nie wiedział, czy go zauważyli, ale owczarek alzacki szczekał wściekle jak drażniony kijem.

Wiktor zbiegał po skarpie ku jaśniejącej wśród sosnowych pni ścieżce, kiedy nieoczekiwanie ktoś go zawołał. Stał jak wryty. Magda. Co ona wyprawia? Nawet jeśli Roman nie spostrzegł jego idiotycznej ucieczki, to teraz na pewno widział swoją żonę, uciekającą do lasu, w dodatku bez kurtki.

- Co ty wyprawiasz? - powiedział to głośno.

- Zapomniałam ci o czymś powiedzieć - wysapała, łapiąc oddech.

- To takie ważne?
- Tak sędzę. Szczególnie dla ciebie. Wiem, że nie masz telewizora, a właśnie dziś rano podawali w wiadomościach, że wreszcie po nich przylatują.
- Zabierają dzieciaki!

Wprost nie mógł uwierzyć. Cholerni wyrodni rodzice, ruszyli nareszcie cholerne gadzie dupska i wsiedli do swoich cholernych latających spodków! *To musi potrwać* - trąbił bez przerwy rzecznik rządu. - *Nawiązaliśmy kontakt, przepraszają, przesyłają kondolencje, obiecują rekompensaty rodzinom ofiar i pokrycie kosztów zniszczeń, ale to musi potrwać. Międzynarodowa podróż to nie przejażdżka metrem.*

A nasza planeta to nie piaskownica, powiedział wtedy Wiktor i wrzucił telewizor do jeziora.



Czteroręki potwór.

Zasepiony Wiktor siedział w kuchni, opierając łokcie na porysowanym blacie stołu. Było ciemno; jaśniejący prostokąt okna ledwie rozpraszał ciemności - i to tylko dlatego, że na zewnątrz leżał śnieg. Okno wychodziło na wschód, na przeciwną stronę świata niż ta, gdzie resztki but wiejący eh słupów przypominały o dawnym pomoście i z której dzieciak przyjechał jego oplem. Wiktor nie wykluczał, że spędzi tak całą noc. Miał dość salonu i ciągłego powstrzymywania się od wypatrywania, czy na jeziorze wszystko w porządku; dość zastanawiania się, czy spod lodu nagle nie wynurzy się arktyczna łódź podwodna, ociekająca wodą i odłamkami kry.

Dość wyczekiwania na czterorękiego potwora.

Zastanawiał się, dlaczego dzieciaki mają cztery ręce? Są podobni do ludzi, choć więksi; ze dwa i pół metra wzrostu, ale z daleka można by się nie zorientować, gdyby nie ręce. Cztery. Zdające się wyrastać parami z jednego stawu. Dręczyło go to.

Wyczuwał, że rozwiązanie tajemnicy tej liczby jest swego rodzaju kluczem. Do czego? Na tym właśnie polega tajemnica. Zagadka.

Niemal zasnął, rozmyślając, kiedy nagle drzwi wejściowe trzasnęły, jakby zaraz miały się rozwalić. Wystraszony Wiktor poderwał się z krzesła. W pierwszym odruchu zamierzał pobiec do salonu, zobaczyć, co się stało, ale paniczny strach zatrzymał go, nim dotarł do progu kuchni. Cichym krokiem przypadł do ściany, znieruchomiał. Nie oddychał. Nasłuchiwał, czując przebiegające przez ciało dreszcze.

Byłby przysiągł, że zamknął drzwi na klucz. Jak mógł nie zamknąć po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło? Nie tylko przekręcił go dwa razy, ale jeszcze sprawdził, czy klamka dobrze trzyma. A teraz były otwarte na oścież. Słyszał jak stukają na wietrze, czuł zimno przeciągu.

A potem usłyszał delikatne, skradające się kroki.

Dzieciak wydostał się ze swojej pętli czasu?!

Coraz bardziej przerażony Wiktor usiłował przypomnieć sobie, czy dzieciaki dobrze widzą w ciemnościach. Może wystarczy być cicho, nie ruszać się, nie oddychać - tak przecież stał teraz pod tą ścianą. Całkiem martwy człowiek. Trup. Nawet ciało miał lodowate. Szklanymi oczami wpatrywał się w uchylone drzwi, łączące kuchnię z salonem.

Nagle dostrzegł w mroku niewyraźny zarys postaci.

Nie sposób było stwierdzić, ile rąk przypada na każdy z boków, ale do wzrostu dwóch i pół metra sporo sylwetce brakowało.

- Jesteś tu? - szepnęła Magda.

- To ty?! - Wiktor odetchnął, w jednej chwili rozluźniony.

W głosie mu szumiało, jakby o coś uderzył.

Może zbyt długo nie oddychał. Wtem nogi ugięły się pod nim. Nie był w stanie utrzymać równowagi, więc osunął się plecami po ścianie, aż do pozycji siedzącej.

- Spodziewałeś się kogoś innego?

- Dlaczego się skradałaś?

Usiadła obok Wiktora, wplatając dłonie między kolana.

- Skradałam? Nic podobnego...

- To dlaczego mówisz szeptem?

- Nie wiem... - Zaśmiała się cicho. - Tak tu jakoś tajemniczo. I strasznie.

Wiktor oparł głowę o ramię kobiety. Zdusił w sobie historyczny śmiech. Strasznie? Też coś?! Strasznie, proszę pani, to było przed...

W kuchni powoli robiło się jaśniej. Brzask zimowego poranka włąził przez wybite okno.

- Nieposprzątane - marudziła Magda. - I gdzie podziały się wszystkie meble? Tylko pajęczyny, stół i połamane krzesło!

Meble?!

Wiktor wiódł wokół zdumionym spojrzeniem.

Gdzie się podziały meble?



Mężczyzna z synem stanęli nad brzegiem zamarzniętego jeziora. Z ich ust unosiły się obłoczki pary wodnej. Nieopodal, węsząc, biegł pies.

- To już rok minął - powiedział Bielecki. - Jak ten czas szybko leci.

Mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem, odbitym od iskrzącego śniegu, patrzył w stronę wyspy, na której dom Wiktora nosił ślady dewastacji. Spadkobiercy (jakiś brat czy kuzyn z małżonką) przyjechali raz lub dwa, jeszcze wiosną - i tyle jeśli chodzi o ewentualną przyszłość letniskowego uroczyska. Podobno cena była zbyt wysoka, a i fama, że na wyspie straszy nie działała zachęcająco; chyba że dla przygodnych kajakarzy i okolicznej młodzieży; Latem nie było tygodnia, żeby nie nocowali tu żądni wrażeń imprezowicze, nie zważając na tablicę z informacją o zakazie wstępu na teren prywatny.



Cud, że nie spalili drewnianej chatki, tak jak wcześniej spalili most - pewnie, że nie ci sami chuligani, ale bez wątpienia typki równie niewiele warte.

Podobno było ich dwóch; ktoś widział, jak polewali benzyną deski pomostu, wrzeszczeli i tańczyli. Dwaj nieletni chłopcy, odurzeni piwem, a może i narkotykami. Byli niewiele starsi od Maćka.

Bielecki westchnął. Dzieciaki, a tyle zła wyrządzili swoim bezmyślnym wybrykiem...

Ktoś ich widział, ale ten ktoś nie zareagował. Normalka. Wyschnięty na mrozie pomost spłonął do cna i nie było komu gasić pożaru, bo Wiktora nie było.

Miał pecha ten Wiktor. Prawie całą zimę nie zaglądał na wyspę, nawet żeby sprawdzić, czy ktoś się nie włamał, a tu akurat tego wieczoru, nim dotarła do niego wiadomość o pożarze, akurat wtedy przyjechał, nie wiedzieć po co. Było ciemno, mimo to powinien był zauważyć brak pomostu, samochód ma przecież światła! Które były włączone, jak wykazała późniejsza ekspertyza. Ale nie zauważył. Nie wiadomo dlaczego. Może zbyt zajęła go rozmowa?

Bo Wiktor nie był wtedy w swoim opłu sam. Roman Bielecki westchnął ciężko, zacisnął gniewnie usta. Wciąż nie potrafił wybaczyć. Położył rękę na ramieniu syna. Maciek uśmiechnął się do ojca i powrócił spojrzeniem na jezioro.

- Ale przereźbla! - powiedział, wskazując palcem zaśnieżoną tafłę.

W poprzek całego jeziora, od brzegu do brzegu, biegło gigantyczne pęknięcie, odgradzające ich od wyspy.

- Chyba od mrozu - stwierdził Bielecki. - Na wczorajszym spacerze jeszcze tego nie widziałem.

Maciek postąpił o krok, w wyraźnym zamiarze wkroczenia na lód.

- Nie idź tam - powstrzymał go ojciec.
- Dlaczego?

- Nie kuś licha! Mróz mrozem, ale skoro lód pęka...

Pies zaszczeakał i wskoczył na zamarznęte jezioro. Pośli-  
zgnął się śmiesznie, rozkraczył, a gdy się pozbierał, zastygł w  
bezruchu, wężąc w kierunku domku na wyspie.

- Chodź, Trop - zawołał go Maciek. - Tam nie ma nikogo.

A kiedy już zawrócili i ścieżką wśród wysokich sosen wra-  
cali do domu, spytał:

- Co właściwie mama robiła w samochodzie pana Wiktora?

- Nie wiem, co tam robiła - odparł bezradnie Bielecki. - Nie  
mam pojęcia.

## Spis treści

Śmierć trolla	5
Alchemia	17
Halloween w obcym kraju	25
Powrót do raj	51
Drzwi do piekła	55
Sto dziewięćdziesiąt zapalek	67
Stypa ze strachem na wróble w tle	105
Zły człowiek	125
Nie wolno wchodzić do łazienki	137
Pod choinką	147
PP Hades	159
Martwy mężczyzna	177
VampiR	235
Dzieciaki	271